

Walery
SZEWCZUK

Wieczór świętej jesieni



Wydawnictwo
Lubelskie

Pol/n
S 997

Walery
SZEWCHUK

Wieczór świętej jesieni

Wydawnictwo
Lubelskie

WIECZÓR
ŚWIĘTEJ JESIENI

Tytuł oryginału ukraińskiego
Wieczir swiatoj oseni

Walery
SZEWCHUK

Wieczór świętej jesieni

tłumaczyła
Elżbieta Raczyńska—Mraczek

Wydawnictwo
Lubelskie

Projekt okładki, obwoluty i karty tytułowej
MIROSLAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWĄS

Redaktor techniczny
JOANNA KWASNIEWSKA

Korektor
BOGUSŁAWA WOJCIKOWSKA

ISBN 83-222-0479-5

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1989

POWROTY

Chalimończuk przyjechał do Żytomierza bez konkretnej potrzeby. Bywają chwile zadręczające człowieka swoją nieokreślonością. Czuje się wtedy potrzebę spakowania walizki i wyjazdu gdziekolwiek. A jednak tej wiosny wszystko było bardziej skomplikowane...

W drodze do Charkowa zatrzymał się w Kijowie — mieszkał tam jego dawny przyjaciel, również aktor. Rozmawiali o sprawach dotyczących teatru, odkrywając, jak zwykle, całkowitą zgodność poglądów, ale i to nie usatysfakcjonowało Chalimończuka. Przez całą drogę z Kijowa do Żytomierza miał wrażenie, że słyszy spokojną, powściągliwą muzykę. Wiosna znajdowała się w stadium, kiedy drzewa zaczynają nabrzmiewać pączkami, ziemia pokrywa się już delikatną mgiełką trawy, a kałuże rozsiewają woń wilgotnej pleśni. Za oknem podrygiwały ostre piki gałązek topolowych, z głębi pola ciągnęła wilgoć, szarawa, lepka, ale rześka świeżość. Muzyka brała swój początek z wnętrza tej wilgoci, za którą już słał się zmierzch. Lubił zmierzch, bo wtedy wszystko gwałtownie traciło widoczne granice i przeistaczało się w ciemną gęstość, w której dobry nastrój współlistnieje z wszechobecną równowagą.

Do Żytomierza przyjechał Chalimończuk, kiedy było już ciemno. Zajął pokój w hotelu, cisnął walizkę na podłogę i wyszedł. Wiosna jak gdyby trzymała jeszcze

niewielkim mrozkiem, bo na twarz kładł się kryształowy chłód. Ruda czupryna aktora jaśniała w widmowych blaskach latarni, przypominając zwitek miedzianych drucików. Po raz drugi poczuł, jak w znany mu już sposób koncentrują się jego myśli. Nagle ogarnął go niepokój. Przed nim rozpościerał się rozległy plac. Nowe budynki nie przemawiały do niego; nie był w Żytomierzu dwadzieścia lat. Pozostawił to miasto całe w ruinach, pozostawił ulicę, gdzie przeminęła jego podobna do brzasku młodość (muzyka rozbrzmiewała jeszcze w głowie, mimo że zmrok dawno już zapadł i wokół słała się rozpraszana latarniami ciemność — był to ten sam nastrój, od którego nie mógł się uwolnić jeszcze tam, w Charkowie). Pozostawił tu swoje wspomnienia, zwłaszcza te sprzed wojny, bo wojna była czymś odrębnym, czymś, co nie pasowało do dzisiejszego nastroju. Pozostawił cichy zapach ojcowskiego domu — wszystko to dawno już przeminęło. Zachowało się jedynie to ogromne zdziwienie, z jakim człowiek myśli o śmierci. Mieszkanie było kwaterunkowe, i naturalnie przeszło w posiadanie innych użytkowników. Pozostał tylko mahoniowy stół z porcelanowym blatem i stary fortepian, który sprzedał, bo nie było sensu wieźć go do Charkowa. Inne drobiazgi rozproszyły się i zniknęły na wieki, mimo iż teraz, w tę noc dyszącą typowo żytomierską wiosną, zrobiło mu się żal owych drobiazgów, tym bardziej że pamięć nie ustrzegła ich nazw od zapomnienia. Stół z porcelanowym blatem nie znalazł jednak miejsca w jego charkowskim mieszkaniu — żona uważała, że psuje kompozycję całości — i jedynie jakiś wewnętrzny ból nie pozwalał Chalimończukowi pozbyć się tego krzywonogiego pajęczyska, pod którym swego czasu tak lubił urządzać własny dom obstawiając dziecinnymi zabawkami.

Żona była także żytomierzanką, ale po rozstaniu

z nim wyjechała z Charkowa. Być może wróciła tutaj, gdzie pozostała jej rodzina. Ostatnio zresztą nawet o tym nie myślał.

Wszedł na chodnik ulicy Czudniowskiej, z dołu powiało znajomym zapachem rzeki. Nie chciał dzisiaj odwiedzać miejsc, które wrosły mu w duszę, dzisiaj wszystko miało być proste, nieskomplikowane; trochę myśli, trochę tamtej muzyki (melodia płynęła z głębi dolin unosząc się tak, jak unosi się poranna mgła nad rzeką), trochę spaceru po znanych i jakby nie znanych ulicach — w ciągu tych dwudziestu lat wybudowano mnóstwo nowych budynków. Były pudełkowate, z poobdrapywanymi ścianami (płaty tynku poodpadały pozostawiając szare rany). W dziwny sposób godziły one w jego pamięć, ale miały mimo wszystko swój głos, a on chciał wsłuchać się w głąb tego głosu.

Dziwiły go tak wielkie zmiany, bo jadąc tu spodziewał się czy może chciał zastać wszystko takim jak wówczas, kiedy wsiadał do pociągu i opuszczał to miasto, nie wiedząc nawet, czy kiedykolwiek tu powróci. Wtedy siedział z Marią przy oknie i więcej uwagi poświęcał jej niż przesuwającym się krajobrazom. Dopiero potem uzmysłowił sobie, że wówczas także zmierzało i za oknem zapadał taki sam wieczór jak dziś. Była wczesna wiosna, bo kiedy wracali do wspólnego pokoju na Czernyszewskiej, już w Charkowie, pod nogami chrzęścił wieczorny lód... Ulice słały się asfaltowymi wstęgami — przedtem wszędzie był bruk. Zamiast bazaru ciemniał olbrzymi skwer — paki pachniały tu intensywniej. Chalimonczuk znalazł wolną ławkę i zaczął wsłuchiwać się w muzykę, która osiągała w nim swoje apogeum. Tutaj, w tym trochę znanym miejscu, samotny, nie mogąc sięgnąć po słuchawkę telefonu i zaprosić kogoś z przyjaciół na kawę czy też wybrać się do nich w odwiedziny, odczuł raptowną jasność

myśli, niespodziewany spokój. To miasto imponowało mu. Do tej pory nie miał czasu, by się zastanowić nad takimi drobiazgami, ale teraz, kiedy utrata starego (choćby rzeczy z tego właśnie mieszkania na ulicy Rudyńskiej) wywoływała żal, nie mógł tego lekceważyć.

Czuło się wiosnę. Zarówno w specyficznym chłodzie, który kładzie się na twarz zapachem pąków, ziemi i trawy, jak i w szczególnym cieple, które czuć w gorzkim zapachu powietrza przesiąkniętego dymem palonych chwastów. Ziemia leżała w głębi ciemności, tam, gdzie nad Kamionką piętrzyło się urwisko, na przeciwnym brzegu rzeki, a także dalej, za zabudowaniami Malowanki. Ziemia docierała do duszy, bo była wiosna i nie mógł się pozbyć ani tej dziwnej muzyki, ani tego niezwykłego zdziwienia.

„Nie można tu pozostawać dłużej niż dwa dni — pomyślał. — W przeciwnym razie albo człowiek stanie się sentymentalny, albo mu wszystko obrzydnie...”

Wiosna słała już pod nogami swój dywan. Nogi stały na pociemniałej w mroku trawie, która wbijała się swymi igielkami w podeszwy i już niemal się przez nie przebijała. Wystarczyło jedynie przez krótki czas trwać w bezruchu, a on chciał się ruszać...

Maria! Ciągłe niezadowolenie aż do momentu, kiedy odeszła od niego.

Chalimończuk zdjął okulary. Kolory, drzewa, budynki i zakochani na ławkach, ścieżki i trawa przeistoczyły się w matowe kłębki, w których trudno odnaleźć początek nitki.

Zrobiło się chłodno. Wstał, poprawił palto koło szyi i powoli poszedł do hotelu. Hotel także był nowy, kiedyś stały tu zmurszałe domy, wokół których unosił się zapach nocników i ruin. Neon mocno świecił na bladym tle ściany. Sobór daremnie usiłował wysunąć się swoimi suzdalskimi kopułami powyżej pięciopiętrowe-

go sąsiada, i Chalimończuk współczuł mu. Jeszcze pięćdziesiąt lat, a upodobni się do niskiej stodoły!

Zatrzymał się na progu, po raz ostatni dzisiejszego wieczoru popatrzył na ulice. W pobliżu miejsca, gdzie kiedyś znajdował się przystanek autobusowy, stał na postumencie czołg. Zjadliwie błysnął elektrycznym pałakiem żytomierski tramwaj. Pod nogami warzyła się słodkawa zawiesina uwolnionej od śniegu ziemi, która zdążyła już podeschnąć, a teraz w wieczornym chłódzie pragnęła więcej ciepła i więcej uwagi. Nie chciało mu się wracać do obojętnego pokoju hotelowego, do czyichś gustów, nie miał ochoty ruszać się z miejsca.

„I co, Mario — pomyślał ruszając wreszcie z miejsca — jeśli ludzkie ścieżki się nie krzyżują — pozostanie mi moja samotność, a jeśli to się jednak zdarza — będzie żal?”

Ranek wydawał się błękitnym ptakiem, słońce zdołało już obejść wszystkie ściany, zasłonę drzew oraz płataninę drutów i zatrzymało się akurat w górnej szybie. Chalimończuk spał jeszcze, chociaż jednocześnie słyszał dźwięki fortepianu. Ktoś niewprawnie uderzał w klawisze, dobywając z nich prościutką melodyjkę. Tak ćwiczyła zawsze jego siostra: rodzice uważali, że jest bardzo muzykalna i postanowili zrobić z niej słynną pianistkę. A i siostra w to uwierzyła. Od rana do wieczora wystukiwała na fortepianie tę samą piosenkę. Była to piosenka o zajączku, który siedzi w polu i przebiera łapkami. Teraz, kiedy tak bardzo nie chciał zęgnąć się ze snem, melodia aż do bólu przypominała te odległe czasy, skromne uczesanie matki i jej spokojny, dobry głos. Ojciec golił się każdego ranka, brzytwa wprawnie przesuwawała się wzdłuż policzków, a on siadał w kąciку i nie spuszczał oczu z ostrza. Kto wie,

może przeczuwał moment, kiedy trzeba będzie powrócić, aby odnaleźć sekret tego wielkiego spokoju, jaki niesie ze sobą dzieciństwo, złotego, słonecznego spokoju, w którym tyle poczucia pewności i tyle światła. Lubił słuchać, jak trzeszczą drewniane schody, kiedy ojciec wracał do swego pokoju. Wychodził do pracy wcześniej, niż trzeba: urzędnicza teczka, biały, płócienny garnitur i zaskakująco olśniewający uśmiech, kiedy syn odprowadzał go wzrokiem...

Chalimończuk wsłuchiwał się w nieporadne pasaże i wydawało mu się, że wszystko rzeczywiście powraca: jego miłość do Marii, gra siostry, ojcowski płócienny garnitur i urzędnicza teczka. Maria mieszkała naprzeciw, mógł więc godzinami wpatrywać się w jej okno, a kiedy zjawiała się w nim biała główka, przywierał oczyma do jej delikatnych rysów przywodzących na myśl ciepły, letni wietrzyk. Pewnego razu zauważyła to matka. Surowo ściągnęła brwi i pokręciła głową. A dźwięki fortepianu były tak samo niewprawne i tak samo, może właśnie przez ten brak wprawy, wzruszające. Siostra uparcie siedziała przy fortepianie, a matka patrzyła na nią jak na anioła. Bo też była aniołem — szczuplutka i drobna. Chalimończuk widział ją poprzez bolące powieki. Długie przezroczyste palce przeświecone niebieskawym chłodem, blada twarz z nieprawdopodobnie żywo błyszczącymi oczyma, białe włosy, takie same jak u Marii, opadały na chude plecy, wystające obojczyki wyraźnie rysowały się pod lekkim materiałem sukienki.

Siostra miała subtelne imię, które do dziś wywołuje w nim poczucie nietrwałości piękna. Maria wychylała się z okna i wydawało się, że też słucha gry siostry. Potem dowiedział się, że to jego wypatrywała, choć było to tak nieprawdopodobne. Siostra nie mogła długo usiedzieć nawet przy śniadaniu i matka zmuszona była

hamować ją surowym wzrokiem. Mógł wtedy swobodnie rzucać psu Mucyko wi kawałki mięsa pod stół: matka całą uwagę koncentrowała na siostrze. A ta wstała od stołu pierwsza i wolno podchodziła do fortepianu. Oglądała się jakby przepraszająco (w takich momentach matka odwracała od niej twarz i potajemnie ocierała łzy), ponownie siadała do fortepianu i próbowała palcami klawiszy, a one ożywały. Twarz siostry raptownie zmieniała się nie do poznania: gra przypominała podzwanianie złotych karet... Z Marią zaczął się spotykać w ogrodzie, gdzie stała zarośnięta altanka; siedzieli na ławce machając nogami, z okien płynęły łamane dźwięki fortepianowych ćwiczeń. Czasami siostra pojawiała się w uchylonych drzwiach, jak niewidoma przechodziła przez ogród dotykając rękami listków, słońce ogrzewało jej wątłą postać, prześwietlało na wskroś. On i Maria patrzyli, jak w tajemniczy sposób rozpływała się siostrzana sylwetka. Jak gdyby rzeczywiście przestawała istnieć: była jedynie białym puszkim drżącym na wietrze... Tego wieczoru kiedy zdobył się wreszcie na to, by pocałować Marię, z domu rozległ się pełen trwogi krzyk. Wpadł do pokoju i zobaczył, że na podłodze koło fortepianu leży siostra, a nad nią jak mały chłopczyk płacze ojciec.

Chalimończuk przyglądał się rdzawe druciki włosów, jak gdyby wybierał się na dawne spotkanie. Pragnął tego spotkania; z ulicą Rudyńską, z rzędem starych drzew, które pamiętał z dzieciństwa. Poprzez zaułek, gdzie mieszkał kiedyś słynny rzeźnik Gudzieba, poszedł dalej, domy były tu rzadsze, do polskiego cmentarza nie doszedł. Skręcił w bok: chodniki, jak dawniej, były po prostu twardą, ubitą ziemią, ciągnęły się między drzewami, przypominając aleję, w której pa-

nował zawsze spokój. Tramwaj nie jeździł już do ukraińskiego cmentarza, pojawił się natomiast trolejbus — za wielki trochę jak na Żytomierz, trochę niezgrabny i dziwacznie wyglądający na znajomych ulicach. Pragnął nade wszystko znaleźć się między dwoma wzniesieniami Zakamianki; rzeczka była taka sama, toczyła błękitny nurt upstrzony gęsto kamieniami, czas nie otarł się o jej brzegi. Powódź minęła i woda zdążyła się już oczyścić. Zieleniły się ostre piki żdźbeł trawy, i stapał po niej ostrożnie w obawie, żeby nie przebić podeszew (dziś złudzenie to jeszcze intensywniej nękało świadomość). Dwa budynki w zaułku stały tak jak dawniej, naprzeciw siebie, taki sam był wydeptany dziedziniec, nowi gospodarze dorobili tylko betonowe schodki i zbudowali ganek. Poprzednio była tam szklana weranda opleciona pnączem, dobrze się tu spało latem, szczególnie wtedy, kiedy matka pozwalała brać lekką koidrę. Wczesnym rankiem można było uciec do ogrodu i spotkać się z Marią, naprzeciw były jej okna; zawsze o nich myślał, zawsze znał ich nastrój. Od tamtej pory przetoczyło się wiele fal. Napłyną jeszcze nowe, nic jednak nie wywoła już tak świętego drżenia... Maria mieszkała w Żytomierzu, był tego pewien i może dlatego nie chciał zbliżać się do tych budynków. Powrotów w zasadzie nie ma, a jeśli już są, to tylko chwilowe, po to jedynie, by na zawsze już móc się uwolnić od takich chwil. Istnieją co prawda sprawy, których nie można wyrazić słowem czy nawet słowami, ale i to trzeba przeżyć tak, jak przeżywa się wszystko... Teraz tak jak rankiem muzyka, którą nosił w sobie, przypominała brzdąkanie na fortepianie, zmarszczki matki, kiedy nachylała się nad łóżkiem. Nie przekroczył granicy: nie miał z Marią dzieci, a kiedy odjechała po raz pierwszy, zrobiło mu się żal, że ich nie miał. Przedłużyć siebie, stworzyć słoneczny świat, w którym młode oczy wyszu-

kiwałyby nowy sens i detale, włączyć się w jakieś ciche trwanie, zaprzestać gonitwy (w jego wieku nie robi się już kariery teatralnej, jeśli nie zrobiło się jej wcześniej). Czy to za sprawą talentu, czy też pasywności — kroczył własną drogą, która nie była niczym innym jak tylko zwykłym przemieleniem dni... Fortepian w dalszym ciągu wydzwaniał: „W lesie pod krzaczkiem siedział zając...” Chalimończuk wciąż jeszcze patrzył na Kamiankę, i czymś nierealnym wydawała mu się wędrówka tutaj, w ten znany, a zarazem nie znany Żyto-mierz, gdzie tak zwyczajnie wtapiają się kolory i gdzie jest taka prawdziwa wiosna.

Dzień był słoneczny. Pośród błękitnego morza, drżącego od swej własnej czystości tkwiło nie mniej czyste słońce. Chłód snuł się jeszcze wprawdzie nad ziemią, ale tutaj, gdzie rude liszaje ostro pachniały zeszłoroczną trawą, gdzie panował nastrój wiosennego przebudzenia i dochodził plusk fal, było całkiem zacisznie. Ziemia już podeschła, zobaczył nawet dwie biedronki wlokące dokądś swoje czerwone w czarne kropki ciała. Pojawiły się już pędy piółunu; lekko zielone i jakby naiwne, niczym nie przypominające mocnego, pachnącego zielska, w jakie się później przeobrażają. Słońce pieściło rudą czuprynę Chalimończuka, dotykało twarzy, głaskało powieki, tuliło do opuszczonych na kolana rąk. Dzień podchodził jak człowiek, a na jego dnie — czy to odgłosy rzeczki, czy też rzeczywiście dźwięki fortepianu — mieszały się i tłukły w uszach niczym pokruszone złoto dziecięce i właśnie dzięki tej dziecięcości niepowtarzalne, muzyczne wprawki...

Zdrzemnął się po obiedzie (jadł na miejscu, w hotelowej restauracji, gdzie ospali kelnerzy podawali posiłki) i całkiem wyraźnie ujrzał Marię. Rzadko pojawiała

się we śnie tak realnie. I może właśnie to, a może coś innego dodało jego muzyce jeszcze więcej znaczeń.

Maria szła chodnikiem, jak zawsze starannie ubrana, w butach na modnych, niewygodnych obcasach. Cały jej chłodny powab, w który stopniowo zmieniały się jej przypominające letni wiatr rysy, był teraz szczególnie wyrazisty. Wyglądała tak, jak gdyby zbyt pilnie przygotowywała się do tego spaceru. Patrzył na żonę z góry, bo znajdował się akurat w kwadratowym, obstawionym zakurzonymi meblami pokoju, dokoła snuły się smugi światła, a w nich wirował gęsty pył (do przyjscia Marii długo wpatrywał się w te smugi i w ten pył)... W korytarzu zadzwieczał dzwonek.

„Rozumiem — pomyślał — wszystko to działo się już nieraz: i ten stanowczy dzwonek, i jej słowa o sumieniu. Ach, sumienie! — ścisnął skronie. To jest właśnie najważniejsze...”

W korytarzu dał się słyszeć wyraźny odgłos kroków i Maria pewnym ruchem otworzyła drzwi.

— Zawsze jesteś nieuprzejmy — powiedziała niemal wesoło. — Czy sprawia ci przyjemność zmuszanie mnie do czekania?

— Dlaczego przyszłaś? — zapytał cicho, pochylając ramiona jak człowiek zmęczony.

— Dowiedziałam się, że postanowiłeś odwiedzić to miasto.

— Od kogo?

— Tutaj wszyscy znają się nawzajem.

Patrzył na nią uważnie. Była spokojna. Może nazbyt spokojna. Ten chłód i powab — lekki letni wiatr przemknął przez ogród, stracił biały kwiat i znikł. Pociągnięte lakierem paznokcie postukiwały o stół. Zawsze lubił patrzeć na jej ręce, wiedziała o tym. Tam, na przeciw okien, zawsze pojawiało się delikatne światło,

które pociągało jego wzrok — tym światłem była ona, jej białe włosy i letni wiatr...

— Dlaczego przyszedłeś? — z nostalgią w głosie zapytał ponownie.

— Jesteś przecież moim mężem — odpowiedziała.

Pochylił się ku niej.

— Po co ta farsa, Mario? Przecież wiesz doskonale, że się nie dobralismy. Interesowałaś się modami, fryzurami, mieszkaniem... Chciałaś się dobrze bawić... Chciałaś, żeby rozumiano tylko ciebie...

Pochyliła głowę i jej cudne, długie rzęsy zadrżały. Chłód gwałtownie rozstąpił, patrzył na to z głębokim zdziwieniem: stała się Marią z ulicy Rudyńskiej. Tą, która wybiegała bosą na ich wspólną polanę, rozrzucając białe, czyste włosy. Tą, która skakała po kryształowo zielonej murawie i której sukienka unosiła się do góry w takt ruchów, odsłaniając krągłe, dziecięce kolana...

— Dobrze, pójdę — powiedziała. — Jesteś taki, jak byłeś. Nigdy nie zrozumiesz, czego potrzeba kobiecie... czego pragnie...

— Jestem sam.

— Głupia byłam... związałam się z tobą...

— Zaczynamy się kłócić, Mario. Nie można pogodzić czegoś, czego pogodzić się nie da. Dla nas... to smutne... Byłaś wrogiem mojej samotności.

— Ach, Piotrze. Teraz jest wiosna. Bardzo źle czuję się wiosną. Wszystko leci mi z rąk. Ja też powinienam czymś żyć, mnie również potrzebne jest jakieś oparcie.

— Po co?

— Czy ja wiem! Niedawno byłam w Charkowie. Przeczytałam na afiszu twoje nazwisko. Lepiej teraz grasz. Ale u ciebie, Piotrze, także pojawiła się niepewność. Dlatego przyszedłam...

Nie odpowiedział. Odwrócił się do okna i patrzył, jak przez szybę złotymi potokami wpływają do pokoju promienie słoneczne.

„Można by spróbować jeszcze raz, ona mnie jednak rozumie” — pomyślał.

Dokoła pływały spokojnie srebrne pyłki i nagle uświadomił sobie, że człowiekowi potrzeba bardzo niewiele: trochę spokoju, trochę akceptacji i trochę doświadczenia...

— Pójdę już. Widzę, że nie zmieniłeś się ani trochę...

Podniosła się. Zachowała jeszcze swój cały lub niemal cały wdzięk. On także wstał.

+ Wybacz mi, Mario...

Roześmiała się nienaturalnie.

— Żadne z nas nie bierze pod uwagę tego, że nie różni się niczym od innego...

— Tak — powiedział i pomyślał, że widocznie się starzeje. A może jest już za stary do tego skomplikowanego i takiego zwykłego zarazem życia.

Pożegnali się. Patrzył w okno i widział, jak ulicą szła powoli znajoma postać. Była to znowu dziewczynka z białymi, spadającymi na plecy włosami, bosa, na zielonej, soczystozielonej trawie, o rysach przywodzących na myśl delikatny, letni wiatr. Stał oddzielony od niej szklaną barierą okna, patrzył na piękną, smukłą postać, piękne nogi, a w duszy poruszyło się coś, co tkwiło głęboko, gdzieś na samym jej dnie...

Wyjechał z Żytomierza wieczorem. Było już ciemno, kiedy dotarł do dworca autobusowego. Wysiadł z trolejbusu, do którego nadal nie mógł się przyzwyczaić i od razu zobaczył przestarzały, rozklekotany tramwaj, wolno wlokący swe drewniane ciało po srebr-

nej ścieżce szyn. Od tego widoku zrobiło mu się lepiej na sercu i do autobusu wsiadł już całkiem spokojny. Muzyka zjawiała się zaraz za Smokiwką. Szofer zgasił światło. Chalimończuk wygodnie kołysał się na poduszkach siedzenia. Napływały na niego światła, przyćmione sylwetki chat, ruchliwe cienie, które nawet w mroku kroczyły białymi ścieżkami. Drzewa tańczyły wzdłuż równego nasypu, a tam, gdzie zanurzał się autobus, tłukła się wesola gromadka reflektorów samochodowych. Myślał o tym, że powinno się czasem dokonać jakiegoś porównania, choćby dwóch miast, bo zawsze daje to jakiś rezultat. Teraz będzie mu już łatwiej (przynajmniej przez pewien czas), a kiedy znów legnie kamień, trzeba będzie szukać nowej kryjówki.

Noc otoczyła Chalimończuka, odsłaniając zalaną księżycowym światłem drogę. Daleko w tyle leżał senny Żytomierz, i Chalimończuk pomyślał o nim z serdecznym ciepłem, w którym zawarta była także prośba o przebaczenie.

DZIESIEĆ KILOMETRÓW MILCZENIA

Listonosz przypiął narty, poprawił rzemienie torby, w której nosił pocztę, opuścił uszy czapki, mocniej zacisnął pas i wsparł dłonie na kijkach. Gęsto i srebrzyście parowało stygnące powietrze, wzgórze przypominały gromadę białych niedźwiedzi.

Budynek, w którym mieszkał razem z dwunastoma chłopakami, jaśniał żółtymi kwadracikami szyb. Listonosz spojrział na niebo: gwiazdy już pogasły, jedynie przybladły księżyc bezmyślnie sterczał wśród szarzyzny. Zawsze zatrzymywał się przed wyruszeniem na trasę. Musiał uchwycić, zebrać w sobie myśli i uczucia, które brał ze sobą w drogę. A potem była już tylko droga. Drewniany budynek koszar, drewniany domek radiostacji, zimna antena, drewniany budynek poczty i trzy dziewczyny pocziarki, które wydawały i przyjmowały pocztę, aparat telegraficzny w kącie...

Listonosz stał na wzniesieniu, para oddechu otaczała twarz i osiadała szronem na wojskowym płaszczu. Myślał o długiej trasie samotnego biegu, o długim narciarskim szlaku, jaki będzie przemierzał, i o tym, że jeszcze raz będzie mógł zagłębić się w swoje wnętrze.

Odepchnął się i narty poniosły go w dół. Suchy śnieg poświstywał pod nogami. Szybko przemykały zasypa-
ne niemal po wierzchołki smukłe cienie krzaków. Je-

szcze raz musiał się skupić, nateńczyć uwagę, bo u podnóża było urwisko i trzeba było skoczyć.

Skoczył, narty poderwały się do góry i zamarły w powietrzu. Miękko wylądował i pomknął dalej. Zaczynała się jego trasa, szlak narciarski biegł wzdłuż doliny, pętłąc między obojętnymi wzgórzami. Mrok płynął razem z nim, wynurzał się z nie kończącej się nocy jak leniwy, senny niedźwiedź.

Wjechał na stały szlak i nie spiesząc się, pobiegł na spotkanie półprzejrzystego mroku świtania. Zapodziały się już gdzieś ogniki szyb, napłynęła natomiast nieruchoma i oziębla, srebrzystobiała cisza. Śnieg równomiernie poświstywał pod nartami i — wśród śnieżnej martwoty mózg listonosza zaczynał ożywać.

„Urodziłem się tak, jak rodzi się dzień — myślał. — Na Ukrainie dni mijają inaczej niż tutaj. Można byłoby opowiadać: wschód słońca i rzeczka, która paruje jak mleko, i krowy, które pachną snem. I rosa, w której odbija się niebo. Wilgotne słoneczniki zwracają swe twarze ku słońcu. (Potem zobaczyłem stacje lokacyjne, które zwracają swe twarze ku metalowi na niebie). Zawsze chciałem ochronić swą patriarchalność. Bo patriarchalność ochronili także moi rodzice... W domu unosił się zapach jedzenia, które gotowało się na niewielkiej płycie. Tutaj pomiędzy zapachami kuchni rozpoczynały się długie opowieści matki o jej życiu, jeszcze przedtem, zanim ja pojawiłem się na świecie. Siedziałem w półmroku i słuchałem tych opowieści. Z tamtych ludzi nie było już nikogo na świecie i opowieści dziwnie oddziaływały na moją chłopięcą duszę. Chciałem, żeby wrócili i ci ludzie, za którymi tęskni matka i ten czas jej młodości, który naznaczył w jej duszy jasne ścieżki. Żal mi było jej młodości. Może kiedyś mój syn żałować będzie mojej. Poszła ona inną drogą, a teraz zaczynam już idealizować tak, jak idea-

lizowała matka swoje życie pod ojcowską strzechą. Jest w tym swoista racja, swoista cudowna nieśmiertelność, i matczyna postać pochyłona nad garnkami daje mi poczucie właśnie tej nieśmiertelności. Wszystko skwierczało i bulgotało, następnego dnia znowu wszystko skwierczało i bulgotało, a ojciec co rano szedł do pracy i całował nas kłującą, nie ogoloną brodą.”

Listonosz biegł w mrok. Poskrzypywały wiązania nart, naga przestrzeń wydawała się głucha od bezgranicznego milczenia. Nierealność martwoty zawsze go szokowała. Sam na sam z szarością i nieruchomością, sam na sam z mrokiem. Biegł coraz szybciej i szybciej. Otaczała go nieokreślona i tępa, martwa i zamknięta próżnia. Czuł ją jak śmierć. Przeciw temu wszystko w człowieku protestuje żywa materia, dziwna, piękna, niepowtarzalna materia. Dana raz na zawsze.

Skała, do której codziennie podjeżdżał, przypominała twarz: wielkie równe czoło nieruchomo szarzało w mroku, szeroki uskok imitował nos, dwa pęknięcia tworzyły zaciśnięte w ponurym milczeniu usta. Szary lęk drażnił duszę listonosza, bo skała niespodziewanie ożywała. Zatrzymał się i uważnie rozejrzał. Głucho lodowaciała wokoło nieruchoma cisza i kamienie były jedynie kamieniami. Chłodny, dziki kamień oddychał mrozem. Z wierzchołka zsunął się śnieg, biały pył obysypał listonosza. Cisza podkradła się do niego i zatrzymała obok jak człowiek.

„Życie składa się z powrotów i odejść — myślał — ale w duszy zawsze będzie istnieć łagodna porankowatość, którą wyniosło się z dzieciństwa. Bo poranek zawsze pozostanie porankiem. A słoneczniki ileż to już wieków obracają swe wilgotne twarze na spotkanie słońcu. Przeżyłem dwadzieścia cztery lata, ale jakże odległe jest już dla mnie uczucie wywoływane przez dotyk ojcowskiego policzka. Byliśmy wtedy jedynie

pisklętami w gnieździe, które otwierają dzioby domagając się jedzenia. Kto z nas myślał wówczas, w jaki sposób zdobywa się to jedzenie?”

Listonosz biegł szybko pustą doliną. Latem było tu błoto, a teraz — szeroka, śnieżna przestrzeń. I nic nie zakłócało tej białej nienaruszalności — jedynie samotne, pozostawione przez narty koleiny, mocno utwardzone przez mróz, które ciągnęły się w dal. Pod wpływem oddechu powstawała para i na włoskach materiału szynela zastygał szron... Niebo wypogadzało się, ale zmierzch jeszcze w nim żył; księżyc tak samo obojętnie wystawiał swe rogi. Nieśmiertelny księżyc, który kręci się nad głową przez całe dwadzieścia cztery godziny doby.

Za plecami w torbie szeptały listy. Żywe kwadraciki z zapisanymi arkusikami. Znał wszystkie adresy, pod jakie przysłano te arkusiki.

Zawiało koleiny wytyczające trasę i listonosz zwoinił krok. Ciężko załamywała się szorstka, śnieżna powłoka — wiatry lubiły tę dolinę. Ale na razie panowała cisza, tylko i wyłącznie cisza. Niewzruszoność niezdarne sączyła rozrzedzone światło, które drgało dookoła i przelewało się: z góry na dół, z dołu do góry.

Wszystko spowijał gęsty mrok, milczący jak noc. Nie było nawet ptaków. Listonosz odnalazł koleiny i pobiegł szybciej. Z ust wydobywały się szare obłoczki gęstej pary.

„Żyjemy po to, by pracować i pracujemy po to, by żyć. Zrozumiałem to w ciągu jednej nocy. Zbliżał się wówczas poranek. Biegłem zająć kolejkę po chleb. Wypadłem na ulicę: noc mieszała się ze świtem, srebrzyste opary kłębiły się po stronie rzeczki, a fale chlupotały tak wyraźnie, że mogłem rozróżnić ich tony. Pędziłem pod górę, przez cuchnące podwórze (mieszkańcy lubili wylewać pomyje prosto przez okna), zatyka-

łem nos i przeskakiwałem przez zalaną trującymi oparami przestrzeń. Za podwórzem ciągnęła się ścieżka. Biegłem tą ścieżką do jabłoni, która rosła samotnie nad urwiskiem. Ona też spowita była siwym mlekiem oparów. Zatrzymałem się patrząc na jej połyskujące liście. Na ziemi leżały chłodne jabłka. Zbierałem je obiema rękami i wrzucałem za pazuchę, a one delikatnie studziły moje rozgrzane ciało. Potrząsałem drzewem i razem z jabłkami posypała się na mnie wielka, gruboziarnista rosa. Krople świeciły się jak diamenty. Błyszczały liście i jabłka. Całe drzewo mieniło się świętecznie i skrzyło srebrem jak królowna.

Kiedy przybiegłem do sklepu, kolejka zakręcała za róg. Znużeni ludzie rozmawiali, siedząc na chodnikach na podścielonych gazetach. Były tu same kobiety — niezgrabne, w wiszących sukienkach; z otępiałymi twarzami. Patrzyłem na nie oczyma pełnymi współczucia i z zadowoleniem słuchałem ich rozmów, bo rozmawiały o chlebie, mieszkaniach, zarobkach i kartoflach. Wyjmowałem zza pazuchy jabłka i jadłem. Jabłka pachniały na przemian świeżą ziemią i jesiennymi liśćmi. W tym momencie lubiłem i tych ludzi, i ich rozmowę. Potrafiłem ubolewać nad ich otępiałymi twarzami i gruboskórnymi rękami. W takim momencie wybaczałem im nawet to, że rozmowy ich toczyły się wokół jedzenia i miejsca zamieszkania. Bo był w tym swoisty sens, który wydawał mi się nienaruszalny jak prawo, a także swoiste zasady i swoista nieuniknioność. Ludzie jednoczyli się ze sobą wspólnymi niemi. Stanowili pewną całość: ta ulica, to miejsce, wreszcie ta kolejka. Byli podobni do siebie, i to podobieństwo jednoczyło ich pomysły. Za to właśnie ich kochałem — tego ranka spowitego wrześniową mgłą i na pół jesienną atmosferą dojrzewania. Moja matka niczym się od

nich nie różniła. Była taka jak wszyscy, i ja kochałem ją za to podobieństwo.

Ale kiedy przywieźli chleb, stało się coś odwrotnego. Wszyscy zaczęli krzyczeć, twarze, na które parę minut temu patrzyłem z przyjemnością, raptem straciły swoją dobroć, robiły się coraz bardziej wściekle, a usta już zaczęły wyrzucać z siebie wyzwiska. Trzeszczało mi w uszach od wrzasku, i wśród tej ruchliwej, zbitej ciżby poczułem się nagle jak bezbronny owad. Szturchano mnie ze wszystkich stron, ciężkie nogi następowały na moje. Ktoś szarpnął moją koszulę i wilgotne, pachnące jabłka posypały się na ziemię. Płakałem patrząc, jak deptają nogami moje jabłka. Ślizgano się na nich i złorzeczono, a ja nic nie widziałem oprócz butów, które wgniatały jabłka w trotuar. Trzeba było dużej siły woli, żeby nie przekląć w tym momencie wszystkich ludzi. Dopiero potem zrozumiałem, że było to okrucieństwo, które nie powinno wywoływać złości. Bo złość zrodzona przez złość nikogo od niczego nie uratowała. Trzeba znaleźć w sobie siłę, żeby odzyskać równowagę i spojrzeć na świat bezstronnie — oczyma rozumu i dobra.”

Listonosz biegł na spotkanie księżyca, który był jego wiernym towarzyszem podróży. Niebo pojaśniało i śnieg stał się całkiem biały. Chłodna równina doliny pozostała już w tyle. Listonosz przejechał przez pustą, zasypaną śniegiem drogę łamiąc kruchą szren, skierował się na spotkanie maleńkiego, łysego wzniesienia. Mróz zaczerwienił policzki, które teraz intensywnie paliły, nogi zaczynały już kołować. Listonosz obejrzał się do tyłu, skąd ciągnęły się dwie równe nitki — koleiny pozostawione przez narty, czuł potrzebę mówienia. Ale wokół była próżnia, a niebo wisiało nad nim obojętnie i nieruchomo. Zaczął wspinać się na wznie-

sienie. Na szczycie zawsze wiał wiatr, ale dzisiaj dojrzewała szczelna cisza. Nieskończenie i monotonnie rozpościerały się przyplaszczony wierzchołki. Stał długo wsparłszy się całym ciałem o kijki.

„W tej próżni — myślał — szczególnie silnie czuje się potrzebę spotkania człowieka. W pustyni zawsze spieszy się na spotkanie ludziom. Nie ma w niej wrogów ani przyjaciół, wszyscy są dla siebie sprzymierzeńcami i braćmi. Pustynia jednoczy. I duszę ogarnia poczucie więzi rodzinnej. Widzisz dom w niewielkim mieście, gdzie pachnie maciejka, gdzie matka i ojciec pochylają się nad stołem, aby wypisać synowi na papierze kilka bardzo banalnych słów. Nie mogę być zły w pustyni. Różnych ludzi spotykałem na szlaku. Byli chciwi i obojętni, byli też tacy, których dusze to zwyczajna kloaka. Pozostali oni bardzo daleko. Bo w pustyni nie ma namiętności tego świata, który leży tam, za wzgórzami. Ale ten świat to mój świat. Właśnie dlatego wbrew pustyni chcę go widzieć. Chcę go rozpoznawać po wyrazie twarzy ludzi, którzy żyli obok mnie, po roślinach, ścieżkach, budynkach, miejscach. Chcę poznawać nareszcie rozkosz zwyczajnego ludzkiego istnienia w otoczeniu przedmiotów, które towarzyszą ci od urodzenia. Chcę wstąpić do domu ogrzanego moją świadomością i spokojnie, zwyczajnie przyjąć wieczerzę, jaką przygotowała mi matka...”

Listonosz odepchnął się kijkami i poniosło go w dół. Wiatr bił po policzkach, narty lekko kroiliy śnieg, poświstywał wiatr tamując oddech. Był to jak upadek, a w upadku jest zawsze swoista radość i rozpacz. Razem z cenną duszą padał w otchłań wypełnionej śniegiem przestrzeni; tam, gdzie pomiędzy białymi kudłatymi wzniesieniami przytuliły się nie mniej kudłate chatki miasteczka.

„Każdy człowiek jest na swój sposób podróżnikiem.

Świat, w którym żyje, zaczyna mu się wydawać zbyt banalny, i kiedy zaczyna odczuwać nudę, wyrusza na długie wędrówki. Jeszcze jako chłopiec opuściłem ciepłe, ojcowskie domostwo i rozpocząłem swój bieg. Jaki będę za dziesięć lat? Kto wymieni stacje, na których będę się zatrzymywał? Jakich ludzi spotkam na tych stacjach?... Teraz jestem w pustyni. Żyję nią, a pustynia żyje mną. Bo jestem jedyną żywą duszą na dziesięć kilometrów milczenia. I stąd, gdzie dojrzewa chłodny kamień i nieczułym staje się nie mniej chłodny śnieg, zaczynam spoglądać tam, skąd ciągną się dwie nici mojego życia. Być może jest to powrót prawdy? Ale autentycznie prawdziwe powroty nie zdarzają się, zdarza się jedynie podobieństwo. I im więcej takiego podobieństwa, tym pewniejsze są nasze prawdy."

Listonosz pokonywał żwawo milczącą przestrzeń. Mróz ciągnął za nim podzwaniając zlodowaciałym powietrzem. Wokół panowała głucha cisza, która przybierała jakieś fantastyczne kształty, była w niej swoista sztuczność, choć wszystko wokół pozostawało szczególnie realne: i śnieg, i wzgórza, i nagie, szare kamienie. I niebo, które całkiem się rozjaśniło i zlewało teraz na ziemię mętne potoki dnia. Listonosz biegł odszukując stare ślady nart, a śnieg sucho skrzypiał i chrząścił pod nogami...

CHMIEL

1.

O godzinie piątej rano dziad wstawał z pościeli; okiennice były z zewnątrz zamknięte i nawet latem o tej porze w pokoju panował półmrok. Dziad wstawał pozostawiając swą senną małżonkę w łóżku, podchodził do ikon w kącie izby, klękał i modlił się. Pachniało jeszcze snem. W czasie lata przez szczeliny okien nic sączyły się żółte smużki słońca — padały na podłogę, na pogrążoną we śnie twarz żony, która mlasakała ustami i słodko posapywała. Mrok ożywał, stary z całych sił, aż do bólu, napinał wzrok wpatrując się w pociemniałą ikonę. Bóg jak zawsze był niewzruszenie chłodny, i stary aż się zaczynał denerwować. Choć raz na całe życie wszechmocny mógłby ożyć, ale wszystko było przejrzyste realne: żółte smużki słońca, chrapliwy oddech i mlaskanie żony, zapach nie przewietrzonego pokoju...

Nie zawsze się modlił. Czasem trwał na klęczkach bez żadnego słowa — myślał o żonie, która śpi do dziewiątej, o córce, która śpi do jedenastej, wnukach: Dżimie i Arturze. Chimera imion to jedyne „dostojeństwo” zięcia, którego kilka lat wstecz poniosło gdzieś daleko i na długo, choć przyznać trzeba, pieniądze na dzieci przysyłał regularnie. Stary stał uniósłszy głowę ku pociemniałemu Bogu i myślał. Myślał o poranku, o rzece — dom przycupnął na peryferiach mia-

steczka, odgradzony od innych spróchniałym parkanem — myślał i o parkanie, który dawno trzeba by już naprawić. Rzeka podpływała aż pod dom, o poranku drżała nad wodą delikatna, błękitna mgiełka — stary lubił wjeżdżać weń łódką. Myślał też o zatopionej więcierzy i o rybach, które srebrzyście lśnią obijając się o łożowe boki, kiedy więcierz unosi się do góry. Błękitna woda ścieka z niego, krople mienia się w pierwszych słonecznych promieniach i dźwięcznie uderzają o nieruchomą taflę. W takich chwilach modlitwa była przyjemnym marzeniem, poruszaniem się między snem i jawą — takie poranki wróżyły dobry nastrój, dobry dzień i dobry połów.

Kiedy dziada dręczyły zmartwienia, modlił się naprawdę. Mamrotał wyuczone słowa i wpijał oczy w pociemniałą ikonę. Bóg też był senny, bo zmrok wypełniał pokój, i te kilka promieni, które prześlizgiwały się przez okiennice, przecinały go jedynie na kilka nierównych, dygocących płaszczyzn. Burmotał wyuczone słowa i marzył o choćby najmniejszym ruchu Bożej twarzy. Ale Bóg jest Bogiem, on nie musi okazywać śmiertelnych słabości, jest tylko cieniem, plamą w kącie, która wszystko widzi, słyszy i wie, ale nigdy nie była niesprawiedliwa.

Tym razem nie modlił się. Klęczał i myślał. Resztki senności sprawiały, że myśli były powolne, leniwe, choć w duszy budził się już niepokój. Niepokój ten nie miał określonego charakteru — był to ferment, który stary chciał jak najszybciej ugasić. Po modlitwie lubił obchodzić dom. Budynek był stary, ale dobry, solidnie wzniesiony. Składał się z pięciu izb — jedna dla niego i żony, druga dla córki, trzecia dla wnuków, czwartą wynajmował lokator — buchalter, wyschnięty jak szczapa stary kawaler, który prawie nie bywał w domu, w piątej znajdowała się spi-

zarnia, miejsce jego duchowego odpoczynku. Ściany były w niej drewniane, okiennice zawsze zamknięte, tylko w jednej koło górnej szyby wycięto trójkąt.

I trójkąt światła leżał na workach z ziarnem dla królików i kur oraz zapasami kaszy. Na sznurku wisiała spora szynka, ponętnie czerwieniejąc wędzonym mięsem. Choć mieszkał w mieście, zawsze miał zapasy. W spiżarni wisiały królicze skórki, ciemniały w sąsiedku kartofle — te do szybszego spożycia (podstawowy zapas był w piwnicy). Dziad siadał na worku z ziarnem, wdychał łagodny aromat szynki — na razie nie pozwalał jej ruszać. Trójkąt światła wpuszczał do środka drżące powietrze, a on pragnął nie spiesząc się dotykać duszą fal czasu — kto wie, ile ich jeszcze będzie musiał pokonać.

I modlił się jeszcze dziad o to, by spokojnie dożyć do śmierci.

„Nie pragnę uniesień — raczej czuł, niż myślał — chcę tylko spokoju i ciszy.”

W spiżarni rzeczywiście panowała cisza, można tu było przesiadywać godzinami — plótł wtedy sieci. Oczko zaczepiało o oczko, drewniana igła pętliła między wgłębieniami, wydawało się, że sieć wycieka z koniuszków palców — plotła się, wypłatała jak pajęczyna. W głowie powstawała jeszcze jedna — sieć myśli. Obie sieci — jedna widoczna, druga niewidoczna — wplątały się w ciszę. Słońce wlewało się w trójkątny otwór, też plotło sieć. Wśród tego bezliku sieci stary kołysał się jak w czasie modlitwy.

Niepokój pojawiał się wtedy, gdy myślał o córce. Obchodził rankiem dom, zaglądał także do niej. Ubranie, jak zawsze, porozrzucane było po pokoju — córka spała. Niepokój przychodził także wtedy, kiedy myślał o wnukach. Zięć powlókł się gdzieś, gdzie oczy poniosą, dziad go nie lubił — rozmiłowany był w piłce

nożnej i motocyklu. Hasali z córką po drogach, a potem przyjeżdżali i zamykali się w swoim pokoju. Skrzypiało wtedy łóżko — ściany solidnego dziadowego domu od środka były cienkie — i słychać było gorączkowy szept. Dziada ogarniała wściekłość. Chciał wdrzeć się do ich pokoju, chwycić tego psa (w myślach zawsze nazywał zięcia psem) i wyrzucić precz, ale napotykał poważne, milczące spojrzenie żony, spluwał więc tylko i wychodził do spiżarni, do sieci. Siadał na worku, przekrzywiał głowę i patrzył w trójkątny otwór. Kiedy mu bardziej dojadło, zamykał się w sobie i rozpoczynał modlitwę. Modlił się, żeby „psa” zły los pokarał — córka wyskoczyła za mąż, kiedy miała szesnaście lat (dziecko urodziło się dwa miesiące po ślubie) i była już zamężna siedemnaście lat.

Kiedy dziada nie było, Dżim z bratem zamykali się w spiżarni. Dżim zakładał na ręce (najpierw owijał palce bandażem) zimowe rękawice i boksował szynkę.

— Będę bokserem, bezwarunkowo! — przysięgał bratu, który rozwalony na worku smoktał pozostawiony przez dziada niedopałek. — Potrzebne mi są pieniądze. Gdybym miał pieniądze, rzuciłbym tego pierdołę i poszedł gdzie oczy poniosą. A potem zapisałbym się do szkoły bokserskiej.

Dżim czekał, aż się uspokoi rozhuśtana szynka i ponownie zaczynał ją maltretować.

— Dzi — powiedział brat dosmoktując niedopałek — daj, teraz ja!

— Ein moment — Dżim triumfalnie unosił prawą rękę. — Tylko nie nazywaj mnie tym beznadziejnie górnołotnym imieniem. Mów do mnie Żora, Żora Stalowa Ręka. Ja jeszcze, niech to diabli, pokażę, na co

mnie stać! Ring, walki, sława... Potrzebne mi są pieniądze! Pieniądze, żeby uciec...

— Żora — powiedział przypochlebiając się brat. — Daj uderzyć kilka razy. Przyjdzie stary, to za diabła się nie potrenuje.

— Stary tak szybko nie przyjdzie. — Dalej boksował szynkę Dżim. — Przychodzi o dwunastą. Zdążyś i ty pomachać.

Dżim otarł pot z czoła.

— Czort z nim — powiedział zdejmując rękawice. — Boksuj. Ja trochę odpocznę. Staraj się posyłać cios wprost. — Dżim splunął na czystą podłogę spiżarni i rozwalił się na workach; cherlawe piersi falowały intensywnie, ręce zwisały bezwładnie.

— Obrzydło mi to wszystko — powiedział patrząc, jak brat boksuje szynkę. — Ta rodzinka, niech diabli wezmą, ta nora i w ogóle to durne miasto. Tu wszyscy się znają jak na wsi. A ja chcę wolności. Robić, co się podoba...

— A teraz nie robisz, co ci się podoba? — Artur niewprawnie okładał szynkę pięściami.

— Siedzę na ich chlebie. To, że nie mam zamiaru dalej się uczyć, nikogo nie boli. Skoro moja mama ma to gdzieś, to ja na to jak na lato. Do roboty mnie nie zaprzęgna!

— Ja też chciałbym rzucić szkołę, Żo. Mnie też obrzydł ten kołowrotek. Wiesz — Artur przestał nagle boksować — mam pomysł: zrobimy tratwę i puścimy się rzeką. Dopłyniemy do Dniepru, potem w dół, do morza. Zrobiłem już spis żywności...

— Pacan! — splunął na podłogę Dżim. — Ja się nie piszę na takie draki. Na diabła. Potrzebne mi są pieniądze.

— Dlaczego draki? — Artur całkiem opuścił ręce. — Ładne mi draki. Ja mam swój plan...

— Jesteś jeszcze osesek — splunął znowu Dżim. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Sam ucieknę, bo chcę swobodnie pooddychać powietrzem.

Dżim wstał i zabrał bratu rękawice. Stał w postawie wyjściowej i posłał ostry cios w szynkę.

— Chcę wolności — powiedział. — Chcę żyć samodzielnym życiem. Chcę zmienić swoje imię. Nie chcę się czuć od nikogo zależny. Ty jeszcze tego nie rozumiesz, jesteś jeszcze pacan. Będziesz jeszcze skomlał, kiedy cię chwyci za duszę. A chwyci! Bo im dalej, tym więcej mam klepek. I wtedy zaczynam szukać tego, czego nam potrzeba...

— Ho, ho, aleś się zgrzał — powiedział Artur. — Kończ już, bo szynka przejdzie twoim potem.

Nie zdążył się zorientować, jak wyrosła przed nim wściekła twarz brata, a pięść zawisała nad głową. Artur zwinął się w kłębek i potoczył do drzwi, po czym w mgnieniu oka wyskoczył za próg. Dżim opuścił rękę. Nie spieszył się. Zdejmował rękawice, mrużył oczy pod wpływem światła sączącego się przez wycięcie w okiennicy, chował rękawice w stare szmaty, powoli rozmotywał bandaż z palców i już zaczynał czuć, jak pochłaniają go fale nostalgii. Siadał na worku i opuszczał ręce. Od uderzeń o szynkę bolały palce, masował je. Chował do kieszeni bandaż, wstawał, rozglądał się dokoła, zatykał dziurkę od klucza i wtedy szybko, jak złodziej, zaczynał myszkować po kątach. Przerzucał szmaty, przesypywał z miejsca na miejsce kartofle, przetrząsał worki — tego, czego szukał, nie było. Wówczas Dżima ogarniała niechęć. Porządkował wszystko, żeby było tak jak dotychczas (dziad skwapliwie przestrzegał, żeby wszystko leżało na swoim miejscu) i wpatrywał się w szynkę. Kiedyś spadnie — rozmyślał. Z pewnością spadnie i narobi łoskotu do stu diabłów. Wtedy w domu wybuchnie gigantyczny

skandal! Chcę, żeby ta szynka spadła. Matka oderwie się od lustra: „Co tam takiego?” Dziad tupać będzie ze złości nogami. „Jak to tak? Nie słyszysz, nigdy nie słyszysz, możesz się tam i nie słyszysz, że ten łajdak, żeby jego matkę pokreśliło, oberwał szynkę!...” Dżim siedział na worku i rozcierał palce. Potem wstał, zbliżył się do okna, wszedł na stertę szmat, podciągnął się na rękach i przycisnął twarz do trójkątnego wycięcia w okiennicy. Oślepiło go nagle słońce, zieleń letniego poranku, zieleń jabłek i ogrodów, chwastów wzdłuż parkanu, zieleń brzegu i jasnego dnia, który spływał na świat, zalewając wszystko prostopadłym strumieniem, oczy stawały się mętne — mętne od piołunu, kartofli i mlecza. Mętne od kołaczków, psianki, ogórków, pędów arbuzów i pomidorów...

Kiedy szynka się oberwie, myślał, dziad ciśnie we mnie polanem. Polano uderzy w ścianę, odłupie glinę albo rozbije jakąś miskę. To jeszcze bardziej rozwścieczy dziada, który zacznie potrząsać pięściami nad głową: „Co tam się stało?” — matka odwróci twarz od lustra. „Ten twój wypłodek — krzyżeć będzie dziad — oberwał szynkę!” „Też mi bieda. — Matka znowu wróci do lustra. — Znaleźli sobie nieszczęście.” Dżim niemal rozpląszczył twarz na szkle szyby. Nie patrzył już w trójkątny otwór, właściwie w ogóle nigdzie nie patrzył, czuł tylko głuche, nękające, aż mdłące rozdrażnienie...

Liza odwróciła twarz od lustra.

— Dziś przyjdę późno.

— Jak chcesz — burknęła matka. — Nie jesteś dzieckiem.

— Nie zrozumiałaś mnie. — Córka znów powróciła do lustra, rozchyliła wargi, napinając je na zębach

i pociągnęła czerwoną szminką. — Sama wiesz, jaki jest ojciec. Wolałby mnie oddać do klasztoru...

— Ciebie akurat da się oddać. — Stara siedziała na łóżku i bezmyślnie kręciła w rękach lokówkę.

— Nie zrzedź, mamó. — Córka z wprawą pokrywała szminką usta. — Stary zamknie drzwi na wszystkie zamki, a ty, człowiecze, stój jak głupi i stukaj. Zaczynam mieć tego dosyć! I pomyśleć tylko, ojciec dba o rzeczy, o których dawno już powinien zapomnieć. Nie chcę nic mówić, sama wiesz, jaki on jest, ale naprawdę zaczynam mieć tego dosyć...

Córka wzięła ciemny ołówek i pomalowała brwi.

— Mam trzydzieści trzy lata i chciałabym robić wszystko, co chcę.

Matka wstała i poczłapała do drzwi.

— Więc zrobisz to? — rzuciła w ślad za nią córka.

Stara odwróciła się, wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Liza jeszcze raz spojrzała w lustro. Patrzyła na nią nieco pomięta, ale młoda jeszcze twarz. Bluzka opinała piersi, a ramiona jaśniały delikatną matowością. Liza uśmiechnęła się, zwierciadlana podobizna także się uśmiechnęła; długo patrzyły jedna na drugą: ta tutaj i tamta w lustrze. Poznawały się już nawzajem: nieco zmrużone oczy, które błyszczały wyzywająco i ckliwie, szerokie, wydatne, precyzyjnie pociągnięte szminką usta, szczupy nos, który drżał z uniesienia, kiedy była czymś podekscytowana.

Wtedy się śmiała, zarzucała głowę, rozciągając szerokie usta, przymykała oczy i śmiała się. Głośno, nieco piskliwie, jakby ją łaskotano — mężczyznom się to podoba, myślała, bo zawsze kiedy się śmiała, Wadim podchodził do niej zbyt blisko i groźnie dyszał. Omdlewała od tego oddechu, serce kołatało, ech, gdyby on wiedział, że ma dwoje niemal dorosłych dzieci i że

znała mężczyzn nie takich jak on. Patrzyła na niego kpiąco wydymając usta. W jego oczach migotały złe iskierki, na rękach nabrzmiewały ciężkie bomby muskułów. Drażniła się, chciała się drażnić, ryzykować, chciała się śmiać i wyśmiewać; w takich chwilach stawała się zła jak kotka — nienawidzili siebie nawzajem, ale oboje czuli, że to do czasu. Ten czas jeszcze nie nadszedł.

„Do diabła, nie poddam się tak łatwo — myślała. — Niech pobiega...” I oto znudziła jej się już gra. „Poszłabym z nim gdzie oczy poniosą, a wtedy — niech się nawet ziemia zawali...”

Wciąż jeszcze patrzyły jedna na drugą: ta tutaj i tamta w lustrze.

„Za tydzień zawody motocyklowe. Spróbujemy swych sił” — myślała mrużąc oczy.

Do bólu pragnęła ruchu, takiego ruchu, od którego zawirowałby świat, pragnęła gnać motocykl przez góry, wspinać się na skarpy, a gdzieś na wysokości przewrócić się do góry kołami. Pragnęła bólu, szalonej gonitwy. Gdzieś za tydzień, pocieszała się, zawody motocyklowe, Wadim też będzie uczestniczyć w tym wariackim współzawodnictwie — niech pokaże, do czego zdolna jest jego przereklamowana maszyna. Po zawodach wszystko się ułoży, po zawodach ona rozpocznie bardziej otwartą grę...

Zegarek wybił drugą. Zerwała się. Włożyła sweter, spodnie, pantofle na niskim obcasie. Jeszcze raz spojrzała w lustro — była smukła i silna. Zmarszczki na twarzy nawet jej pasowały.

Na podwórzu czekał na nią motocykl. Nacisnęła sprzęgło i maszyna ożyła. Wyprowadziła motocykl przez furtkę, wskoczyła na siodełko. Ogarnęło ją znane uczucie radości, jakie pojawiało się zawsze, ilekroć chwyciła dłońmi kierownicę.

„Panować — tłukło się po głowie — panować — to najważniejsze!”

Motocykl wyskoczył na drogę i obok niej zaczęły przemykać szybko drzewa, parkany, budynki...

„On myśli, że się bez niego nie obejść — złościł się Artur, kiedy wypadł ze spiżarni. — Myśli, że jest taki mądry i taki wszechwiedzący. Kicham na wszystkie jego plany.”

Był wspaniały słoneczny dzień. Na podwórzu leżał wielki, czarny pies i lypał sennymi ślepiami. Kiedy zobaczył Artura, zaszurał ogonem po rdeście. W pobliżu stały, jedna na drugiej, królicze klatki. Białe jak śnieg króliki wykrzywiały mordki i połyskiwały czerwonymi oczkami. Kura pracowicie dziobała w miejscu, gdzie niedawno wysypane było ziarno, kogut siedział na płocie z pochyloną głową i przymkniętym jednym okiem.

„On myśli, że nie obejść się bez niego” — wrócił do rozważań Artur, ale tym razem miały już one łagodniejszy charakter.

Było mu trochę niedobrze, a w dodatku bolało gardło. Babka zabroniła mu się kąpać. Posłuchał, bo najbardziej ze wszystkiego nie lubił leżenia w łóżku. Wtedy świat nabrzmiewał jak wata w wodzie, stawał się mętny i obcy. Artur siadł na werandzie, splótł przed sobą ręce i oparł się na kolanach. Przez parkan widać było rzekę, która lśniła jak łuska olbrzymiej ryby. Szumiały dwa amerykańskie klony pochylając i tak już zmurszały parkan. Rzeka, pomyślał Artur, może popłynąć Bóg wie dokąd!... Majaczyły przed nim niewyraźne zarysy Missisipi i niewyraźna twarz Huckelberry'ego Finna, czuł w ustach cierpki smak przygody, słabością przepełniało słońce — takie cudowne i ciep-

le. Rzeką, pomyślał Artur, można się dostać do Dniepru, a potem w dół do Morza Czarnego... Spojrzał znowu na klony, na parkan, który giął się pod wpływem ich napierającego ciężaru — rzeka lśniła łuską jak olbrzymia ryba. Oczywiście takie ryby nie istnieją, rozmyślał Artur, taka ryba może się tylko przyśnić. Żeby to złowić taką rybę, rozmyślał, i przynieść dziadowi. Dziad pewnie pękłby z wysiłku, ale dowłókłby ją do bazaru. Artur poweselał nawet wyobrażając sobie taki oto widok: dziad zarzucił rzekę na plecy i wlecze na bazar. Dokoła kłębią się ludzie, mnóstwo ciekawych ludzi, a dziadowi do worka sypią się złote monety.

„On myśli, że się bez niego nie obejdę” — po raz trzeci pomyślał Artur i w jego głowie rozjaśniło się nagle od nowego pomysłu. Znowu spojrzał na rzekę, klony i uginający się pod nim parkan; skoczył na równe nogi...

Wołodkę zastał w ogrodzie. Leżał sobie w kąpielówkach, a jego brązowe ciało lśniło potem.

— Mam pomysł — powiedział Artur.

Wołodka zwrócił ku niemu głowę i spojrzał sennie.

— To całkiem proste — powiedział Artur, uderzając o spodnie złamaną po drodze gałązką łoży. — Można zrobić tratwę i puścić się nią po rzece. Do Dniepru. Dnieprem już łatwiej, prąd tam silniejszy, nie trzeba drąga, i tak poniesie łatwiutko...

Wołodka leniwie splunął w grządkę truskawek.

— Wszystko to abrykadabra. Awancurnictwo!

— Po pierwsze — Artur spokojnie poklepał łożyną spodnie — nie awancurnictwo, a awanturnictwo, a po drugie nie abrykadabra, tylko abrakadabra.

— Bardzoś uczony — splunął po raz drugi Wołodka. — Sznuruj do takich samych jak ty uczonych. Ja mam to gdzieś...

Artur wyszedł na ulicę i dokonał oględzin długiej

wstęgi parkanu. Zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Mrużąc oczy spojrzał w niebo. Płynęły waciane, dobroduszne, kłębiaste chmury, a pomiędzy nimi promieniał tak niemiłosirny błękit, że Arturowi znowu przejaśniało w głowie. Bracia, powiedział do siebie w myśli, Kolka i Sławko. Oto, kto zrozumie ten plan najdoskonalszy z doskonałych!...

Pod wieczór dziad odczuwał zmęczenie. Codzienna krzątanina przy gospodarstwie (na pomoc wnuków i córki dawno już przestał liczyć) wyczerpywała go jednak. Rano niósł ryby na bazar, utarg dokładał do wczorajszego i przedwczorajszego gromadząc w jedną kupę. W spiżarni, kiedy wyjmował pieniądze, oglądał się czujnie. Wokół panowała cisza, ciemniał trójkątny otwór, było mroczno. Stary zapalał światło, rozpościł na podłodze ceratę i wysypywał z niewielkiego woreczka ziarno. W ziarnie znajdowała się owinięta w ścierkę paczuszka. Dziad rozwiązywał ją delikatnie, siadając plecami do dziurki od klucza i ostrożnie przeliczał banknoty, które pachniały nieco wilgocią — brał to za zapach ziarna — i prawie nie szeleściły. Nie lubił nowych banknotów, tylko te, które się miękko rozkładały i zwijały. Długo trzymał pieniądze na dłoni, czuł się wtedy spokojnie i bezpiecznie. Powściągliwie świeciło słabe światło, nieruchomo wisiała szynka, apetycznie czerwieniejąc wędzonym mięsem — wszystko leżało tak, jak układał, wszystko tu podporządkowane było jego rozumowi i jego woli. W tym królestwie stary odnajdywał to, o co prosił co rano Boga — spokój i ciszę. Kąpał się w tym spokoju. Nawet nie chciało mu się ruszać: byle zastygnąć nieruchomym cieniem i chłonać tę zwykłą, płynną i wolną ciszę. W takich chwilach czuł się szczególnie wolny.

Wolny od zwracania uwagi na kogokolwiek, wolny od codziennej krzątaniny i tych zawsze towarzyszących jej zgryzot. Dla niego świat się zmieniał, świat przeobrażał się i tworzył swój najwyższy sens — taki świat dziad szanował aż do bałwochwalstwa. Przerzucał banknoty, nie chciało się ich tracić, choć potrzeby były nagłe: za emeryturę i alimenty nie tak łatwo jest przeżyć. W takich chwilach przypominał sobie nawet swój tramwaj, na którym przepracował ponad trzydzieści lat. Dziad przerzucał banknoty, dotykając ich opuszkami palców. Niech ta cisza trwa jak najdłużej, marzył, niech trwa to nieruchome, monotonne światło lampki, niech w nieskończoność wisi szynka — dla niego była to oznaka zamożności. W takich chwilach dziad sięgał nawet do wspomnień, i przeszłość jawiła mu się w różowym drzeniu promieni słonecznych, w blasku fal, w ruchu łodzi po rzece. Dziad kołysał się w tych promieniach, w tych falach wśród łodzi i wyobrażał sobie złudne błyski latarni nad wodą i srebrzystą rybę, która do połowy napełniała więcierze. W takich chwilach uśmiechał się — był to jedyny uśmiech w ciągu całego dnia... Potem zawijał pieniądze w szmatkę, sypał do woreczka część ziarna, chował zawiniątko i dosypywał resztę.

W spiżarni wciąż jeszcze trwała cisza, nie chciał jej przerywać. Wieczór był dobry, aksamitny, wydawało się, że gdy dotknie się go palcami — pieścić będzie skórę jak kosztowny materiał. Stary siedział na worku, paląc skręta: tytoń siał sam, sam suszył, kruszył i wysypywał do torebek. Palił teraz pozaubiegłoroczny tytoń, ubiegłoroczny — niech poleży, tegoroczny — na zapas. Stary ciągnął skręta, a jego twarz stawała się zamyślona i łagodna, palce same sięgały po drewnianą igłę i plotły oczko za oczkiem,

spełzały na kolana, oplątywały szczelną pajęczyną, kładły miękko koło ścian — dziad splatał swój świat sieciami. Własne sieci, twierdził, nigdy nie są sieciami, własne sieci, jak by ich nie pleciono — zawsze posiadają silniejszą moc niż cudze, splecione już. Plół więc tak inną sieć — pasmo myśli, słowa szczepiały się jedne z drugimi jak oczka, a w górze spokojnie tliła się lampka, i trójkątny otwór tego wieczora cieszył swoim aksamitem...

Dopiero kiedy czuł się bardzo zmęczony, wychodził ze spiżarni. Dziś w domu nikogo nie było, tylko żona siedziała na łóżku i robiła na drutach wełniane skarpetki.

— Gdzie Liza?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Czy ona się nie za bardzo włóczy? — powiedział i stękając siadł na niskim stołeczku.

— Młoda, to i lata — obojętnie odpowiedziała stara. — Jakies zawody mają...

— Już ja znam te zawody — dziad zapalał się niczym zapalka. — Od tych zawodów trzeciego w zawiniątku przyniesie.

— Tych dwoje jest od ślubnego męża — surowo poprawiła stara. — W zawiniątku póki co jeszcze żadnego nie przyniosła.

— Hańba! Matka dorosłych dzieci... Hańba!

— Hańba, kiedy mąż obok — niespodziewanie głośno skwitowała stara. — A gdzie ten łobuz? Gdzie, pytam?

Dziad sapał, papieros skwierczał.

— A chłopcy gdzie?

— Na ulicy, a gdzie by? — Stara już ze złością spoglądała na męża. — Ot, jaki wieczór, lato cudowne, to co, w chałupie mają się dusić?

— Według mnie... — dziad wstał — według mnie, powiadam, niechby i na głowę wyleźli. A to, że twoja córka latawica, to fakt...

— Taka moja, jak i twoja — odparowała stara. — Mało to sam w młodości tokowałeś?

— Tfu na twoją głowę! — stracił cierpliwość stary.

— Na swoją tfukaj!

Stary wyszedł na werandę. Podpłynął do niego wieczór. Spokojny, rozległy jak droga. Rzeka zastygła w nim jak budyń, kumkały żaby, rzucały się ryby, głośno pluszcząc o wodę. Ktoś szedł i pod nogami trzeszczał piasek. Stary przysiadł na werandzie i popadł w zadumę: jak to się stało, że wszyscy oni są takimi próżniakami? Całe życie przeżyłem uginając się pod ciężarem pracy, wszystko na moich barkach niczym garb. Jak to się stało, że wszyscy oni są takimi próżniakami? Córka żyła z alimentów na synów, a synowie poszli w jej ślady: jeden chce rzucić szkołę, żeby zbijać baki, drugi ledwie nadaża z nauką. Gdyby mnie w swoim czasie dano się uczyć, myślał, doszedłbym do czego innego w życiu... — zatrzymał się raptem przy tej myśli, uderzony tym, że jest tak niespodziewana. Czyżby był niezadowolony ze swego życia? I czyż to ojciec nie gonił go do szkoły batem?

Kolka i Sławko leżeli na trawie, a Artur spacerował. Napływał niebieski wieczór, miękko snuł się zmrok: kładł się na bez i ogrody, domy i parkany. Od rzeki ciągnęło wilgotną świeżością, rechotały żaby, głośno gardłowały kaczki. Jaśniała biała droga, ściany budynków — delikatny, przymglony pastel, wzgórza tuliły się do zielonych okryć krzaków, wierzchołki wzgórz żółciły się dokładnie przyczesanymi czuprynami pszenicy. Niebo leżało na tych czuprynach i wy-

glądało to tak, jak gdyby z obu stron celowo postawiono olbrzymów w zielonych okryciach, bez głów, ale za to o złotych pszenicznych włosach.

— To całkiem proste — powiedział Artur, zatrzymując się przed braćmi. — Można zrobić tratwę i puścić się rzeką. Do Dniepru. — Artur przygryzł słodkie źdźbło trawy. — Jedzenie można zabrać z domu, zrobiłem właśnie spis, czego i ile trzeba.

Kolka położył się na brzuchu, podparł głowę dłońmi i wyciągnął zgięte w kolanach nogi.

— Wszystko to dobrze, ale z czego zrobić tratwę?

Artur siadł. Leniwie patrzył przed siebie: tam, gdzie ulica wtapiała się w mrok, tam, gdzie ciągnęły się w dal drabiny parkanów, tam, gdzie góry zasłaniały niebo i czupryny złotej pszenicy.

— Z czego zrobić? — niechętnie zaczął Artur. — To taka prosta sztuka, że nawet sobie nie wyobrażacie. Spójrzcie tam...

Machnął głową. Chłopcy spojrzeli, ale nic nie zobaczyli. Tylko ulica wtapiała się w mrok, a w dal ciągnęły się długie drabiny parkanów, drzemały jeszcze nie oświetlone budynki, wzgórza przesłaniały niebo.

— No jak? — zapytał Artur. — Czy to nie proste? Całkiem proste.

— Dla ciebie może i proste, a dla nas nie — odpowiedział Sławko.

— Przecież wam pokazuję.

Artur siadł wygodniej, nadał policzki i wypuścił powietrze.

— Możemy zacząć dzisiaj — powiedział. — A materiał... Zaczniemy od parkanu mojego dziada.

Bracia aż siedli z wrażenia. Przez twarz Kolki przemknął uśmiech. Sławko tylko mrugał oczyma.

— Zuch jesteś! To ci pomysł!

— No i wspaniale. — Artur aż poczerwieniał z dumy. Ale było już ciemno i nikt tego nie zauważył, najważniejsze, że można było zaczynać robotę.

Było już rzeczywiście ciemno. Dżim śledził dziada, gdy ten krył się w spiżarni, i podkrażał się do dziurki od klucza. Była zatkana szmatą. Dżim zaklął w myślach: sam wsadził tam szmatę... Wyszedł na podwórze, przeskoczył przez płot i znalazł się w kartoflach. Na końcu podwórza miał zaciszne, wyścielone skoszoną trawą miejsce. Położył się na wznak i utkwiał wzrok w niebie. Wisiało ono lśniąc niezliczonym mnóstwem migocących ogników, i tu, wśród tych ogników, odczuł w szczególny sposób ssącą nostalgię. Może to nie była nawet nostalgia, może to był jedynie żal — Dżimowi zapierało oddech. To przekleństwo, myślał, ktoś mnie z pewnością przeklął. Dlaczego przypadek zrządził, że nadano mu... psie imię. W okolicy były pięćdziesiąt dwa psy (wie to dokładnie), z których dziesięć wabiło się Dżim.

Patrzył na niebo i przeliczał: Herasymczuk — pies wielki, kudłaty i niezłośliwy, rudy jak płomień; Biłan — pies wielki, młody i zły; Mygało — pies szary, z przetrąconą łapą; Petruszanko — pies domowy, z tym trudno będzie sobie poradzić: prowadzi go na smyczy wysuszona jak grzyb Petruszanicha; Choriłko — pies rasy mieszanej, wielki, kłapciaste uszy, kiedyś kamień trafił go w zad, ale odbił się jak od ściany; Kropywa — pies z opadającymi uszami i białymi łatami na bokach; Sołtys — pies czarny. U Huzana, Miniejły i Hrycana psy nie są spuszczone z łańcucha... Dżim odczuwał złość. Kpiny w szkole, kpiny na ulicy. Przewrócił się z pleców na brzuch, wbił palce

i twarz w trawę: delikatnie i łagodnie pachniały na pół uschnięte źdźbła. To jeszcze bardziej rozjątrzyło jego żal. Do bólu przygryzł wargę...

— Pojedźmy gdzieś jeszcze — zaproponował Wadim, kiedy rozjeżdżali się po treningu.

— Jestem zmęczona — powiedziała Liza.

— Piękny wieczór.

— Wiem — popatrzyła na niego z ukosa. — Gdzież ty chcesz jechać?

— Gdzie oczy poniosą — Wadim zdjął motocyklowe okulary. Zatrzymali się na cichej ulicy i siedli na ławce pod ogrodzeniem.

— No to ruszaj — Liza zmęczonym ruchem wyciągnęła nogi.

— Z tobą? — pochylił się ku niej.

— No, no! Nie zapominaj, że dokoła są oczy.

— A bez oczu?

— Co bez oczu?

— Bez oczu chcesz?

Zaśmiała się. Zadarła głowę, rozciągnęła usta — dwie czerwone pijawki na białych opuszkach zębów.

— Gdzie proponujesz?

— Gdzie chcesz — odpowiedział obojętnie.

— Do lasku, na łączkę? — znowu się zaśmiała, odrzucając do tyłu głowę.

Splunął.

— Rozjedźmy się.

— Czego się nadąsałeś?

— Znudziło mi się — z niezadowoleniem ściągnął brwi.

— Owwa! — Liza popatrzyła na niego jakby zdziwiona. — Dawno?

Wstał i nacisnął starter. Zadudnił motor. Liza sie-

działa na ławce, oparta plecami o parkan; z wyciągniętymi nogami. Na ulicy pojawili się ludzie. Jakby od niechcenia przechodzili z jednego podwórka na drugie, nienaturalnie zwracając ku nim twarze.

— No dosyć — powiedział. — Przejedziemy się?

Wstała bez słowa i nacisnęła starter. Łagodnie zapracowały silniki, motocykle prychnęły i ruszyły z uliczki na szosę. Zza furtek powyżerały ciekawe twarze, długo obserwując dwa szare dymki w szarym jak nastrój melancholijnego ciepła zmięzchu.

— Jeżeli chłop szaleje, to jeszcze można wytrzymać — powiedział sąsiad do sąsiada — ale jeżeli ba-ba... Założyła portki jak ta, za przeproszeniem, i wy-wija...

Ciemność była jakby z waty, miękka w dotyku. Chłopcy przeszli przez drogę, w piersiach drżał strach, przyjemnie było czuć napięte mięśnie nóg. Głowa pracowała jak automat: trzeba było podejść do płotu od strony zaułka. Tam wystraszyły ich psy, rozujadały się na trwogę i chłopcy przycupnęli pod murem.

— Trzeba odliczyć dziesięć desek — szeptał Artur — jedenasta ledwie się trzyma. Pociągnąć raz — i gotowe. Uciekać będziemy w zaułek, tam łatwiej się ukryć.

— Może pójdziesz na rozpoznanie? — szepnął Kolka.

— Jakie tam rozpoznanie — rozgorączkował się Artur — co to ja nie znam płotu swego dziada?

„Unicestwię wszystkie psy, które wabią się Dżim — myślał Dżim — wyłaząc ze swej kryjówki. To będzie pierwsze zadanie. Potem — trzeba będzie dokładniej poszukać dziadowych pieniędzy.”

Wyciągnął ze skrytki pałkę z pętlą na końcu, oczy błyszczały gorączkowo, ciało przenikał dreszcz, zasychało w gardle i zbierało się na wymioty. To było tak, wyobrażał sobie. Matka urodziła mnie tego wieczoru, kiedy szedł jakiś amerykański film. To było tak, złość rozsadzała mu piersi, ojciec wyszedł z kina i pomknął na porodówkę. Matka wychyliła się z okna i pokazała mu mnie. „Syn czy córka?” — darł się ojciec. „Syn” — odpowiedziała matka. „Będzie Dżim — zaśmiał się ojciec — wymyśliłem mu, ha, ha, wspaniałe imię!...”

Ubrany był w zwykłe spodnie, kraciastą koszulę. Wysoki i chudy jak patyk, człapał bosymi nogami po ciepłym piachu ścieżki. Kościste łokcie odstawiały do tyłu. Szedł ulicą z drągiem, na końcu którego dyndała drucziana pętla, do cna przepełniony złością i bólem. Wielka, podłużna twarz paliła dwoma piekącymi plamami ognia — było to coś pomiędzy gniewem i płaczem. Wąski, długi nos drżał, usta wykrzywiały się w ostry zarys, szyja była napięta i jakby skamieniała. Szedł na wielką rozprawę. Obracał w ustach wyschnięty język, wyschnięte podniebienie piekło jak poparzone, wyschnięte gardło nie mogło przełknąć nawet powietrza. Biała ścieżka wiodła go na podwórze Herasymczuka — pierwszego, który musiał mu zapłacić za nieudany wybór psiego imienia. Przemknął przed nim wyraźny cień, usłyszał warczenie. Odwrócił się szybko — obok niego szczyrzył zęby psi pysk. Pies uderzył zadem o parkan, ciemność zaklejała Dżimowi usta i oczy, brakowało mu powietrza, astma spinała piersi, ręce kurczowo ścisnęły pałkę z pętlą...

Pies wyczuł niebezpieczeństwo, szarpnął się, znowu zabłysły oczy i białe, nadzwyczaj białe zęby kłapnęły gdzieś przed twarzą i do nosa wdarł się ostry zapach psiej sierści, pies przywarł do parkanu wyszczerzywszy kły. Nie szczekał. Zapowiadał się milczący pojedynek.

Pętla zbliżyła się do psiego gardła, pies skoczył do góry, złapał drut zębami i zacharczał. Dżim cofnął się gwałtownie do tyłu i oto raptem rozległ się nad nim niemal ludzki krzyk. Stało się to niespodziewanie nagle, krzyk strzelił Dżimowi w uszy, uderzył po piętach. Chłopak zerwał się i rzucił do ucieczki, nieświadomie ciągnąc za sobą i pałkę, i psa w pętli. Pies bił całym ciałem o drogę, krzyk świdrował chłopcu uszy, pies włókł się po trawie z bezwładnie już rozrzuconymi łapami. Dżim porzucił i pałkę, i psa.

Pędził w noc z szeroko otwartymi ustami i oczami. Łzy spływały mu po twarzy, szloch szarpał piersi. Upadł w coś miękkiego i wilgotnego. Upadł zanurzając się rękami i twarzą. Piersi rwały się w strzepy, gryzł wargę, żeby nie wyć, a nad nim sączyło się miękkie, zaczarowane niebo, nad nim płynęła cisza i miętko kołysał się księżyc. Gdzieś całkiem blisko pluskała uspokojona po dniu rzeka, słychać było, jak z ubrania powoli, z lekkim poświstem osuwa się piach...

Dziś dziad modlił się także wieczorem. Dom był pusty, żona poszła do sąsiadki na pogaduszki i został sam jak palec. Zazwyczaj modlił się tylko rano, ale dziś odezwał się w jego duszy niecodzienny lęk. Dziś brał górę niepokój, dziad nie mógł znaleźć sobie miejsca: myślał o córce, co może teraz robić. Myśli były aż cyniczne, i stary czuł w piersiach przypływy złości. Myślał o wnukach, których nie mógł nauczyć wybaczenia. Uklęknął w pokoju, w którym ze ścian patrzyli bogowie, nisko pochylony jak rano, bardziej rozmyślając, niż modląc się. Nie rozumiał lęku, który wgryzał się w jego serce, nie rozumiał niepokoju, który zrodził się bez dostatecznych przyczyn. Wszystko było jak zawsze: żona poszła do sąsiadki, córka się szlajała, a wnu-

ki gdzieś rozrabiały. Pozostawał sam przez długie godziny, od zmroku do nocy — wszystko toczyło się zwykłym biegiem. Ale dziś działo się coś dziwnego. To „coś” było bardzo nieokreślone i bardzo ciężkie do ogarnięcia przez dziadowy umysł: nie był w stanie sprecyzować tego za pomocą słów. Czyżby stało się coś złego w rodzinie? Czy może miało się stać? Skąd w takim razie takie przeświadczenie?

„Nie mam wiedzieć o tym wszystkim, co się ma zdarzyć” — mówił w myślach do siebie, usypiając lęk. Może coś się dzieje teraz z córką albo wnukami? Ale dokoła trwała mętna, spokojna cisza. Przez otwarte okno — światła nie zapalał, tylko koło obrazów migotał cherlawy płomyk — czuć było oddech upojonego zielenią i rzeką wieczoru, cykały świerszcze i było jednocześnie zacisznie. Co może się zdarzyć wśród takiej ciszy? — rozmyślał stary. Jeżeli coś się stanie, wszystko się poruszy. Wiedział, że to złudzenie, ale chciał go, chciał i uniósł wzrok. Tam, gdzie wśród króciutkich rozbłysków płomyka kryły się wiecznie nieruchome, wiecznie takie same przenikliwe oczy. Zaparło mu dech: wydało mu się, że te oczy napełniły się żywym blaskiem, a koło płomyka poruszyły się żywe usta. Staremu zdrętwiały kolana, z lękiem przeciągnął dłoń po twarzy. Wszystko było zwyczajne. Wszystko było za bardzo zwyczajne: były te nieruchome usta i te namalowane na desce oczy. Tylko mały płomyk chwiał się i chwiał, zapalał mocniej i przygasał. Mały płomyk dziwnie przypominający leśnego duszka, który utkwiał na ostrzu kaganka i w żaden sposób nie może wyrwać ze szczeliny swoich obutych w niebieskie ciżemki nóżek.

Siedzieli pod sosną.

— Niezła jesteś — powiedział Wadim.

Skierowała na niego wilgotne spojrzenie. Usta rozchyliły się błyskając zębami.

— Mam zamiar stąd wyjechać — powiedział.

Poczuła chłód w piersiach.

— Nie jesteś tutejszy?

Wstał, przeciągnął się z rozkoszą i przeszedł kilka kroków.

— A nietutejszy.

— No i co?

— Chcesz pojechać ze mną?

Wolno spadał z niej ciężar.

— Co ty o mnie wiesz? — Opanowała ją chwila skruchy. — Przecież ty nic nie wiesz...

— I nie chcę wiedzieć. Proponuję tylko...

Błysnęła wilgotnym spojrzeniem.

— Nie potrzebuję napiwku.

Uklękła przed nią i mocno ujął dłońmi za skronie.

— Do diabła, jaki napiwek. Podobasz mi się i tyle. Mam w Dniepropietrowsku samodzielne mieszkanie. Ty musisz zdecydować — jedziesz czy nie.

Zaśmiała się. Uwolniła głowę i zaśmiała się.

— Może zaproponujesz mi jeszcze małżeństwo?

Śmiała się, filmowo rozciągając usta ze zlizaną szminką, śmiała się głośno, z zadowoleniem. Była noc i on nie widział ani zmazanej szminki, ani rozczochranych włosów.

— Co tobie?

— Och kusicielu, złoczyńco. Nie mogła się pohamować. — Tak podoba mi się ta gra w niezależność, w silnego i nieuchwytnego...

Śmiała się. Smutek i żal roztajały w duszy, było zwyczajnie i spokojnie. A on czuł, że siła rzeczywiście go opuszcza.

„Do diabła — spłoszył się w myślach. — Ona faktycznie może wziąć mnie w ręce.”

— No dobrze — powiedział oschle. — Teraz nie będziemy nad tym dłużej dyskutować.

— A kto tu dyskutuje, chłopczyku?

Wstał. Patrzyła na niego w mroku wilgotnymi, szeroko rozwartymi oczyma. Zwinięta gdzieś w dole koło nóg, przypominała drapieżną i niebezpieczną kotkę — jej nozdrza zaczynały drżeć, a usta ukazywały rzędy perłowych zębów.

— Kto tu dyskutuje? — powtórzyła.

Wadim chciał zakląć, ale tylko zrobił krok do przodu. Jej oczy już otwarcie błyszczały mu na spotkanie — czuła, jak umacnia się w niej i z każdą chwilą krzepnie siła i że znów wraca na ziemię...

— Dziesiąta deska od końca — powiedział Artur.

— Przecież mówiłeś, że jedenasta?

— Spróbujemy tam — Artur położył się na trawie i zaczął się czołgać. Kolka ze Sławkiem poczołgali się w ślad za nim. Koło dziesiątej deski zatrzymali się. Obmacali — trzymała się mocno.

— Bierz jedenastą — powiedział szeptem Kolka.

Jedenasta chwiała się, Artur pociągnął ją do siebie: chrypliwie, z wysiłkiem zaskrzypiały gwoździe.

— Ciszej — powiedział Sławko.

Artur pociągnął silniej. Dał się słyszeć suchy jak wystrzał odgłos. Chłopcy ile sił czmychnęli w zaułek.

— Też mi — powiedział Artur, kiedy się zatrzymali. — Ty mnie nie ucz, sam wiem.

Uważnie i z zachwytem obmacali starą, niemal całkiem zbutwiałą deskę...

2.

Liza uciekła z domu zaraz po zawodach motocyklowych.

W dniu zawodów Dżim wstał wcześniej po to, by znaleźć sobie najdogodniejsze miejsce do obserwacji. Startowano na tamtym brzegu rzeki, pod Psyszczańską Górą. Rozwieszono czerwoną płachtę, motocykliści wyjeżdżali na trasę pojedynczo. Dżim siedział na lipie okrakiem i patrzył w lornetkę. Dokoła kłębiło się mnóstwo ludzi, z tej okazji zjechały ze trzy bufety, w których sprzedawano piwo butelkowe, lemoniadę, kiełbasę i lody. Orkiestra wojskowa od czasu do czasu wybuchała miedzianym zadęciem — cichł wówczas nawet warkot motorów. Dżim patrzył na wydęte policzki muzyków, na ich wytrzeszczone oczy, na dyrygenta, który machając pałeczką nie wiadomo dlaczego wypinał zadek. Zadek był okrągły, obleczony w mundur z pęknięciem pośrodku, szyja otoczona zielonym suknem lśniła czerwonością. Spokojnie paląc papierosy spacerowali po trawie milicjanci, publiczność była beztroska i spokojna. Dzień skrzył się jaskrawym słońcem, czystym i nie mniej jaskrawym niebem. Liście spłukał w nocy deszcz i teraz lśniły figlarnie. Wszystko zapowiadało dobrą niedzielę i dobrą rozrywkę. Dziad zdecydowanie odmówił pójścia na zawody: „Nie mam zwyczaju patrzeć na wariatów”. Babka włożyła odświętną białą chustkę, nową spódnicę i teraz jej twarz promieniała zadowoleniem wśród tłumu sąsiadek.

Przyczyną dodatkowych emocji był nocny deszcz. Psyszczańska Góra rozmokła i pierwszy zawodnik zarył się pod samym wierzchołkiem. Motocykl przechyliło, mignął czerwony hełm i zawodnik znalazł się w krzakach. Publiczność zawyła z zadowoleniem. Drugi atakujący nie podjechał nawet do połowy góry, mo-

tocykl stanął dęba i ześlizgnął się w dół. Dżim widział zachłapaną błotem twarz zawodnika, wykrzywioną ze złości czy niezadowolenia. Trzeci przewrócił się na plecy, motocykl upadł na niego — pod górę pomknęły szybko białe kitle w białych czapkach. Machały śmiesznie małymi walizeczkami, a kiedy Dżim skierował lornetkę na rannego, białe postacie już podnosiły motocykl. Czwarty zawodnik miał wilgotne, skórzane plecy. Szarpnął z miejsca, aż grudki ziemi posypały się dookoła, ruszył pod górę i mignął siodełkiem na wierzchołku. Publika zawyla.

Dżim nie miał nastroju, by patrzeć na zawody. Chciał dosiedzieć tylko do tego momentu, kiedy na trasę wyjedzie matka. Kobiety wypuścili jako ostatnie. Uważnie patrzył, jak szarpnął żółty motocykl matki, jak pochyliła się nad kierownicą, żółty hełm szybko przemknął pomiędzy porozrzucanymi na polanie postaciami. Matka pełną szybkością ruszyła na górę, ale pośrodku koła ześlizgnęły się. Do bólu w oczach natężył wzrok — to było jak na zwolnionym filmie, choć wszystko trwało może ze dwie, trzy sekundy. Matka zdążyła zeskoczyć z motocykla — chciała wyprowadzić maszynę i podciągnąć pod górę pieszo. Widział, jak grzęzną w rozjeżdżonej ziemi jej buty, jak napina się na plecach kombinezon. Dżim już ledwie trzymał lornetkę, łzy spływały na szkła i pokrywały je matową powłoką. Matka wciąż jeszcze ciągnęła motocykl, ale maszynę wywróciło i matka upadłszy na twarz, zjechała na dół z szeroko rozstawionymi rękami i nogami...

Dżim zeskoczył z drzewa. Szedł drewnianą kładką i głośno stukał podeszwami. W głowie szumiało, oczy bolały od nadmiernego wysiłku. W środku czuł pustkę aż do mdłości. Szedł bezludną ulicą i jego dusza rozbryzgiwała się jak strumień...

Na podwórzu nikogo nie było. Słońce świeciło tak samo wesoło, tak samo płonął błękit nieba, od ogrodu niósł się zapach wyschniętego kartofliska i soczystych pomidorów. Pocykiwał świerszcz, pies wymachiwał ogonem, patrząc na Dżima błagalnie i przymilnie. Dżim odwrócił się. Spacerowały kury skubiąc trawę, za parkanem widać było rzekę, tłum, który obserwował sukcesy i porażki motocyklistów. Klon pochylił się nad parkanem, dziad odwiązywał łodzie — przygotowywał się do ucieczki na cichą wodną przestrzeń pomiędzy nawisającymi składami. Dżim otworzył zamek. Dom dyszał niezwykłą martwością, w spiżarni mieszkała przytajona cisza i przytajony półmrok. Dżim naciągnął rękawice i stanął w pozycji wyjściowej. Czuł rozgoryczenie, samotność i tęsknotę. Kiedy szynka spadnie, rozważał, posyłając pierwszy cios prawą, wybuchnie gigantyczny skandal. Spadnie jednak, Dżim maltretował szynkę. Szynka chwiała się na mocnym sznurku, skrzypiał gwóźdź, uginając się pod jej ciężarem. Kiedy ja wreszcie zacznę samodzielne życie, myślał Dżim boksując szynkę, to nie będę miał żadnego gospodarstwa. Do diabła z gospodarstwem, posyłał cios za ciosem, do diabła z zapasami, trzeba myśleć tylko o dniu dzisiejszym. Młócił szynkę jak swego zajadłego wroga. Zbuduję wszystko po swojemu: nikt nie ośmieli się znieważyć mnie czy kpić ze mnie. Trzeba tylko znaleźć sobie miejsce pod słońcem...

Pot lał się z twarzy Dżima, chłopiec siadł na worku, zmęczony, spuścił głowę. Było duszno. A może nadmiernie się przegrzał. Podeszedł do sąsiaka i klęknął przy parapecie. Przytulił twarz do szkła i zielone królestwo sadu i ogrodu, drzew i trawy prysnęło mu między oczy. Nagle zachciało mu się płakać, wbić twarz w szmaty i zawyć, jak wył tego wieczoru, kiedy chciał się rozprawić ze wszystkimi Dżimami.

Dżimy żyją, myślał, i nikomu nic złego nie robią. To on powinien uciekać! Dżim niemal całkiem rozpląszczył twarz na szybie, oczy jakby wrosły w szkło, patrzyły ze środka przełamane kilkakrotnym odbiciem, patrzyły tak, jakby żyły w szkłe, a cieniutkie strumyczki spływały i spływały, wymywając rowki na zakurzonej szybie.

Ciężko odczuł dziad ucieczkę córki. Miotał się rozjuszony po pokoju, wymachiwał białym skrawkiem listu i krzyczał.

— Mówiłem ci, że z tą larwą inaczej trzeba było rozmawiać! Mówiłem, czy może znowu powiesz, że to ja jestem winien? Tak, tak, winien, bo mało ją tłukłem, kiedy była dzieckiem, a ludzie wyrastają tylko z bitych. Tylko z bitych! Czy nie mówiłem, bierz dziewczynę za pierze. Paska jej trzeba było, paska! Za mąż — szesnastoletnia! Żeby twoją matkę pokręciło za to zamążpójście! Kobieta, trzydzieści trzy lata, a romanse jej w głowie. Ja tobie, gadzino, wybije te romanse...

Tłukł pięścią w stół. Babka milczała, a on długo nie mógł krzyżeć. Naraz odczuwał zniechęcenie, zmęczenie, aż w końcu zobojętnienie. Spluwał z całych sił i wychodził. Potem, kiedy babka szła do kuchni, wracał, klękał i wtedy ogarniała go zwykła zaduma. A może otumanienie. Kołysał się w przypływie złego zmęczenia nie patrząc nawet na ikony i ciężko mu było otwierać przymknięte powieki. Wtedy wstawał i szedł do spiżarni. Tutaj panowała kompletna cisza i dziad zmęczony siadał na worku. Mieliśmy jedną córkę, mamrotał, a i ta się nie udała, urodziło się to takie wypłoszowate. Ale przecież swoja krew...

Wpadł w zadumę, ciężko przetaczały się myśli: ich

ród nie należał do spokojnych. Myślał o swoim ojcu, który przeszedł całą Syberię i wrócił z powrotem goły i bosy, znalazł sobie dziewczynę, która miała dwoje nieślubnych dzieci — po roku on się urodził. A czy on sam nie był chłopakiem z fantazją? Ale wszystko to do czasu: przyszła starość i zapragnął spokoju.

Dziad zamknął drzwi na zamek, położył się na szmatkach, zwinął w kłębek i tęsknie, długo zapatrzył się na chwiejną gwiazdę błędzącą w trójkątnym wycięciu okiennicy. I nagle poczuł się bezbronny. Wobec tego świata, który walił się na niego, wobec nieba. Poczuł się okropnie stary i okropnie słaby. W takich chwilach w szczególny sposób zaczynał bać się śmierci. Dusza skamlała zraniona i zbolala, trwało to nieskończenie długo, dotąd, dopóki nie zastukano delikatnie do drzwi.

— Kto?

— Otwórz.

Była to jak zwykle żona.

— Nie chcę nikogo znać — krzyknął ochrypłym głosem. — Umrę tu, a pod wami niech się ziemia zapadnie!

Żona bez słowa stała pod drzwiami. Milczał przez jakąś chwilę, do bólu w oczach wpatrując się w migoczącą gwiazdkę, wstał jednak, podszedł do drzwi, odsunął zasuwkę, żona stała spokojna i blada jak zawsze.

— Czego chcesz?

— Idź do domu — powiedziała łagodnie.

Sapał. I znowu go poderwało.

— Spalić taki dom! Diabelska mać!

Otworzyła drzwi i weszła do niego. Objęła za ramiona.

— Niech się wszystko zawali. Kola! Posłuchaj mnie,

niech się zawali! Żebyś ty się miał gryźć, poniewierać stare kości na tych szmatach? To już niech się lepiej wszystko zawali...

Poszli do swojego pokoju. Stara wyciągnęła z szafy ukrytą karafkę. Wypili.

— Niech się zawali — machała stara ręką i błyskała oczami.

Dziad wypił drugi kieliszek i czuł, jak alkohol zaczyna go uspokajać.

— To myślisz że jak? — pochylił się niemal do twarzy żony. — Denerwuję się... Czyż nie swoja to krew...

— Swoja — stara starła łzę z policzka. — Ale czy trzeba aż tak rozpaczać?

— Nie mów, stara, krew to krew.

Znowu wypili.

— Wróci. Tylko patrzeć... Trzy miesiące — i jak nie wróci. Bez męża to wiesz, jak jest! Kiedy ty byłeś na wojnie, mało po ścianach nie łaziłam...

Dziad łagodniał z każdą chwilą.

— Toż to ja rozumiem... Ale krew, stara, to nie tak, po prostu... Chcę, rozumiesz, żeby rodzina była jak rodzina...

Skierował głowę w tę stronę, gdzie wisiał Wszechmocny. Ten był zawsze chłodny i milczący.

— Wypij, wypij, Kola — łagodnie namawiała babka. — Wypij, a wszystko jak ręką odjął...

Wypijał. Żrenice rozszerzały mu się i dziad kiwał głową w stronę ikon:

— A on, stara, jest czy nie?

Chłopcy spuszczaali tratwę w środę rano. Była pochmurna, niewyraźna pogoda. Sławko zmarzł i zawzięcie podskakiwał. Artur przywiózł wózek dziada i

tratwa uroczyście przetransportowana została od domu braci do rzeki. Do wózka zaprzągił się Artur, bracia pchali.

— Niech to lichy, pierwszy! — powiedział Kolka i Artur przygryzł z niezadowolenia wargę.

— Wszystko jedno, bo tratwa jest dla wszystkich — zauważył.

Tratwa była niewielka, ale ciężka: chłopcy zabili blachą dno, zalepili dziury, obili krawędzie.

— Tratwa jak się patrzy — powiedział Artur.

— Poczekaj jeszcze — odezwał się Sławko — aż będzie na wodzie.

— A ty nie kracz — ściał go Kolka. — Ja siadam pierwszy, a dalej, jeśli wszystko w porządku, wy wszyscy.

Podwieźli tratwę do rzeki i ostrożnie przenieśli na trawę. Artur podniósł rękę: zaczynamy! Tratwa zsunęła się po trawie i już po chwili miękko huśtała się na falach. Wiał umiarkowany, nieprzyjemny wiatr, gęste nawisy nieba omal nie kładły się na szczytach wzgórz.

— Tyczkę — zakomenderował Kolka.

Podali mu tyczkę. Artur trzymał linę, a w jego wyobraźni malowały się już dalekie dale — daleka podróż i niezwykle przygody. Nozdrza szaleńczo rozdymały się, twarz płonęła, nie zwracał uwagi ani na złą pogodę, ani na wiatr. Fale głucho chlupotały o burty, a gęste nawisy chmur jakby za chwilę miały bryznąć szerokimi wachlarzami kropli.

— Już — powiedział Artur.

Kolka skoczył na tratwę — tratwa zakołysała się. Kolka zabalansował tyczką, tratwa zaczerpnęła bokiem wodę. Kolka stał pośrodku.

— Bardzo chwiejna — powiedział. — Za diabła na niej nie dopłyniemy.

— Trzymaj — nakazał Sławkowi Artur.

Ten chwycił linę, a Artur skoczył na tratwę. Tratwa znowu zachybotała i powoli zaczęła zanurzać się w wodzie. Chłopcy — na brzeg.

— Nie trzeba było się spieszyć — powiedział Sławko. — Trzeba ją było zrobić dwa razy większą.

— Bardzoś mądry — burknął Artur.

Siedli na trawie i zasępił się. Wsparli podbródki na dłoniach i patrzyli na swoje dzieło. Tratwa spokojnie kołysała się na falach.

— Co będziemy robić? — zapytał Kolka.

— Co, co... — zdenerwował się Artur. — Wszystko diabli wzięli!

Splunął zgodnie ze zwyczajem swego rodu.

— Ale robić coś trzeba — powiedział Sławko.

— Robić, robić! — rozzłościł się Artur. — Diabła łysogo tu zrobisz!

Wstał, wsunął ręce głęboko w kieszenie, dumnie zarzucił głowę i poszedł.

— Psisyn! — huknęli mu w ślad Kolka i Sławko.

Następnego dnia dziad modlił się znowu. Znowu nie opuszczał go niepokój. Odtąd gdy córka uciekła z domu, chodził jak przybity, dręczyły go złe przeczucia. To nie był koniec nieszczęść, wiedział to, bo o tym wszystko świadczyło. Chodził zły i czujny. Wczoraj odkrył, że ktoś wyrwał z parkanu kilka desek — parkan świecił teraz szczerbą jak staruch. Długo kłął obmacując miejsce, gdzie były przybite deski, a potem raptem przestał się tym interesować. W takt chrapania żony, za zamkniętymi okiennicami, przez które dziś nie przebiegały się wesołe słoneczne zajaczki, w całkowitym, gorącym od nocnych oddechów, nie przewietrzonym mroku, stary przygotowywał się do wiel-

kiej modlitwy. Miał odczuć uniesienie, i tak się stało. Napięło ono suche dziadowe ciało, zapaliło oczy — w głębi, koło istoty Bożej machał ogonem ognik kaganka. Dziad stuknął kolanami o podłogę i zaczął:

— Nie chcę wiele, proszę cię o całkiem mało. Mojej starości nie trzeba zbytku, przydzielono mi wszystkiego dosyć. Nie oskarżam przed tobą swojego życia — jakie było, takie i dobre. Tylko teraz, kiedy tak pragnę spokoju i ciszy, ty mnie zdradzasz...

Dziad zasapał się od takiej długiej przemowy, ale nie wszystko było jeszcze powiedziane.

— Spokój i cisza mogą być na ziemi. Ja nie chcę ich tam — wskazał na podłogę. — W ziemi dla każdego jej starczy. Ja chcę jej tutaj.

To też jeszcze nie wyczerpywało jego przemowy, dlatego też dodał:

— Zabierz z mojego rodu włóczęgowski duch. Zabierz z niego hultajstwo. Zabierz z niego jadovitą truciznę niezgody.

3.

Dziesięć lat potem Dzim opowiadał ten epizod z detalami swoim przyjaciółom na wyrębiskach lasu w Karelii:

— Stary jakby rozum postradał. Strach było na niego patrzeć. Kto wie, czy wierzył on w Boga czy nie, musiał porozmawiać ze sobą, to pewne. Wtedy rozmawiał w podniosłym stylu. Rozmawiał i z obrazami, i ze spiżarnią, i z szynką. Szynka wisiała zawsze. Sam ją wędził. Zbierał gałązki i karpy olchowe — pływał rzeką do skał, tam koło bagniska rosło olch do diabła, zbijał sobie budę z desek, kupował na bazarze szynkę i wędził. To była najpiękniejsza chwila jego duchowe-

go odpoczynku. Szynka musiała wisieć w spiżarni zawsze. Nie wolno z niej było uszczknąć najmniejszego kawałka, bo groziło to taką awanturą, że nawet ten uszczknięty kawałek by nie pocieszył...

Tego ranka, kiedy uciekł Dżim, stary nawet nie pojechał po rybę. Ryba zdechła w jego wężerach, bo nie pojechał po nią i na drugi dzień, i na trzeci. Dziad odwiązał łódź i siadł do wiosł. Długo płynął. Dotąd, dokąd tylko było można. To znaczy aż do porohów. Potem wyszedł na brzeg, przywiązał łódź, zatknął wiosła w kamieniach i poszedł do lasu. Co robił w lesie, nikt nie wie. Ciotka Katia, która mieszkała w okolicy Psyszcz, opowiadała o nim babce tak:

— Idę ścieżką, a tu patrzę — wasz stary! Siadł na pieńku, ręką sobie policzek podparł i siedzi. Ja do niego dzień dobry — nie słyszy. Wtedy drugi raz dzień dobry mówię. Spojrzał na mnie, splunął, za przeproszeniem, i poszedł w las. Myślałam: przywidziało mi się. Ale patrzę, a na pieńku czapka. Ot i przyniosłam...

To było potem, kiedy wydarzyła się ta historia z pieniędzmi i Dżimem. Dżim nie lubił o tym opowiadać.

— Zwróciłem te pieniądze — mówił swoim kolegom drwalom.

Pracował wtedy w tartaku i w czasie przerw na papierosa można było poopowiadać. Szumiały sosny, brzozy promieniały jak narzeczone, było chłodno i Dżim, może po raz pierwszy w życiu, zapragnął powrotu w rodzinne strony.

— Ja go nie okradłem — powiedział. — Potrzebowałem pożyczyć pieniądze. Zwróciłem mu je. Dziad wtedy omal nie przejechał się na tamten świat. Kiedy znalazłem pieniądze, żal mi ich było brać. Ale jak się ma siedemnaście lat i w głowie wiatr, a w siedzeniu śrubę...

Dżim pogrzebał kijem w ognisku. Iskry leciały i tonęły w ciemności. Ogień trzaskał wesoło, ale po plecach ciągnęło chłodem. Jego spojrzenie było przepełnione zadumą, a ramiona opadły jeszcze niżej.

— Kiedy on się skrył tam, w lesie, babka poszła go szukać — powiedział Dżim. — Matka wróciła po dwóch miesiącach, ten żłob ją rzucił.

Podniósł głowę. Wokół nie było żywej duszy. Trzaskało ognisko i Dżim przypomniał sobie, że dzisiaj strasznie zapragnął być sam. Przyjaciół, którym opowiadał tę historię, nie było — po prostu ogarnęła go dziś tęsknota.

— Stara poszła szukać go w lesie — powiedział Dżim. — Kto wie, czyby go znalazła. Ona w gruncie rzeczy była najszlachetniejsza z nas wszystkich. Pożyczyła pieniądze od sąsiadów...

... Spotkali się w lesie i zatrzymali. Dziad dłubał kijem ziemię i patrzył spode łba.

— Kola — odezwała się stara.

Nie odpowiedział.

— Ile było tych pieniędzy? — zapytała przebiegle.

— Pięćset.

— Wiesz, przychodzę ja dziś, a tu przekaz. Patrzą — od niego.

Dziad uważnie podniósł głowę.

— Przysyła pieniądze i prosi o przebaczenie. Zaciągnąłem się, pisze, i teraz są mi już niepotrzebne.

Dziad siadł wtedy w kucki i zaczął rwać trawę.

— Co mi tam pieniądze? — powiedział. — Nie miałem ich i nie mam. Co innego mnie boli — zrobił przerwę. — Boli mnie to, stara, że nasza rodzina jakaś taka, diabeł jeden wie...

Baba też przykucnęła.

— Co to ja nie wiem? Ale oni, Kola, nie są tacy źli. Ot, Liza napisała już list. A Dżim, widzisz, mimo

wszystko zwrócił jednak pieniądze. Dlaczego miałyby ich nie zwrócić?

— Co pisze Liza?

— Prosi o przebaczenie. Ten jej kawaler nie taki znowu wspaniały. Pisze, że zatęskniła za domem i chce, żeby u nas wszystko było dobrze.

— No?

— Pyta, jak zdrowie dzieci, czy nie przechodziły alimenty. Przysłała upoważnienie, żebyśmy brali za nią...

Dżim opowiadał potem swoim kolegom, że kiedy odesłał pieniądze, babka przysłała list.

„Dziad ci wybaczył. Chce tylko, żebyś się nie walała. Za pieniądze dziękuje, dobrze, że nam tak pięknie pomagasz. Tobie przecież, wnuczku, nie pierwszozna, wiesz, jaki jest dziad? Cały czas się odgraża, a naprawdę jest już stary.”

— Wyszło tak — powiedział Dżim — że ja niby tych pieniędzy nie brałem, tylko przysłałem im wsparcie. Stara przedobrzyła tu z delikatnością. Trzeba było wtedy nakrzyczeć na mnie. W ogóle trzeba było wszystkim nam dawać większego łupnia...

Siedział wśród jasnych cieni brzóz, ogień strzelał iskrami, ich roje kręciły się nad głową, dolatywały do wierzchołków, które kąpały się w ciemnym mroku i niespodziewanie znikwały. Tak jakby ich w ogóle nie było, jakby nie one grzały ludzką twarz, która zastęgała wśród nierównych rozbłysków...

I naszło go w tym momencie widzenie. Najpierw zobaczył zielone morze i fale, które toczyły się na niego sznurem potężnych giętkich kryz. Uważnie wpatrywał się w to niezwykle, szmaragdowe rozlewisko i zaczął dostrzegać, że to nie woda. Napływały na nie-

go fale chmielu, zielonego, wijącego się. Potem zobaczył pola jęczmienia, złociste, dojrzałe, które dźwięczały pod wpływem tkwiącej w nich siły. Chmiel spływał na te pola i wszystko raptem spieniło się, zbiło i wzburzyło. I już rozbłyskiwały przed nim inne fale — na widnokręgu mienił się bursztyn, wtedy zobaczył ludzi. Grupami wysypywali się na długą i białą drogę — a nad nimi chwiało się, zwisając z nieba, wciąż ten sam chmiel. Zobaczył wesołych i smutnych, milczących i rozmownych, obojętnych i spragnionych. Jedni płakali, inni śmiali się. Zobaczył tancerzy. Szli drogą okręcając się i przytupując podeszwami. Zobaczył zakochanych, którzy obejmowali się i całowali, i odludków, którzy zasłaniali sobie twarze, żeby pozostać w samotności. Siedział wśród jasnych brzoź, zatopiony przez ten następujący, pobudzony tłum ludzi i już sam był częścią tego tłumu, częścią tych ludzi, których tak kusi droga. Droga pachniała złotym kurzem i złotym słońcem. Chmiel wił się nad nią długimi, cudownymi chorągwiami. I nagle zaczął rozumieć, że wszystko, wszystko, co przetoczyło mu się i przetoczy jeszcze przed oczyma — wszystko to jest naznaczone jego piętnem. I nie o pijaństwo tu idzie, lecz o proste i zrozumiałe ludzkie „żyć”. Chmiel jest tym właśnie „żyć”, wszystkimi pragnieniami, w których się ono wybija i przejawia. Wszystko złe i ma-luczkie, myślał, co tak często zatruwa duszę — to też ludzkie zmagania i trzeba na to patrzeć z jakiejś du-żej, niepojętej wysokości...

Ludzie szli dokoła niego. Śpiewali, płakali, tańczyli lub ledwo powłóczyli nogami, kłócili się bądź szeptali jedni do drugich czułe słowa. Chmiel okręcał ich — słyszeli szept jego szorstkiego liścia. Bo odczuli nagle, że przed nimi otwiera się niespodziewana, nieznana przestrzeń, w którą mają stąpać. Odrzucali precz wczó-

rajszy dzień i szykowali się do przestąpienia granicy nocy. Byli spokojni, zstępując w mrok. Bo niemal wszyscy z nich wierzyli, że słońce kryjąc się za wzgórzem, z pewnością powróci jutro.

DROGA OD OJCA

żonie

Wśród omdlewającego, zapadającego wieczoru pachniało morelami, i to był nowy zapach dla dziewczyny z wielkiego miasta. Zrywała okrągłe, rumiane owoce i kładła do koszyka. Kiedy rozgryzła morelę, ciekł jej na ręce żółty jak słońce sok. Pachniały od tego ręce, wargi, a może i samo powietrze. Morela delikatnie tonęła w ustach, i dziewczyna nieruchomiała na moment: przychodziło do niej słońce dzisiejszego dnia, nappełniała ciało sprężysta, wyraźna siła, kiedy to człowiek chce się unieść nad zwykłymi dniami i wstąpić w świat bardziej złudny i dziwny. Zanurzała się w tej chwili: cisza, zapach morel i spokój nadchodzącego błękitnego wieczoru... Dziewczyna wyciągała się na niewielkiej drabince, żeby dosięgnąć z wierzchołka największy owoc, ponownie wkładała morelę do ust i z lubością wczuwała się, jak płoną skąpane w słońcu ramiona. Nucila piosenkę, śpiewała o dzieciństwie czy raczej o minionym dzieciństwie, a wieczór podpływał do niej, dotykał łagodnie. Śpiewała o królewnie i o jej odeszłym dzieciństwie, bo tu, tego wieczora, przesączonego smakiem morel, czując na ramionach słoneczne ciepło, stawała się ostrożna i bezbronna jak motyl, który właśnie zbiera się do odlotu.

Za domem babcia rozmawiała z sąsiadką, krzyczały dzieci, a ona stała i patrzyła: ciemnozielona szata

drzew, która rozpościerała się wśród jasnego błękitu nadchodzącego wieczoru, ciepły, biały pył na drodze, bladoszary trakt, kolor morel, kolor kobiecych chustek — zeszyli się koło żółtego, dopiero co postawionego parkanu...

„Słońce — pomyślała dziewczyna — ono jest tutaj wszędzie!”

Sąsiadka pożegnała się, zaśpiewała za nią furtka.

— Dobrze morele — powiedziała stara.

— Dobrze morele — powtórzyła dziewczyna i znowu zachciało jej się śpiewać. O słońcu i dzieciństwie, o królownie i o jej błękitnym oczarowaniu...

Dziewczyna niosła koszyk pełen wielkich, pachnących morel, a stara dreptała w ślad za nią. Było już tak nieraz: przyjeżdżała tutaj, zbierali się sąsiedzi (drogą szli ludzie, unosił się kurz tak, jak może się on unosić tylko pod wieczór; przypomina dym, myślała dziewczyna, słoneczny dym), schodzili się wszyscy krewni. Wieczorem, kiedy kwitła maciejka i robiło się duszno od tego zapachu, wszyscy coś wspominali i ona wspominała także. Bo wtedy przychodził tu także ojciec, którego ona nigdy nie widziała i wszyscy ustępowali mu miejsca — w tym momencie pozwalali sobie na sentymentalizm, jedyny raz na rok — kto może to osądzać?

Ale dziś zostały we dwie z babcią. Dziewczyna nuciła piosenkę, czując spieczoną za dnia ramiona. Cisza gęstniała, kiedy siadły z babcią na progu, a wieczór jeszcze bardziej pomieszał w mroku błękity.

— Stara jestem — powiedziała babcia. — Kiedy robota jest, to się robi, a jak nie ma, to i tak... I chałupa stara...

— Stara — zgodziła się dziewczyna, nie mając siły przerwać melodii.

Śpiewała wciąż tak samo o dzieciństwie, o zaduma-

nej królewnie. Morele lśniły, podsycaly miękki żółty kolor, i wydawało się, że płonęły radosnym ogniem.

— Ale i ty — powiedziała babcia — jesteś już dorosła. Już i zamażpójście nie za górami...

Dziewczyna nuciła piosenkę.

„Nie za górami, nie za górami... — pomyślała. — A gdzie te góry?”

Nuciła piosenkę już głośno, chociaż stara umilkła, wcisnęła głowę między ramiona i bezgłośnie mamrotała patrząc w przestrzeń.

— Jedyne, co po nim zostało, to ty — powiedziała nagle.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Siedziały i wdychały zapach maciejki. Pod jego wpływem miękła dusza, miękł wieczór — czuły nastrój dojrzałych morel, nastrój zakończonego dnia, który powoli przeistacza się w jutro...

Dziewczyna leżała na łóżku, na twardym, wiejskim łożu i nie mogła zasnąć. Bo wieczorna melodia do tej pory jej nie opuszczała, poza tym paliły ramiona i przymykając oczy, nie mogła nie widzieć słońca. Wesołe i młode, toczyło się po niebie jak piłka, a wokoło pachniało na przemian morelami i maciejką. I dziewczyna nuciła piosenkę wciąż o tym dzieciństwie, które odchodziło, o tej samej królewnie i jej miękkim, delikatnym, niezrozumiałym żalu. Patrzyła na ściany: jak zawsze wisiały na nich fotografie, którym tym razem chciała się przyjrzeć bliżej niż zwykle, ale nie opuszczała jej melodia. Nuciła ją, choć to może i nie pasowało do jej aktualnego nastroju i jej marzeń. Patrzyła na fotografie, stare i pożółkłe, było ich trzy, patrzyła bardzo uważnie, tak uważnie, że rozplýwały się one przed oczyma. Wtedy myślała o tej drodze, którą pójdzie jutro i myślała, że może rzeczywiście

staje się dorosła, może rzeczywiście wzywa ją na swoje szlaki młode, złudne życie.

Wyszła na werandę i oblała ją srebrzysta, czysta poświata księżycy. Aż zamarła z zaskoczenia: księżycowe światło kładło się na budynkach, na uspokojonej drodze, która już się nie kurzyła i na morelach. Spojrzała w górę: księżyc widoczny był w całej pełni i spokojny jak Bóg, a monotonne jego światło wydawało się zaczarowane. Dziewczyna miała wrażenie, że widzi każdy promień wyraźnie oddzielony od sąsiedniego — widziała przejrzystą, ledwie drżącą siatkę. I w tym świetle, w tym wspaniałym, martwym pięknie nagle zachciało jej się płakać; chwila ta raptem została dziwnie przedłużona, i zebrało się w niej wszystko, co jest na świecie: słońce minionego dnia, które ona cały czas trzyma na ramionach, melodia piosenki, która prześladuje ją dotąd i wspomnienie o człowieku, którego nigdy nie widziała.

Wyszła babcia i tak jak poprzednio siadły na werandzie.

— Duszno w chałupie — powiedziała stara. — A ja coś ostatnio nie mogę spać...

Patrzyły w głąb oświetlonego przez księżyc sadu i odbierały to światło każda po swojemu. A może i jednakowo, bo zbliżało je tej nocy coś szczególnego, co nigdy nie da określić się słowami, ale co jak szept przebiega po liściach drzew zamarłych pod księżycem, przebiega i znika, pozostawiając po sobie może jedynie wspomnienie. I tak siedziały dwie kobiety w świetle księżycy — ta, której życie przemija i ta, która życie rozpoczyna...

— Niedobrze, że jutro już idziesz...

— Obiecałam mamie — powiedziała dziewczyna wsłuchując się w melodię, która ją nurtowała...

Szła nowo wybudowaną drogą, niosąc w ciężkim koszyku morele. Morele pachniały jak poranne słońce, z którym spotkała się dziś oko w oko. Chłód, rosa, przysypane kroplami burzany i trawa, i ścieżki, po których dziś jeszcze nikt nie chodził. Miękki pastel poranku, budzenie się wsi ze snu, dźwięczenie skopków na mleko, mleczny opar, pobrzękiwanie dzwoneczków... Dziewczyna stała z szeroko otwartymi oczyma i nie mogła poradzić sobie z melodią, która bez przerwy jej towarzyszyła. I śpiewała w myślach piosenkę o mlecznym poranku i młodym sercu, o królewnie i o dzieciństwie, które jednak się kończy i o drodze od ojca, którą dziś rozpoczęła. Szła drogą sama w całym stepie, i ranek ogrzewał ją delikatnym ciepłem. Było przyjemnie, choć przez pewien moment miała wrażenie, że przypomina to jesień, jasny smutek babiego lata i uczucie niestałości, kiedy lęka się dusza i kiedy chce się szerzej oddychać i ostrzej odczuwać. Widziała przed sobą słońce, i było to osobliwe słońce. Nie gorące i nie piekące, obmyte rosami, w złotej koronie — śpiewała o królewnie, bo nie mogła się uwolnić od tej natrętnej piosenki, przepełniona szczególnym nastrojem, takim, pod wpływem którego pojawiają się w oczach łzy szczęścia, szczęścia, którym jest ta ziemia, te rosy i trawy, to słońce, i to, że ramiona pulsują od wczorajszej kąpieli w słonecznych promieniach.

W oddali biegł zając. Piękny i zwinny powoli sunął przez pole. Zobaczył dziewczynę, która zastygła w bezruchu ze swoim koszykiem, ale nie przyspieszył, tak samo statecznie i bez pośpiechu kicał dalej. Przejęła się jego spokojem, bo to też należało do dzisiejszego ranka. Przed nią falowały złote zboża, lśniące i szumiące, całkiem już dojrzałe — one też pachniały promieniami słońca.

Wokoło było cicho. Na horyzoncie widać było wieś, gdzie matka zatrzymała się na letnisko, i dziewczyna niespodziewanie dla siebie pomyślała, że kiedyś dawno, w taki sam ranek jej ojciec także niósł matce słoneczne morele...

WIECZÓR ŚWIĘTEJ JESIENI

Boję się trochę nocy. Noce pojawiają się we mnie tak samo jak smutek czy radość. Albo jak głęboka, z samego dna duszy tęsknota. Kto wie, z czego się ona bierze, i zaczynam fantazjować. To cały system, bo wszystko musi znowu stanąć na zwykłym miejscu, zrównoważyć się i spokojnie okryć snem.

Tak bywa co wieczór, kiedy zostaję sam na sam i wchodzę do pokoju, w którym jest wilgotno i mroczno. Zdejmuję palto i siadam na łóżku. Za oknem huczą wiatry, zaczynają one źle na mnie wpływać, zrywają się z wnętrza nocy, okropnie trzęsą powtulanymi w ramy szybkami. Przychodzi noc, prawdziwa, gęsta i niezgłębiona. Przychodzi ciemność i słyszę, jak szura w głębi pokoju wilgotnymi łapkami, drapie ostrymi pazurami papierowe tapety.

Nie wiem, jak się tu znalazłem. Wielki, kwadratowy pokój, na ścianach cienie ludzi, którzy siedzą przy stołach, a ja wśród tych ludzi na skraju stołu. Mój sąsiad ma gładko wygoloną twarz suchotnika, oczy mu błyszczą, nachyla się do mnie: „Nie wie pan? Ten z lewej strony — to...” Z lewej strony siedzi Geniusz. Patrząc na jego twarz, która przypomina portrety znane mi z dzieciństwa. Przede mną żywe wcielenie portretu, mięśnie, krew, ba, nawet czerwone arteryjki na nozdrzach. Twarz zasłania cały świat, nie mogę oder-

wać od niego wzroku. Patrzę, jak drgają nerwowo rzęsy Geniusza, skreca szyję.

— Niech pan posłucha — szepcze głośno do sąsiada — Co to za człowiek siedzi w kącie?

Patrzy na mnie. Czuję się strasznie głupio. Jestem jego przeciwtypem, który trafił w grono Geniuszy.

Ilu ich jest — geniuszy maszyn, dźwięków, kolorów i słów. Zebrali się w tym pokoju, bo to jedyne miejsce, gdzie mogą się razem spotkać. Wiem, że przy nich nie mam się czym szczycić, zupełnie nie mam czym, i przyjmuję wygląd pewny siebie. Niewiele do tego trzeba: wystarczy stanąć na lodowej płaszczyźnie tak, jak się stoi na ziemi.

— Chcę wypić za nas — wstaje jeden z Geniuszy. — Zawsze pragnęliśmy czegoś niezwykłego. Może właśnie dlatego chcę dzisiaj wznieść kielich za miłość...

Mają napięte twarze. Chcę się pozbyć skrępowania, które mnie opanowało, bo oni pragną przekroczyć granice czasu, bo oni przekraczają te granice czasu i odrzucają je jak zasłonę. Czuję, jak moją duszę ogarnia żal, bo oni mimo wszystko są cieniami, choć mają ziemską krew. Umarłe cienie wypełniają mój mózg, wcielają się w swoich potomków i próbują zespolić się z nimi. Chce mi się płakać z niepohamowanego bólu, który kłuje serce. Krew dudni w skroniach, a za oknem zaczyna się jesień. Złota jesień moich najświetniejszych lat.

Tak, najświętsza jesień najświetniejszych lat. Zawijam się w kołdrę i słucham, jak wiatr tłucze o drewniane ściany. Wilgotne powietrze dmucha w szpary i wydaje mi się, że czuję zapach grzybów i liści. I drzew, które zrzucają szatę i wilgotnie lśnią czarnymi pniami. Na żółtym tle czerń pni wydaje się nadmiernie ostra, jak czerń tuszu kreślarskiego o gładkim połysku. I wiem, że wśród tych pni bardzo spokojnie leży się

opadłym liściom. Nieco wilgotne, rozmiękają pod wpływem nasyconego oddechu jesieni i zaraz przypominam sobie sprężystość leżących liści, zasypane drogi w lesie, kiedy opuszczałem jego skraj i szedłem w głąb. Coś mnie wołało i wabiło... Otwieram oczy i przestawiam się na tamten czas, usiłując odświeżyć choćby cokolwiek. Ale za dużo od razu się nasuwa, za dużo chcę od siebie i od nocy. A jednak ona musi się choć trochę podporządkować i podporządkowuje się. Znowu wyłania się z niej przeszłość. Już kolejny raz, i nie ma w niej nic nowego. A jednak zapach listowia i studzienny, łamany brzęk łańcucha... I pies Reks, który szczekał tak głośno, że aż trzaskało w uszach. Z jego pyska toczyła się para, a białe zęby lśniły czystością. Czerwone dziaśła przypominały swym kolorem jesienne jagody kaliny. Białe zęby pomiędzy kalinowymi dziaśłami i głośne szczekanie. Na podwórzu rosła wielka sosna o popielatym igliwiu. Za siatką grzebały kury. A babcia rozlała mleko. Błękitnawe i galaretowate jaśniało na słońcu i pies szczekał głośno na to mleko, dopóki się nie połapał i nie zaczął zlizywać. Jego język wyskakiwał z pyska i znikał, żeby znowu wyrwać się i zanurzyć pomiędzy żółte liście, które pływały w mleku jak złote nenufary.

Pokój Kotka oklejony jest rudą tapetą z widocznymi śladami rozgniecionych pluskiew, łóżko, na którym śpi, przykrywa wytarta kołdra z wielką, białą łatą pośrodku — Kotko lubi oglądać tę łatę. Prymitywny czworokątny stół przysunięty jest do okna i zasłany gazetami. Kotko siada za tym stołem i patrzy w okno. Okno wychodzi na ogród, i teraz, jesienią faluje za nim żółta fantasmagoria, żółty chaos koloru i czerni gałęzi. Dwie ścieżki — jedna do furtki, druga do sadu — usłane są liśćmi. Chodzą po niej kury grzebiąc moc-

nymi pazurami ziemię. I liście szeleszczą pod wpływem ich krzątaniny, unosi się szary kurz, kury też są szare — nie wiadomo, czy to sprawa kurzu czy też kolorytu dnia. Kotko zagląda pod stół, gdzie pozostały kawałki nie dojedzonego chleba. Przybite tam deski są gołe i przypominają plecy żywych istot. Do jego skołatanej głowy napływają kolory jesieni, a może nie tyle kolory, co cisza. Pokój dławi niskim stropem; na brudnej tapecie wiszą reprodukcje Szyszkina — tak samo upstrzone przez muchy jak tapeta. Budynek pełen jest dźwięków, i Kotko zauważa to dopiero teraz. Po swoim pokoju spaceruje babcia, duża, ciężka, złowrogo przemieszcza swoje korpulentne ciało. Kotko czyha, żeby weszła do pokoju i uchyla drzwi. Ale babcia jest przebieglejsza: wielka twarz już się jawi w otwartych drzwiach.

— Wstąp do mnie, Piotrze — mówi.

Kotko zatrzymuje się jak porażony. W korytarzu pachnie gazem i kiszonymi jabłkami, drewniana boazeria ścian dawno już poczerniała i powoli toczy ją kornik. Przez okrągłe żółte dziurki sypie się żółte próchno i jakby zawisa w powietrzu. Przechodzi do babcinego pokoju przez kilka rzędów takich smużek próchna. Stara siedzi już w fotelu, osłaniając oczy powiekami i Kotko, jak zwykle w takich momentach, zaczyna się jej bać. Tam, za tymi przymkniętymi powiekami, żyje całkiem inny i całkiem niezrozumiały świat. Ale babcia otwiera oczy i Kotko widzi, że te oczy są bardzo szare i ciepłe. I że kryje się w nich głębokie, ludzkie zmęczenie...

— Siadaj, dlaczego stoisz?

Siada na krawędzi krzesła. Umieblowanie jej pokoju jest całkiem inne niż u niego. Stare, gięte meble, okrągły stół z ciężką brokatową serwetą, szafa z ciemnego drzewa nieco pochylona na jedną nóżkę, ozdobna, rzeź-

biona etażerka, ciężki, złożony fotel, w którym zagłębia się korpulentna gospodyni, i drewniane, też rzeźbione łóżko. U wezgłowia z dołu w górę biegnie gałąz palmowa. I może z powodu nadmiaru brązu w pokoju unosi się zapach kurzu.

Babcia znowu przymyka oczy i wokół nich kładą się ciemne koła. Jej twarz nabiera wyrazu obojętności i spokoju.

— Nie byłeś dziś na wykładach — mówi wolno, ale wyraźnie.

Oddycha ciężko, a on odczuwa ciszę domu. Ogromną i niezmierzoną. Tylko wiatr tłucze drewnianą listwą, a w głębi coś chybocze nierównomiernie.

— Dlaczego nie byłeś na wykładach?

Kotko ma wrażenie, że staje się małym uczniakiem. Kręci palcami guziki, ale ciemne, trzeźwe oczy patrzą na niego niemal z bliska.

— Uczyłam całe życie — powiedziała babcia i znowu przymknęła powieki. — Wiesz przecież, że przede mną nic nie zataisz.

Wydaje mu się, że ta kobieta jakby przekroczyła już granicę, za którą rozpoczyna się wieczność. I Kotko odwraca wzrok. Na ścianach, w ramach z brązu znajome z dzieciństwa portrety. Wieje od nich dziewiętnastym wiekiem: starodawne stroje, starodawne twarze, wszystko mocno przykurzone, twarze praktycznie nie istnieją już jako twarze. Wydawać by się mogło, że to wytwór fantazji, dzieło przebiegłego i niewidzialnego pędzla. Babcia też już przeszła na tamtą stronę grobli, on to wie, może dlatego tak ciężko jej utrzymać na sobie ogromny ciężar ciszy.

— Babciu — mówi uprzejmie, choć w głębi duszy nie ma ochoty na uprzejmość. — Babciu, ja źle się dzisiaj czuję, klnę się na Boga...

Stara patrzy na niego, niespodziewanie wstaje, ciężko kołysząc potężnym ciałem, w jej oczach błyszczy gniew. Ale Kotko już dawno przestał bać się jej gniewu. Mimo to jednak jeszcze głębiej wciska się w krzesło.

— Kiedy pozbędziesz się tego prostackiego zwyczaju powoływania się na Boga? — burczy stara i idzie przez pokój.

Babcia jest wielka jak góra, ciężko jej się poruszać. Ale idzie jak chory żółw kopalny, przeciąga nogi przez szczeliny i wlecze się do okna. Koło parapetu przystaje, zasłaniając sobą do połowy otwór okienny.

— Mam wrażenie, że stajesz się podobny do tych współczesnych chłopaków...

Kotko nie widzi jej twarzy, ale doskonale wie, że zmrużyła oczy i patrzy w ogród na dwie ścieżki zasypane liśćmi: jedna — do furtki, druga — do sadu. Kolorowe błyski oświetlają szybę, bo za nią ściele się zmierzch. Dzisiejszy dzień odchodzi tak samo jak wszystkie dotąd. Babci widać się nudzi, bo tylko wtedy gdy się nudzi, podchodzi do okna. I Kotko już kolejny raz rozgląda się po pokoju. Tutaj zawsze był inny świat, i babcia zachowywała go dla siebie:

— Jestem zupełnie niepodobny do tych współczesnych chłopaków — mówi Kotko. Ma ochotę wyjść z tego pokoju, bo w zmroku meble jak gdyby cisną podłogę. Niemal fizycznie czuje napięcie desek: zgięte i naprężone cierpią jak ludzie.

— Spieszysz się gdzieś? — babcia już wraca, człapiąc wielkimi kapciami. I wydaje się, że przychodzi stamtąd.

— Słyszysz, jaka cisza w domu? — siada postępując. — Lubię tę ciszę, bo całe moje życie było jak marsz przy akompaniamencie bębnow.

Przymyka oczy i zastyga w mroku, a Kotko na podstawie jemu tylko znanych oznak wie, że trzeba zostawić ją samą.

Ranek jest niebieski, aż święty. Reks wesoło skacze po liściach, które poprzymarzały w ciągu nocy i trzeszczą teraz pod jego łapami. Reks szczeka głośno, jego morda śmieszenie obrosła szronem. Skacze na czterech łapach, tylnymi odrzucając liście, a one, pokryte srebrzystymi pałeczkami przymrozku, rozbłyskują w czystym świetle. Sąsiad Kowalenko ciosa długie, sosnowe listwy, lśnią one w jesiennym słońcu jak żywe ciało, a żywiczny zapach dociera na podwórze. Kotko pobrękuje wiadrami, idzie po ścieżce wolno, jak po tureckim dywanie. Od jezior ciągnie chłodem i wilgocia, kopuły cerkwi odbite w wodzie kołyszą się na fali jak kapryśne łodzie. Już biorą wodę ze źródła i łańcuch podzwania jak złoty.

Babcia człapie kapciami po podłodze. Jej twarz jaśniej poranną czystością — Kotko zastaje ją taką, kiedy wraca z pełnymi wiadrami. Woda mieni się stalowymi błyskami. Reks trąca Kotka nosem i usiłuje uchwycić językiem krople wody.

Babcia mierzy Kotka wzrokiem.

— Zawsze się spóźniasz. — Otwiera usta i dopiero po pauzie pojawiają się słowa. Nie nadążają one za ruchem ust, bo kiedy te otwierają się do drugiego słowa, pojawia się tylko pierwsze. — Dawno już mówiłam, żebyś kupił budzik.

— Staął mi zegarek — mówi Kotko. — Nie denerwuj się, babciu.

Stara schodzi ze schodów, trzymając się obiema rękami za poręcz. Najpierw opuszcza jedną nogę, wtedy mocniej zaciska palce na drewnie, potem drugą. Na

pokrytej szronem poręczy pozostają odciski jej palców. A kiedy idzie ścieżką do sadu, Kotko znowu usiłuje wyobrazić sobie ją młodą. Nie jest jednak w stanie odtworzyć czasu, który istniał przed jego przyjściem na świat. Wydaje mu się, że nie było ani ludzi, których podobizny pozostały na pociemniałych fotografiach, ani zmian — wszystko istniało tak od dawna i zawsze.

Babcia już wracała — z uporem nie chciała chodzić o lasce. Kołysała się na tle czarnych, jakby wypolerowanych pni drzew, na tle żółcizny ziemi i liści; jej twarz zachowała wszystkie zmarszczki i ten sam przymglony błysk oczu.

— Nie widzę, żebyś się spieszył na wykłady — powiedziała podnosząc głowę.

— Źle się czuję — spuścił wzrok Kotko.

W czasie kiedy trwała babcina przechadzka, Reks ułotnił się gdzieś. Roztopiły się też w jaskrawym błękiecie dnia delikatne włoski szronu.

— Nie gadaj głupstw. — Babcia już wdrapywała się na schody werandy. Ciało nieforemnie przemieszczało się pod ubraniem i Kotko nagle pomyślał, że ona nie ma ciała.

— Jadłeś śniadanie? — zapytała surowo.

— Tak. Może coś trzeba pomóc?

Babcia spojrzała na niego i w głębi jej oczu błysnęło szyderstwo.

— Nie — odpowiedziała.

Tego momentu obawiał się najbardziej. Zaraz podniesie ciężką jak kłoda nogę i wstąpi w brunatny mrok. Ale babcia była spokojna. Spokojnie doczłapała do drzwi i tak samo spokojnie skryła się za ich ciemnymi skrzydłami, mocno zasuważąc za sobą szczelną zasłonę wielkiego mroku.

Księżyc cicho wisiał pod sufitem, a ja usiłowałem chwycić piłkę. Wyślizgiwała się z lepkich rąk, ciało było spocone. Przed nami trenowały dziewczęta i w powietrzu unosił się jeszcze zapach pudru i szminki. Maleński trener w niebieskim dresie podskakiwał wciąż do którejś grupy, łapał chwytnymi palcami piłkę i błyskawicznie posyłał ją do każdego z nas. Usiłowaliśmy naśladować jego ruchy, tańczyliśmy dokoła, prowadząc przed sobą czerwone kule. Piłki latały jak gigantyczne bąble, z całych sił starałem się utrzymać rytm, a podłoga postękiwała od częstego tupania.

— Jeszcze raz! — krzyczał trener. — Z boku!

Podchodziliśmy z boku, wyrzucając przed siebie czerwone kule, dobiegaliśmy do końca sali, robiliśmy krok, dwa, trzy i podskoczywszy, pchaliśmy piłkę do koszyczka z siatki podwieszonego na czworokątnej tarczy. Drżało koło, na którym chwiał się koszyczek. Pośrodku tarczy czarną, tłustą farbą namalowano kwadrat, i my celowaliśmy właśnie w ten kwadrat. Chwyciłem piłkę i pomknąłem przez całą salę. Za bardzo się jednak rozpędziłem: ściany obudowane były drabinkami, na których ćwiczyliśmy, i drabinki migąły, zlewając się w szczelne, nieskończone kwadraty. Atakowałem z boku, starając się nie wypuścić piłki, ale ona wypadła z rąk i toczyła się podskakując na koniec sali.

— Jeszcze raz! — krzyknął do mnie trener i księżyc zamarł koło sufitu.

Znowu rzuciłem się przez salę czując, jak wilgotnieją pachy i nabrzmiewa skóra twarzy. Koło samej tarczy wykonałem cztery skoki.

— Trzy! — wrzasnął trener. — Nie cztery kroki, a trzy!

Wyrywa piłkę i sam rusza do tańca. Koło tarczy

chwyta oburącz kulę, raz, dwa, trzy — piłka okręca się w koszyczku i wylatuje przez wąziutkie gardło.

— Jeszcze raz! — krzyczy trener.

Chwytam lekkimi palcami czerwony bąbel, a on odskakuje od rąk i gwałtownie leci w dół, w dole uderza o podłogę i dotyka ustawionej ręki. Ciało dłoni staje się chropowate i na moment skleja się z gumą. Znowu pędzę przez salę, starając się utrzymać piłkę, ona skacze, uderzam ją obiema rękami.

— Podwójna gra! — krzyczy trener. — Ile razy można wam mówić!

Koledzy z roku stoją w półkołu, drepczą w miejscu i śmieją się. Mają młode twarze, jeszcze trzy miesiące temu byli jak ja uczniami, ale złości mnie ich śmiech. Złości i szarpie za plecy. Trener skacze koło mnie, jego cierpliwość wreszcie się kończy, bierze do ust gwizdek i gwizdże głośno. Stukanie piłek od razu cichnie, moja odrywa się od ręki i bezsilnie toczy się pod tarczę. Stoimy, a trener biega z piłką przed nami. Wycieram twarz i czuję, jak pod palcami nabrzmiewa czerwona opuchnięta skóra.

— Biegiem! — komenderuje trener, biegniemy rzędem, jeden za drugim zataczając koło. Przede mną jest wysoki chłopak. Patrząc, jak poruszają się jego łopatki, a pięty przez cały czas grożą uderzeniem mnie w brzuch. Zaczyna mnie boleć od ostrości jego łopatek, wbijają się one w moją nasadę nosa i zostają w tyle.

— Szybciej! — Księżyc zamiera koło sufitu, słysząc głośny tupot jakby z poklaskiem.

— Piłki! — wrzeszczy zmarszczony człowieczek.

Łapiemy piłki i prowadzimy je po linii koła. Piłki płoną jak rozpalone czerwone kule, jestem zadowolony, że nie mają ostrych krawędzi.

— Powtórzmy! — krzyczy trener. — Och, wy!

Jego przerażająco ostry palec skierowany jest na nasadę mojego nosa. Chcę się uwolnić od tego palca.

— Z boku! Zaczynać!

Powoli podchodzę z lewej strony i zaczynam prowadzić piłkę. A kiedy ta kręcąc się przerywa ciasne gardło koszyczka, w oczach mam łzy.

— Zuch! — krzyczy trener. — A teraz wszyscy! Zaczynamy!

Księżyc cicho wisi pod sufitem, piłki trzaskają o malowaną podłogę, a ja czuję, że po ciele, jak krew, spływają gęste potoki chłodnego potu. I na moment przychodzi mi z pomocą wielkie zakratowane okno. Stoi za nim nagie, czarne drzewo. Jego gałęzie wklejają się w szkło jak roztopiona, zdeformowana guma...

Geniusze podnoszą kieliszki. Wino mieni się jaskrawym bursztynem, uśmiechają się do siebie nawzajem, głośno podzwania kryształ. I kieliszki są już blisko ust — bursztynowa wilgoć wlewa się w rozchylone usta. Poruszają się tam czerwone łopaty języków, widzę, jak języki smakują wino. Wśród tej masy twarzy czuję się jak wyróżniony, wysuszony na słońcu dzban. Geniusz znowu wlepia we mnie wzrok i robi mi się głupio. Bo jest to wzrok tego, kto uczył nas mądrości od pierwszych kroków, pierwszych książek i klas. Robi mi się strasznie od tego niezwykłego sąsiedztwa. Może dlatego szukam ratunku na ścianach i suficie. Ale wszystkie ściany i sufit poobwieszane są twarzami: geniusze i talenty, im większy talent, tym większa twarz. Z sufitu patrzy Największy Geniusz, ciarki przebiegają po skórze, chcę odnaleźć drzwi w tym pokoju. Pokój chwieje się razem z kieliszkami, i wszystkie meble są z drewna w kolorze brązu. Podłoga też. Jest natarta do połysku i pachnie woskiem. Nie miejsce to

dla mnie w tak wyszukany towarzystwie. Ale wciąż jeszcze siedzę, bo coś mocnego i silnego trzyma mnie za ramiona i wciska w krzesło. Wiem: nie nadszedł jeszcze czas zakończenia, wszystko dopiero się rozpoczęło, butelki dopiero zostały odkorkowane i alkohol nie zagroził jeszcze głowom. Ale taki moment z pewnością nastąpi, i w butelkach nie będzie skrzył się już bursztyn. Butelki uderzać będą pustymi dnami o lśniąca podłogę pod stołem. I w niej jak w zadymionym lustrze oddychać będą i poruszać porozwieszane na ścianach i suficie portrety wielkich przaszczurów.

Student Kotko lubi wieczory. Spływają one na jeziora, w których chwieją się kopuły cerkwi i gaszą te kopuły jak świeczniki. Kopuły rozpuszczają się w zielonkawym kolorze, bo same też są zielonkawe. Wtedy wychodzą z wody kaczkę. W żółtym cieple dróg ich białe łódeczki są jak rozlane mleko. Za szynami kolejowymi szumi jesienny las. Wieczory dochodzą i do niego, bo kiedy granatowa ręka naciska na szyby, las milknie. I przychodzi wielka, gorąca cisza. Gorąca bez względu na mróz, który chwyta w kleszcze kałuże i liście. Liście chrupią, kiedy Reks wraca z długich spacerów. Idzie powoli jak syn marnotrawny. I w ciemności jego oczy błyszczą prośbą.

Prosi o przebaczenie, bo nawet nie łąsi się do nogi. Siada tylko w kącie, schyla głowę i od czasu do czasu spogląda na Kotka. Kótko wyciąga rękę i gorący, czerwony ognek języka błyskawicznie liże mu palce. I to właśnie jest przebaczenie, bo za chwilę pies hasa dookoła Kotka po ścieżkach, trąca chrzan i łodygi przejrzałych kwiatów.

Babcia siedzi w fotelu, a Kotko już po raz drugi tego dnia przestępuje próg jej pokoju. Od razu otacza

go brązowa cisza, meble lśnią wśród tej ciszy i tylko szafa poddała się działaniu czasu: pochyłona na bok żółci się ospowymi kropeczkami kornikowych norek. Z sufitu zwisa ciężki szklany żyrandol z girlandami pociemniałych szkiełek i żarówką zagubioną wśród tych szkiełek. Światło pada na stół, babcia przymyka powieki i jej twarz przyjmuje znany Kotkowi wyraz wyobcowania.

— Jak twoja nauka? — babcia otwiera oczy, ale nie rusza się. Wielkie ciało jest jak nieruchoma góra, tylko tam, gdzie znajduje się głowa, czuje się żywy organizm. Pulchna, pokryta plamami ręka leży na brokatowej serwecie, a w palce ostro wpił się pierścionek z malinowym kamieniem. Światło pada na kamień i czerwony promyczek tańczy na jego krawędziach.

— Dobrze — odpowiada Kotko. — Jak może być inaczej?

— W moich czasach — oczy babci poważnieją — oświata była szczytem marzeń. Ale teraz nastąpiła taka młodość, że traktuje to jako przymus.

Babcia ma wysoki i bardzo czysty głos. Wyrafinowany, pedagogiczny sposób wypowiedzi wśród tych ścian przypomina Kotkowi ludzi, których fotografie porozwieszane są na ścianach. Jak uczeń kładzie ręce na kolanach i stara się nie patrzeć na babcine paznokcie. Ale patrzy właśnie na paznokcie — tępe, pożółkłe, wyczyszczone i opilowane. Kotko kuli się w sobie, wzrusza ramionami — wypadłoby zrobić palcami choćby najmniejszy ruch.

— Dlaczego się kulisz? Chłodno ci?

Nie może jej powiedzieć, że zawsze tak jest, kiedy się denerwuje.

— Nie jest mi chłodno — odpowiada. — Ale jeżeli chcesz, narąbię drew...

Babcia przygląda mu się uważnie.

— Jesteś teraz w trudnym wieku. Powinnam cię dokładniej kontrolować...

Odchyliła się na oparciu fotela, ale Kotko wie, że nie to zmusiło ją kolejny raz wpuścić go do siebie. Wie nawet, co jest właściwą przyczyną i nie może oderwać wzroku od jej ręki, która nie poruszyła się od momentu, kiedy spoczęła na poręczy.

— Jestem już dorosły — przełyka ślinę, która wypełnia całe usta.

— Mam nadzieję, bo nie chciałabym — ostro podniosła głos — żebyś stał się taki jak współczesna młodzież.

Było ciężko, niezwykle ciężko przeniknąć w głąb tego zdeformowanego ciała, które miało już za sobą niejeden dziesiątek lat. Bo coś jednak było w tych dziesiątkach. Coś musiało być!

Za oknem była noc, bo szarawe sztory zasłaniały szyby. Mały popielaty kotek trącał je łapką. Chwiał się ocierając o ścianę, a kotek patrzył na nie okrągłymi, pełnymi zachwyty oczkami.

Babcia nareszcie zabrała rękę z poręczy i Kotko odetchnął z ulgą.

— Masz pracę? — zapytała nie unosząc powiek.

— Mam.

— Idź.

Kotko poszedł oglądając się za siebie. Nie było już nic żywego w gigantycznej górze, która wyrastała z fotela. Poruszała się jedynie pod wpływem oddechu koronka starej, z ubiegłego stulecia bluzki.

Wieczór świętej jesieni, wieczór świętej jesieni!... Kotko patrzył na ten wieczór i wciągał go w piersi. Wielka, siwa sosna znieruchomiała, a wieczór, czysty

i młody, przyzywał jego duszę. Sad wzdychał jak człowiek, zupełnie jak człowiek, mrok spacerował po ścieżkach jak w dzieciństwie. Kotko bał się go. Chciałby się skurczyć, i ukryć za bezpiecznymi drzwiami, ale całe osiemnaście lat jego życia przyszły mu z pomocą. Obezwładniło go wzruszenie połączone ze strachem. Pod werandą pokornie stał Reks, on rozumiał Kotka, bo stał w milczeniu i starał się go przekonać, że jest swój wśród tego mroku, bo wśród mroku wyrósł i dawno już przestał się przed nim kryć. Warczał nawet i Kotko się ugiął. Wśród ciemnej ściany sennie zastygło babcine okno. Jego okno też się świeciło, ale on nie mógł być dziś niezłomny. Zdradził siebie, swoją samotność, swoje pustelnictwo, oko w oko z babcią, zdradził półkę z książkami, która opasywała pokój, i zhańbiony, przeklinając samego siebie oraz swą słabość ducha, pomknął drogą. Reks skakał w ślad za nim, psu było wesoło, bo jego pan pokonał strach, bo pan też ruszył na wędrowkę, na którą tak często lubił wyruszać on sam. Piasek poleciał spod łap, gdy wojowniczo rzucił się na ropuchę, ale szybko mu się to jednak znudziło. Kotko szedł, powoli szurając nogami po opadłych liściach, jesień tkwiła w jego piersiach jak klucha; sumienie piekło jak uderzenie bicia. Ale upadek był zbyt gruntowny. Powoli podążał wzdłuż parkanów w to miejsce, gdzie oświetlony złotem elektryczności wirował i kłębił się, ogrodzony zielonymi sztachetami plac taneczny. Kotko miał swoje miejsce — z tyłu, gdzie rosły krzaki. Można tam było podejść blisko i przykleiwszy twarz do sztachet, patrzeć długo i beznadziejnie, do zmęczenia i obrzydzenia, chwytając jaskrawe kolory, poddawać się falom okropnej muzyki. I dopiero pod koniec, kiedy zmęczenie otulało głowę, włókł się z powrotem, usiłując zrozumieć jeden bardzo prosty fakt: mógł przecież być taki jak wszyscy,

jak wszyscy wirować w tańcu, jak wszyscy wybierać i poznawać dziewczęta, jak wszyscy odprowadzać je do domu... Mógł dzielić z kimś niewyczerpane skarby świętej jesieni, mógł mieć ochotę zapomnieć o wszystkim na świecie. Ale wieczory mają swoje prawa. Kiedy zbliżał się do domu, wiedział, że nie może być takim jak ci z placu tanecznego, że musi słuchać wartościowej muzyki, czytać dobre książki i nie tak kochać.

Reks płatał się w ślad za nim. Jego też zmęczył dzień. W pogoni za sukami, w walce z psami wyczerpała się energia. Patrzył na plecy Kotka i marzył o ciepłej budzie wysłanej liśćmi, o miękkim śnie, kiedy to odpływają dźwięki, a wszystko inne przesłania słodka, różowa powłoka.

Okno Kotka płonęło żywo wśród ciemności jak ognisko, płonął także koło niego bogaty jeszcze w liście klon. Pachniało wodą, jeziora parowały jodem, koło chmur chwiały się kopuły cerkwi, a ich krzyże targały owe chmury. Księżyc drżał w wielkim żółtym kole i rozsyłał wokół ciężkie, miedziane włócznie.

U babci było ciemno. Kotko zatrzymał się i długo stał na werandzie. Potem pochylił się nad poręczą i księżyc oświetlił jego anemiczną twarz. Reks powłókł się do budy i zagrzebał w liście. Księżyc oświetlał ścieżki: jedna — do sadu, druga do furtki. Drzewa stały nieruchomo, wtopione w fantastycznie uformowaną płaskorzeźbę. Na trawie skrzyły się srebrzystymi kryształkami frędzelki przymrozku. Kotko dotknął drzwi. Uchyliły się bezgłośnie do środka. Powiało na niego ciepłem. Takie ciepło daje tylko sosnowe drewno. Kiedy na palcach przekradał się do swojego pokoju, na ustach i całej twarzy zastygł delikatny i czysty zapach sosny. Babcia postękiwała przewracając się na łóżku i Kotko zamarł nadśłuchując. W domu pa-

nował gęsty mrok. Odczuwał go całą duszą. Bo w tej chwili był to żywy mrok. Wypełniali go żywi, niepowtarzalni ludzie.

Nie pamiętała, jak to się stało. Niosła przez podwórze wielki dzban. Ranek lśnił cienkimi pręcikami szronu, a mleko pomiędzy brązowymi ściankami dzbana wydawało się niebieskie. Pośrodku podwórza zatrzymała się i nagle zaczęła kurczowo chwytać rękami powietrze. Niebo zawirowało nad jej głową, bo Kotko zobaczył, jak szybko obróciły się w ciemnawych woreczkach jej oczy. Dzban wypadł z rąk: jasnobrązowy z wychlupującym się, zastygłym w powietrzu strumieniem mleka. Dzban upadł na liście i mleko wylało się na ziemię. Babcia opamiętała się i pochyliła nad dzbanem. A kiedy się wyprostowała, Kotko zauważył, że koło jej oka zalśniła przezroczysta łza. Uśmiechnęła się jak człowiek z poczuciem popełnionej winy i poszła nie patrząc na rozlane mleko i na Kotka.

Reks zaszczekał głośno skacząc koło wielkiej, niebieskiej kałuży. Kotko patrzył na silne psie łapy, które ryły liście i myślał, że już wkrótce nadejdą deszcze i zniknie ta bezgraniczna przejrzystość dni. W głębi nieruchomych gałęzi zastygła delikatna mgiełka. Czyste powietrze zalewało ścieżki i stało nad nim niebieskimi, pełnymi blasku korytarzami... Reks przypadł wreszcie do mleka i chleptał je pożądliwie zagarniając językiem. Kotko wszedł w świetlisty korytarz i zapomniiał nagle o wszystkim: o babcinyh łzach, jej chwiejnej postaci wśród rozgorączkowanej żółcizny, Reksie, który głośno chleptał mleko i o tym, że powinien się pospieszyć, bo za pół godziny zaczynają się wykłady. Ale korytarz już wciągał jego wątłą postać. Poszedł nim jednocześnie przyłapując się na myśli, że

wszystkie jego ruchy są w czymś bardzo podobne do babcinych.

Pnie błyszczały, mokre od roztającego przymrozku, kwietniczek zrudział i wysokie źdźbła rozsypały wo-koło nie zebrane nasiona. Kotko trącił łepkę goździka — do palców poprzywierały drobne ziarenka.

— Piotrze! — zawołała babcia.

Obejrzał się gwałtownie. Stała na werandzie szeroko rozstawiwszy nogi. Jej postać jakby chwiała się w nie-jednolitym świetle poranka. Kotko zawrócił. Idąc, czub-kami butów rozgarniał liście.

— Pora na ciebie — powiedziała.

— Już, babciu! Nigdy jeszcze nie było takiej jesie-ni!...

Zatrzymał się koło werandy i odstawił nogę w wąs-kich, wyprasowanych spodniach. Niebieska koszula o-padała do pasa, szeroki, miękki kołnierz swobodnie leżał na ramionach.

— Jesteś bardzo podobny do matki — babcia przy-jrzała mu się uważnie, ale chłodno.

Reks wylizywał listki, które błyszczały w chłodnych promieniach.

Wsparła się o poręcz, jej ręka jakby wpiła się w drewno, Kotko widział nabrzękłe palce z nalanymi wo-reczkami miękkości, pierścionek mienił się malinowym ognikiem, paznokcie podeszły krwią. Przemknął koło niej i pchnął drzwi, które rozwarły się z hukiem, aż ściany zadrżały. Naciągnął na ramiona kraciastą kurt-kę, zegarek już go poganiał, i wyskoczył na korytarz. Babcia, zgarbiona bardziej niż kiedykolwiek dotychczas, szła do swego pokoju i kiedy Kotko chwycił za klamkę drzwi, odczuł, że przystanęła.

— Co, babciu? — odwrócił się i zobaczył niewyraźny blask jej oczu.

Wyciągnęła zaciśniętą w pięść rękę i włożyła mu w dłoń pieniądze.

— Kup mi łaskę — powiedziała spokojnie i oschle.

Geniusze trącili się kielichami, a ja rzuciłem się do ucieczki. Pragnąłem uciec z tego pokoju, bo nie miałem już siły powstrzymać płaczu. Łzy ciekły po twarzy i od razu zamarzały. Stałem wśród sadu, a on szeptał zwiedłymi liśćmi. Nad głową wisiał księżyc, wielki i naiwny jak dziecko. Zalewał lodowatymi potokami światła, a liście chrzęściły pod stopami. W moim pokoju wszędzie były książki. Na stole, na łóżku, na półce z brązowego drewna — jedynej rzeczy, jaką dała mi ze swego bogactwa babcia. I książki patrzyły na mnie jak żywe. Widziałem nawet ich oczy — twarze Geniuszy unosiły się i chwiały jak miraż. Nerwowo przerzucałem kartki. Czy to możliwe, żeby ci ludzie mieli takie samo ciało i krew jak ja? Takie same ręce i nogi, takie same głowy... Wszystko to było zbyt odległe, zbyt nie-realne, a księżyc ze swoim lodowym migotaniem i chłodnymi potokami światła czynił jeszcze bardziej niemożliwym ich prawdziwe istnienie.

Stałem na zapuszczonej alejce swego postarzałego sadu — dawno już nie rodził i zdziczał. W moją duszę powoli wtapiał się wieczór...

Kotko wysiadł z kolejki elektrycznej. Odczuwał niepokój. Głuche przecucie ścisnęło mu piersi, biegł po drewnianych schodach, podzwaniając metalowymi e-kierkami. Na moście dał wilgotny wiatr o metalicznym posmaku węgielnego pyłu. Kolejka elektryczna szybko znikwała w ciemności, machając tylnym światłem sygnalizacyjnym. Kotko patrzył na las: rozciągał się

za torami kolejowymi jak ciemna portiera. Szumiały sosny, szeleścił piasek. Niepokój wciąż nękał Kotka. Księżyc skrył się, na niebie podrygiwały gęste grzebienie chmur, przypominające strzyżone baranki z powyskubywanymi fragmentami ciał. Porozczepiały się cienkimi włóczniami promieni i tam, gdzie promienie koncentrowały się w jednym miejscu, świecił spleciony, gęsty węzeł. Złote pająki pełzały po oczyszczonych polaciach nieba, bezsilnie poruszając długimi łapami. Złote pająki nie były w stanie ruszyć się z miejsca i chmury spokojnie je połykały. Ale w ich żołądkach nie było dość miejsca i chmury wypuszczały złote pająki na wolność.

Kotko zbiegł z mostu. Psy szczekały leniwie i przyjaźnie. Od jezior powiało czarnym cieniem chłodu, owionęło Kotka — zapachniało padliną. Nogi grzęzły w piaski, cykał samotny świerszcz: nie wiadomo, skąd się wziął i jak żył. Cykanie to stanowiło swoistą ostrą, bolesną granicę i kiedy Kotko przestąpił ją, niepokój wzmógł się i nie dawał mu już spokoju. Wokoło chwiały się podwieszane na niewidocznych czarnych linach świetliki ram okiennych i może po raz pierwszy zauważył, że owe ramy przypominają krzyże. Rzucił się biegiem, ale zabrakło mu powietrza, więc szedł. Idąc wzdłuż parkanów, miesił piasek i czekał na pojawienie się księżyca. I rzeczywiście księżyc wypłynął, wszystko nagle drgnęło i poruszyło się. Kotko czuł, jak w skroniach zastukały szybkie młoteczki. Zaczął biec, nie zwracając uwagi na piasek. W domu było ciemno. Kotko zatrzymał się na środku podwórza. Z budy wyszedł Reks, wolno zbliżył się do niego i spojrzał wilgotnymi, smutnymi oczyma. Liznął powietrze czerwonym ognikiem języka i ponownie powłókł się do budy. Były tam ciepłe liście i można się było miękko zapaść w sen. Kotko bezsilnie przysiadł na werandzie. Sad milczał, spo-

wity białymi okowami lodu. Widać było dwie ścieżki, nawet teraz wydawały się one długimi korytarzami. Ale dziś nie ciągnęło go w te korytarze, bo wiedział, że dziś skończyła się jeszcze jedna jesień jego życia. Wstał powoli i pchnął drzwi — były otwarte. W domu panowała martwa cisza. Taka cisza, że słychać było, jak wycieka próchno z kornikowych norek. Próchno sypało się na głowę i ręce, a on bał się przedwcześnie odkryć potwierdzenie dzisiejszego niepokoju. Ale ów niepokój istniał i doprowadzał ciało do omdlenia. Nie wytrzymał tego napięcia. Rzucił się naprzód, szybko otworzył drzwi i wstąpił w mrok pokoju.

— Zaświeć światło — dał się słyszeć głos babci.

Wzdrygnął się i nacisnął drżącymi palcami przełącznik. Światło raptownie zalało pokój. Wszystko było tak jak zwykle: brązowe meble, spaczona szafa i babcia w wielkim złożonym fotelu.

— Co się stało?

Miał ochotę osunąć się na podłogę, objąć jej nogi i jak dziecko przywrzeć twarzą do miękkiej spódnicy. Opanował się jednak i przytulił do ściany.

— Co się stało? — spytała babcia.

Nie odpowiedział. Poczuł tylko, jak odrętwienie opuszcza ciało, a wielka ulga jak wiosenny wiatr oczyszcza duszę. Możliwe, że babcia go zrozumiała, bo jej spojrzenie nagle stało się chłodne.

— Idź do swego pokoju i nie rób niepotrzebnego hałasu — patrzyła na niego spod opuszczonych powiek.

Pochylił głowę i bez słowa wyszedł na korytarz, gdzie w dalszym ciągu wyciekały w ciemność rudawe potoki próchna. Pachniało gazem i kiszonymi jabłkami. Wciąż jeszcze panowała ta martwa cisza i ta cisza legła na jego duszy jak matczyzna ręka.

Życie nie znosi przepisów. W wielkiej mnogości dni gubi się pamięć, gubią ludzie, za to nadchodzi nowe, rodzą się nowi ludzie. To prawda banalna, ale nieunikniona. Nieuniknioność nie leczy duszy, lecz ją hartuje. Nieraz spotyka się na drodze życia ciemne oblicza przeszłości. Ja nigdy nich nie odtrącam: czasem warto pojednać się z nimi, czasem warto przemierzyć szlak, na którym nie ma już niczego poza jesiennymi liśćmi, które wyściełają krzyżujące się ścieżki. Idę jasnymi korytarzami ciszy i noc staje się moją wspólniczką, mruga do mnie światłami ostatnich zapalonych okien i wśród tych okien, na opustoszałych ulicach, gdzie żyje tylko wiatr, też może być zacisznie. Samotność zjawia się wtedy, gdy znikają ostatnie światełka okien. Wtedy trzeba zawrócić i zapalić światło w swoim oknie.

LWY

Lubiliśmy z ojcem odwiedzać ten dom. Nic osobliwego tam właściwie nie było: mała chałupka na wzgórzu wtopiona w sad, dwa pokoje, w których stały tak dobrze znane meble — łóżko o staroświeckich oparciach z kulistymi ozdobami, szafa, która ma już ze czterdzieści lat, z gałęzią palmową na drzwiach, fotografie, powiększenia ze starych zdjęć, na których twarze wydają się zdziwione i nieco głupkowate. Wszystko takie jak wszędzie, ale my z ojcem lubiliśmy tu przychodzić, zwłaszcza w lecie, kiedy sady najsoczyściej się zielenią i kiedy słońce zatrzymuje się niemal pośrodku nieba. Ojciec zakładał wtedy białą koszulę. Niemal zawsze odczytywałem jego nastrój, bo w takich chwilach jego twarz stawała się zamyślona. Wyglądało to tak, jakby ojciec w duchu przenosił się w inne sfery, wśród których nie tak często wędrują myśli ludzkie. Lubiłem ten jego wyraz twarzy, tak jak i jego białą koszulę, którą zakładał tylko z tej okazji. Lubiłem także jego samego, bo oznaczało to, że on nie zapomni i o mnie. Zresztą on nigdy o mnie nie zapomniał — ta wędrówka do owego domu była także moją namiętnością, choć bardzo usiłowałem to ukryć. Ukrywałem także swoją miłość do letniego słońca, kiedy wstępuje niemal na sam środek nieba. Przed oczami jawiły mi się wówczas jakieś bardzo dalekie kraje, gorący piasek

i palmy, a może i ocean, błękitny jak oczy ojca, kiedy szedł się z kolejną wizytą do tego domu. Takie dni musiały być zawsze słoneczne, nie pamiętam, by choć raz zdarzyło się ojcu iść w deszcz czy pochmurną pogodę. Właśnie szliśmy z ojcem brzegiem rzeczki, skąpanym w słońcu i upstrzonym kamieniami tak jak i sama rzeczka, która niechętnie ciurkała w głębokiej dolinie między owymi kamieniami. Po obu stronach wyrastały wzgórza, z lewej strony — nieprzebyte zarosła rezedy, z prawej — zabudowania przedmieścia otoczone kamiennymi ogrodzeniami. Gdzieś tam jak zęby wyrzynały się wśród wzgórz występy skalne, i tu, głęboko w dolinie, nad małą wstydliwą rzeczką, która usiłowała skryć się między kamieniami, w szczególny sposób odczuwało się słońce. Stało akurat nad głową, pachniało jak wszystko tu wokół zielonymi liśćmi i rozgrzanym kamieniem, trawą, która gęsto rozsiała się na brzegach rzeczki i źródlaną wodą. Szliśmy z ojcem koło kamiennych ogrodzeń. Cała okolica drzeżała nagrzana słonecznym ciepłem. Ludzie pochowali się, bo mało kto wytrzymał to słoneczne, złote natężenie, ale nam było ono potrzebne, byliśmy dumni z tej swojej nieugiętości wobec słońca. Obaj z odkrytymi głowami, obaj w białych koszulach cierpieliśmy z jego powodu w takim samym stopniu. Ojciec obejrzał podwórze, obok którego przechodziliśmy, jego spojrzenie stało się ruchliwe i niespokojne. Ale twarz pozostała spokojna, tak spokojna, że wiedziałem już: za chwilę zacznie mówić o tym, iż nie sztuką jest posadzić jabłoń, że jabłoni niewiele trzeba, żeby rosła. Opowie o Gajowym i jego truskawkach (spojrzenie rozbłyśnie mu wówczas). Na kamieniu, powie, ciężko jest sad utrzymać — trzeba dobrej ziemi. Tego słońca, powie mi jeszcze, wystarczy, żeby utrzymać jabłonie czy truskawki, ale czy wystarczy na winorośl?... Uśmiechną-

łem się. Biała ścieżka wiła się wzdłuż zielonego brzegu, jechał po niej chłopczyk, stojąc na pedałach roweru.

— Ale u Marczuka się udało! — nieco za głośno powiedział ojciec. — Może ma lepszą ziemię, ale nie to mnie ciekawi. Słońca — skierował na niebo szorstki od codziennej szewskiej roboty palec — słońca mu nie brakuje!...

Musiałem podtrzymać rozmowę, choć wcale mnie ona nie interesowała. To, że towarzyszyłem ojcu, wcale nie oznaczało, że jego pasja stała się także moją pasją. Zmrużywszy oczy rozglądałem się dokoła. Te kamienne ogrodzenia, które odcinały podwórze od ulicy, te wielkie kamienie porozrzucane wzdłuż koryta rzeczki, ta trawa, zielona jak moje myśli, kiedy długo nie mogę zasnąć w czasie krótkiej, letniej nocy — wszystko to było dzisiaj moje, wszystko to sprzyjało mojemu nastrojowi i mojej bajce. Bo powrót do niej zdarzał się tylko raz do roku, kiedy wyruszaliśmy z ojcem w te odwiedziny. Ale za wcześnie jeszcze rozpocząć moją bajkę. Mamy wstąpić do Marczuków, wytrzymać życzliwą rozmowę o tym i owym, opowiedzieć i wysłuchać nowiny. To, co najważniejsze, ma nastąpić dopiero później: ojciec pójdzie z Marczukiem do sadu, a ja cichaczem zostanę na ławce patrząc na niebo, na gołębie, które gdzieś pod dachem mają swoje gniazdo i po gospodarsku krzątają się wokół niego...

I oto zostałem sam. Wiedziałem już, co mam robić. Trzeba było przejść przez podwórze (podwórze wcinąło się w gęsto zarośniętą rezedą skarpe i wyłożone było nierównymi, grzejsowymi płytami, skakałem po tych płytach na jednej nodze, a z sadu dobiegały głosy Marczuka i ojca, Marczukowa dodawała coś od czasu do czasu, byłem sam na tym podwórzu), potem ostrożnie wejść pomiędzy ciemne, chłodne ściany, gdzie pach-

niało wilgotną gliną i gazem i gdzie rozpoczynało się moje uniesienie.

Ostrożnie naciskałem klamkę drzwi i cichaczem przeslizgiwałem się do pokoju. Otaczała mnie chłodna pustka obstawiona meblami, które spotykałem w każdym tutejszym domu. Ale tu było coś więcej, zamierałem w półmroku — okiennice były nieco przymknięte — bo do mnie wolno podchodziły... lwy. Obraz wisiał na ścianie. Nie wiadomo było, co to za obraz, ale nie widziałem takiego już potem nigdy więcej. Lwica z lwiatkami i stary lew siedzieli na piasku, żółtym jak promienie słoneczne. Lwiątko bawiły się, lwica czujnie rozglądała się wokół, a lew drzemał.

„To ja” — chciałem powiedzieć, ale nie oczekiwałem, że mnie zrozumieją.

Stałem w kącie i patrzyłem, patrzyłem. I oto lew odwrócił do mnie głowę, przeszedłem w inny kąt — lew znowu zwrócił głowę w moim kierunku. Wcisnąłem się między szafę i leżankę. Spoglądaliśmy na siebie. Lew patrzył na mnie spokojnie, w jego oczach kryła się jakaś głęboka i bezpośrednia mądrość. Widziałem, jak rozsuwają się niby ekran ramki obrazu, zajmował już całą ścianę, i lwy też zajmowały całą ścianę. Ożywały naprawdę: zmagaly się ze sobą lwiatka, słońce sypało na nas swe promienie. Lubilem słońce, pod jego działaniem stawałem się swobodniejszy, ot, choćby tu, kiedy słońce wdarło się do tego pokoju, kiedy zostałem sam na sam z lwami, tu właśnie poczułem, jak rośnie moja dusza, jak ciało napęlnia się dźwięczną melodią. Była to melodia promieni, melodia pełnego świętego uwolnienia, kiedy serce ogarnia nowe płaszczyzny, nie znane naszemu codziennemu rozumieniu tego, co nas otacza. Te, w których spacerują lwy i bawią się lwiatka. Leniwa fala oceanu obmywała piasek, szeleściły palmy, w wodzie widziałem ryby, które wolno pływały

przy brzegu. Ale nie tym czułem się poruszony. Wzruszyło mnie, że lew nie patrzy na mnie jak na wroga, w jego oczach dostrzegłem dobre, jasne ogniki — w tym domu, sami, oko w oko, byliśmy sobie bliscy...

Stałem tak, dokąd nie usłyszałem wołania ojca. Dopiero wtedy opuszczało mnie zamroczenie i zmęczony wychodziłem na dwór. Twarz ojca była znużona, uprzejmie żegnaliśmy się z Marczukami i wychodziliśmy za furtkę, obiecując, że na pewno jeszcze przyjdziemy. Potem pokonywaliśmy kamienną groblę przez rzeczkę i ponownie znajdowaliśmy się między kamieniami. Tym razem niemal fizycznie czułem, jak wokół mnie piętrzą się szare skały. Płynęła cisza, nerwowo i czujnie, czepiając się granitu, i kiedy pojawił się głos, gwałtownie opadała w dół, w ukrytą pomiędzy bryłami wodę. Kamienie przypominały mi zwierzęta, które długo walczyły ze sobą, zanim skamieniały. Ciągnęło mnie w te kamienie, bo one ożywały, jeżyły skórę i szykowały oręż. Słyszałem, jak brzęczą zbroje, jak wszystko tu w dolinie szykuje się do walki. Trawa dyszała wilgocią, wąziutka ścieżka grzała się w promieniach słońca, które przystanęło nad głową i przypominało wielkie, gorące lwie oko. Topiłem się razem ze swym ojcem pomiędzy szarymi głazami, które następowały na nas, grożąc wchłonięciem w swoje szare królestwo. Ale tu, koło kamiennych murów, które przywoływały na myśl starodawne twierdze, pomiędzy budynkami, które także przypominały starodawne twierdze, mieliśmy także swój azyl. Ten azyl to lwie oko słońca, pod znakiem którego udaliśmy się dzisiaj w te niecodzienne odwiedziny. Tak, teraz otaczały nas kamienie: płaskie, prostokątne, ostrokątne, owalne. Wyszlifowane przez czas i niepogodę, obłe głazy leżały jak olbrzymie jaja, złożone przez jakiegoś fantastycznego, niewiarygodnego, bajkowego ptaka. Kamienne bryły

napinały plecy, usiłując wyrwać się z niewoli wody.

Szliśmy z ojcem białą jak promienie ścieżką i każdy myślał o swoim. Słońce tak samo wisiało nad nami, ale my nie odczuwaliśmy już tego szaleństwa.

— U niego mimo wszystko się udaje... — powiedział ojciec, kiedy dochodziliśmy już do swego podwórza otoczonego kamiennym ogrodzeniem. — Tego słońca wystarcza jednak dla winorośli...

Milczałem, bo przeszła mnie raptem inna myśl. Może dziwniejsza niż ojca i bardziej niedorzeczna, ale owładnęła mną całkowicie.

„Możliwe — myślałem czując, jak na czole występują mi krople potu. — Możliwe, że tego słońca jest na tyle, żeby wyrosła pod nim winorośl, ale czy jest go na tyle, żeby wyrosły lwy?...”

DOM

1.

Mężczyzna zatrzymał się, bo słońce uderzyło mu prosto w oczy. Wspinał się po zboczu pagórka, wyrzucając przed siebie długie, chude nogi, sapał ciężko, ale szedł, choć można było podejść łagodniej, pochyłą ścieżką. Niebo nad głową toczyło puszyste usypiska kłębiastych chmur. Ubiegłoroczna trawa była przysypała kurzem, buty mężczyzny też przysypałe były kurzem. Zza pagórka zaglądał w dolinę dom, ale nie on interesował mężczyznę. Zatrzymał się, bo słońce uderzyło mu prosto w oczy. Z boku zaszczeakał pies — duży, senny kundel zabrzęcał ciężkim łańcuchem. W dole była spowita oparami rzeczka i upstrzona domami, przypominająca rozsypałe stado białych kur okolica. Snuł się nad nią dym — palono ubiegłoroczne chwasty. Słodki zapach tamował mężczyźnie oddech. Stał długo wyciągnawszy zyłastą szyję. Głowa mężczyzny była mała, twarz okrągła, pomięta, jakby ktoś rzucił kawałki gliny i podeptał je nogami. Oczy błyszczwały przenikliwie i skrzyły się.

Nastąpił na puszystą krecią górkę i poszedł zboczem w dół. Ciężkie buty łuszczyły ubiegłoroczne chwasty. Wiosna wysuszyła ziemię, która w najśnieczniejszych miejscach pokryła się już szczeciniastą trawą. Mężczyzna, z ręką w kieszeni spodni, deptał po delikatnych łożdkach. Jego policzki poruszyły się — ssał cukierek.

W dole, koło rzeczki wypłuł go — kilka kaczek pędem rzuciło się z pluskiem do wody. Mężczyzna miał za ledwie trzydzieści lat, choć na pierwszy rzut oka wyglądał na czterdzieści.

Wyszedłszy na ulicę, ukłonił się wysokiej, ciemnowłosej kobiecie, która siedziała na kamieniu koło furtki. Minął kilka podwórek i obejrzał się. Kobiety na kamieniu już nie było — zamiast niej siedział i mył się wielki, rudy kocur. Firanka w oknie domu, koło którego zatrzymał się mężczyzna, odsunęła się i jego wzrok natknął się na czyjeś błyszczące oczy. Człowiek trzymał w rękach walizkę. Walizka była stara, w miejscach gdzie zeszła farba, widać było białą tekturę. Na bokach widniało kilka przyklejonych kwitków z przechowalni bagażu. Mężczyzna przełożył walizkę z jednej ręki do drugiej i poczłapał ulicą dalej. Czuł dziś pustkę w głowie, taką pustkę, że aż dzwoniła z powodu ciszy, która ogarnęła mózg. Zawsze to czuł, ilekroć po kolejnej wędrówce przemierzał rodzinną ulicę. Może dlatego też bardziej przysłuchiwał się temu dzwonieniu w sobie, niż zwracał uwagę na sąsiadów. Biała kura z farbowanym ogonem rzuciła się przed nim do ucieczki i skryła się w zaroślach rezedy, zza której prześwitywały szerniałe sztachety parkanu i znad której wił się dym. Mężczyzna uniósł głowę i usłyszał nawet suchy trzask chwastów pożeranych przez płomień. Pachniało ziemią i dymem, zresztą dla niego wiosenny zapach ziemi był także zapachem dymu, miękkiego, słodkiego, znajomego, który występuje tylko tutaj, w jego okolicy. Dym powiał na sztachety i wyglądało to tak, jakby i parkan zaczął się dymić, i rezedą, i jakby cała ulica była bardziej zadymiona. Niebieskawa mgiełka wisiała przed oczyma jak zasłona. Głowa dzwoniła spokojnie i nawet przyjemnie, bo był dziś w dobrym nastroju. Ojcowski dom znajdował się za rogiem, trze-

ba było pokonać jeszcze jeden pagórek, do którego przywarł samotnie, w oddaleniu od innych, ich rodzinny dom.

Mężczyzna szybko ruszył pod górę. Patrzył na zakurzone czubki butów, które żwawo migały przed oczyma. Walizka wolno chwiała się w ręce — wszystko wskazywało na to, że jest pusta. W głowie dzwoniło jak na koncercie. Przez ścieżkę przeskoczył rudy kocur i wydało mu się nawet, że jest to ten sam kot, którego widział na początku ulicy... Zbliżył się do znajomego budynku, przystanął koło furtki i wsunął długie, wypielegnowane palce w dziurkę między sztachetami. Furtka zaskrzypiała i zniknęło dzwonięcie w głowie. Na odgłos skrzypienia uchyliły się drzwi domu i mężczyzna zobaczył w ich świetle czarną postać ojca.

— No co, staruszk, nie spodziewałeś się?

— Wejdz — powiedział z rezerwą ojciec.

Syn spojrzał na jego chmurną twarz i poczuł, że stary nie jest w dobrym nastroju. Z drugiej strony także skrzypnęły drzwi. Na podwórze wyszła młodo wyglądająca kobieta i zaśmiała się na powitanie:

— O, Mykoła przyjechał!...

Stary szybkim ruchem zamknął rozwarte skrzydło drzwi. Znaleźli się w ciasnych i ciemnych ścianach. Wielcy i mało zwrotni oddychali sobie w twarz. Wydawało się, że na walizkę nie było tu miejsca, bo mimo iż wetknięta w kąt, zaczynała już uciskać Mykole nogę. Dzwonięcie w głowie znów się pojawiło, a z podwórka dobiegł miły dla ucha kobiety głos.

— Tju-tju-tju-tju — nawoływała żona taksówkarza i im obu stało się w ćmie mroku ciasno i duszno.

Dzwoniło w głowie, a mózg ogarniała cisza, i Mykoła poczuł, że znów jest w domu, znowu tu, gdzie jest tak przestronnie i swobodnie, gdzie zawsze chciał zatrzymać się jak najdłużej, ale zatrzymywał się jak naj-

krócej. Mrok był gęsty, jak z waty, nieprzebyty, ciężko się nim oddychało, ale i tu był zapach dymu, tego dymu, który tak szczelnie zasnął dzisiaj okolicę.

— Może wejdiesz — powiedział ojciec.

2.

Taksówkarz miał dzisiaj wolny dzień. Założył na ciepłą bieliznę piżamę i wyszedł na spacer. W takich chwilach czuł uniesienie. To było szczególne, jedynie jemu właściwe uczucie, którym nie podzieliłby się z nikim, bo brało ono swój początek jeszcze z tego bosonogiego, ubogiego okresu dzieciństwa i ciągnęło potajemnie, dobrze zamaskowaną nicią. Zawsze stał z tej strony nici i patrzył w tamtą przeciwną. Im dalej, tym bardziej zacierała się tamta przeciwna strona, tym większa stawała się odległość. Czasem nikiły nawet zarysy tych odległych czasów. Przyczyną była zbyt duża częstotliwość owego stanu, bo uczucie to powracało do niego za każdym razem, ilekroć wypadł mu wolny czas, i kiedy na ciepłą bieliznę zakładana była piżama. To było jego poczucie równowagi, jego przyjemność a także przyczyna jego twardego, zdecydowanego kroku, kiedy wychodził na spacer w wolny dzień. Bo choć uczucie to było nadużywane, choć zatracał czasem granice między sobą dzisiejszym i sobą dawniejszym, to jednak nigdy nie zatracał tego, co najważniejsze: został w życiu tym, kim sam siebie nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie wyobrażał. To było więcej niż jego ówczesne marzenie zostania traktorzystą i bycia pierwszym chłopakiem we wsi. W takich chwilach lubił zerknąć także na żonę. Wywiózł ją ze wsi jeszcze wtedy, kiedy chciał być pierwszym chłopa-

kiem we wsi, bo okazała się ambitna i wyszła za niego tylko dlatego, że przyjechał z miasta ciężarówką. Kurz wtedy podniósł się za samochodem, kury rozpierchły na wszystkie strony, a zza płotów i furtek wyzierały twarze ludzi. Bo we wsi było to jeszcze osobliwością, a zwłaszcza w ich zapadłej wsi, gdzie nie było nic poza kurzem i turkoczącymi wozami. Tak więc taksówkarz zabrał wtedy najpiękniejszą dziewczynę, oto ona — patrzy na niego przymrużonymi oczyma — nawołuje kury: ciężka, postawna, o szerokiej twarzy, na której do dziś jeszcze widać pozostałości dawnej urody. Wszystko było mocne, nowe, porządnie zrobione. Otworzył zamek, który strzegł tego, tylko jemu należnego świata i wszedł w przyjemny półmrok. Pstryknął przełącznik — żółte światło rozlało się po szopie, rzuciwszy mu na spotkanie przedmioty. Obejmował je wszystkie naraz, porządkował oczami: złożone w akuratne rzędy porąbane drwa — z tego, co pozostało po zimie, grzędy dla kur i ogrodzenie dla kaczek. Pachniało ptasim pośladem, zapach był miękki i ciepły. Wychodził na dwór, oglądał się i marszczył z niezadowoleniem, kiedy spoglądał na obejście sąsiadów. Sąsiedzi — to było dla niego coś nieprzyjemnego i denerwującego, to było ciągle niezadowolenie żony, to była jakaś uraza, której nie rozumiał do końca. Ale dziś czuł się wspaniałomyślny, potrzebował czegoś innego, nie wiedział jeszcze czego: coś z gospodarstwa, ale poza szopą nie miał gospodarstwa. Trzeba było coś wymyślić, bo wiosna zmusza do gospodarskich poszukiwań, a uważał siebie za nie byle jakiego gospodarza. Może dlatego znowu wrócił do szopy, znowu uważnie ją obejrzał: z boku stało łóżko polowe. Łóżko polowe i jego dzisiejszy nastrój — to się łączyło, od razu to wyczuł. Wyniósł je na podwórze i rozłożywszy, uderzył dłonią o naciągnięty brezent. Zawirował tuman kurzu,

aż przyprószło mu twarz. Wziął kij i zaczął głośno   w kurz wybijac  . Na odg  s stukania wysz     ona. Sta   szeroko rozstawiaj   nogi i taks  wkarz, mimo i   sta   ty  m, czu   jej dorodne, nieco przycie  kie cia  .

— Mo  e przynie   trzepaczk  ? — zapyta  .

— Obejdzie si   — wyprostowa   si  , bo brezent ju   nie dymi   kurzem. — Ciep  . Ju   i pole  e   mo  na...

— Ko  uch wynios   — powiedzia  .

Nie odpowiedzia  , tylko spojrze   w da  , gdzie   cieli  y si   poro  nione leszczyn   pag  rki. W do  , jak stalowy wa     oa, wi  a si   rzeczka, nad ni   grupa ch  pc  w gra   w pi  k   no  n  , dalej — budynki, niemal wszystkie jednakowe, kryte   lach  , o bia  ych   cianach, z werandami i ma  ymi rze  bionymi okapami. Sta  , z g  ry, wi  da   by  o odgradzaj  ce podw  rza parkany. Czu  ,   e zaraz wy  oni si   w my  lach ten gospodarski pomys  , kt  rego pragn  ; przyjdzie do g  owy, dojrzeje i nabierze realnych   kszta  t  w. Trzeba si   po  o  y  , trzeba przymkn  c oczy, bo dzi  s mo  na   edzie obmy  li   wszystko do ko  ca. Ju   widzia   w wyobra  ni, jakim zdziwieniem i zachwytem rozszerzaj   si   oczy   ony. Chcia   j   zadziwi   i zachwyci   nawet teraz — przez wszystkie lata zajad  lej walki o lepszy byt darzy   j   uczuciem i po  ada   j   w dalszym ci  gu.

Postawi       ko polowe w ulubionym miejscu pod ska  k  , gdzie nie dociera   wiatr i gdzie najmocniej grza   s  n  ce. Po  o  y   si   na rozpostartym ko  uchu i zobaczy   blisko nad sob   niebo. Le  a  o niemal na jego twarzy, jaskrawo  kity skrawek, ograniczony, jak morze, brzegiem k   biastej chmury. Ju   wiosna, zakr  ci  o mu si   w g  owie. Tego roku jego rodzina szykowa  a si   na wyjazd do bliskich. Lubi   przyje  dza   na wie  , bo tam zawsze spotyka   si   z tym, od czego zaczyna   sw  j szlak, widzia   to, co tkwi  o w jego umy  le jak pocz  tek nitki, ale gdyby przysz  o mu teraz wr  -

cić, oczywiście wzbraniałby się rękami i nogami. Przyjemnie tam było przyjeżdżać choćby dla możliwości spacerowania po wsi w tej pizamie. Słońce przygrzewało, czuło się takie delikatne, jeszcze bardzo wątle ciepło, tak pasujące do jego aktualnego stanu myśli, w których z kolei tak przyjemnie się było nurzać. Ale on skierował się w inną stronę, to znaczy powrócił do momentu, w którym zaświtał mu w głowie załazek pomysłu. Odtwarzał chwilę, kiedy nastąpiło pierwsze olśnienie: w dole, jak stalowy wąż boa wiała się rzeczka, nad nią grupa chłopców grała w piłkę nożną, dalej — budynki, niemal wszystkie jednakowe, kryte blachą, o białych ścianach, z werandami i małymi, rzeźbionymi okapami. Stąd, z góry, widać było, jak parkany odgradzają podwórze...

Zachowywał w głowie ten obraz, widział go tak wyraźnie, że czuł podmuch wiatru, który ciągnął stamtąd, z doliny. Oto uchwycił początek, który miał go przywieść do nowego pomysłu, doprowadzić do tego, że żona zmuszona będzie spojrzeć na niego z pełnym szacunkiem i do tego, że będzie mógł znowu pewnie stąpać po ziemi... Siadł na łóżku polowym i otworzył oczy. Natychmiast oślepiło go niebo, to niebo, które leżało niemal na twarzy i które tak zygzakowato ograniczał brzeg chmury. Zmrużył oczy.

Żona wyszła na werandę wytrzepać kilim, zawołał ją, mając w głowie to, czego tak uparcie pragnął przez ostatni tydzień. Położyła kilim na werandzie i powoli, z rozważą poszła w jego kierunku. A on już się niecierpliwił, bo to, czego pragnął, rozpierało mu piersi radością. Było tutaj, pod ręką, takie żywe, okrągłutkie jak dziecko.

— Tentego — powiedział nie czekając, aż podejdzie i stanie przed nim. — Może byśmy skopali ten pagórek

— pokazał ręką — i wsadzili w ziemię parę pudów kartofli...

Oczy żony powiększyły się, poszerzyły, a potem chlusnęły na niego falą błękitnej czułości.

3.

Była pora, kiedy do starej schodziły się jej ukochane psy i koty. Ściągały one z całej okolicy, psy — czarne, a koty rude. W porze przedobiedniej, kiedy słońce podnosiło się najwyżej, kiedy cichły wiatry i nie poruszały już gałęziami krzaków bzu, czarne psy zaczynały odczuwać niepokój. Te, które były uwiązane, gryzły łańcuchy, błagały gospodarzy oczyma, by je spuścili, a té, które nie były uwiązane, rzucały się między wyschnięte kartofliska i przedzierały przez dziury parkanów. Koło nich jak lisy śmigały koty. Wszystkie te zwierzęta kierowały się w jedną stronę, na wzgórze, gdzie je czekało... One same nie wiedziały, co je tam czekało. Po prostu nadchodził czas przedobiedni, kiedy stara wracała z miasta, niosąc w wyświeconej pod wpływem czasu, niegdyś aksamitnej torbie, kawałki chleba, kartofle, czasem słoninę — wszystko, co wyżebrała po domach. Kiedy szła przez okolicę, skupiały się na niej spojrzenia zza firanek, ale ona w takich chwilach nie zwracała na to uwagi. Tutaj mogła wreszcie wyprostować plecy, które stale były pochylone, bo tym, którzy się nie pochylają, nie daje się jałmużny. Dopiero tutaj mogła być taką, jaką sama chciała się widzieć. W okolicy nigdy nie żebrała, bo tu czuła co innego — to, dzięki czemu być może żyła — więź ze wszystkim, co żywe; zwierzętami i roślinami, bo drzewa i psy, koty, kury i kaczki — cała żywizna okolicy była w takich

chwilach dla niej czymś bliskim i swoim. Tak więc powracała do domu, gdzie czekały na nią rude koty i czarne psy. Wchodziła na werandę czując już, jak majestatyczny staje się jej krok, dumnie unosiła głowę, a spojrzenie stawało się szlachetne i mądre. Stapała lekko i z godnością, skinieniem głowy witała się z gołymi ścianami, łóżkiem, poczerniałą ze starości koldrą, stołem i stołeczkami, których było kilkanaście.

— Proszę — mówiła.

Psy i koty zaczynały co tchu przeskakiwać się nawzajem w drzwiach. Znikała naturalna wrogość; koty nie prychały na psy, a psy nie rzucały się na koty. Stara siadała na stołeczku, zwierzęta otaczały ją dokoła, a ona wpatrywała się w ich rozognione oczy. Wszystkie drżały z niecierpliwości, ale zachowywały się ukladnie. Koty nie miauczały, a psy nie warczały. Jedynie gorejące oczy i otrzepywanie skóry wskazywało napięcie. Takie napięcie odczuwała także stara. Patrzyła na swoich ulubieńców i wilgotny smutek dotykał duszy. Babcia była rzeczywiście stara, tak stara, że nie pamiętała już ani swojego dzieciństwa, ani tego życia, które kiedyś wiodła. Tu, wśród czarnych psów i rudych kotów, czuła szczególną harmonię. Nie była to harmonia słów czy ruchów, lecz ta wielka harmonia, która nie pozwalała odczuwać samotności.

Stara wzdychała — wzdychały także psy, stara przymykała oczy — koty także je przymykały. Gdzieś tutaj, wiedziała to, mają się pojawić twarze jej przeszłości, na które czekała za każdym razem. Ale one pojawiały się rzadko i stara odczekawszy chwilę otwierała oczy. Zwierzęta lizały jej ręce, a ona rozczulała się i kilka mętnych łez wypływało spod jej chorych, bezręśnych powiek. Ostatnim aktem był poczęstunek. Rozwiązywała sznur, który ściągał jej torbę, i wyjmowała kawałki chleba i karmiła nimi zwierzęta, a one łapały

je żarłocznie i od razu połykały. A potem patrzyły na nią głodnymi, proszącymi oczyma, patrzyły bez mrugania, z oddaniem. Stara brała ostatni kawałek, jaki zostawiła dla siebie i rozłamawszy na równe części, karmiła po raz drugi. Zwierzęta połykały i to, a ona wstała prostując się — była chuda, wysoka. Profil zaostriżył się, oczy nabierały stanowczego blasku. Zwierzęta nie chciały wychodzić, psy opuszczały głowy, łasiły się do jej nóg, a koty kryły się po kątach. Wtedy ona wskazywała ręką drzwi i zwierzęta pokornie wyslizgiwały się z pokoju. Pozostawała sama, siadała na stoleczku i opuszczała ręce. Siedziała nieruchomo, przelistoczywszy się w czarną grudkę, dopóki jakiś okrzyk z zewnątrz nie wytrącił jej z odrętwienia.

4.

Mykoła siedział przy stole: naprzeciw niego ojciec, który dopijał wielkimi łykami kompot, obok niego matka — maleńka, sucha, o twarzy, która była niemal zwierciadlanym odbiciem twarzy syna: te same kawałki gliny, tylko że zamiast zębów były ciemne dziurki. Nie mówiła, lecz sepleniła, a on wsłuchiwał się, napinając szyję, w jej szybki, nieco nerwowy szept.

— Dał los sąsiadów, żeby ich szlag trafił. Oj, dał, żeby im ręce i nogi powykręcało! Mówię: Mańka, jesteś świnią, a ona się śmieje. A śmiej się, jeszcze będzie ci nie do śmiechu. Mówię: już ja znam wasze plemię, bo nikt inny nie powie, kto inny może i przemilczy, a ci, żeby ich szlag trafił, dawno już zęby na nas ostrzą. Chcieli kupić ten dom, a tu — my. Bo więcej daliśmy. Poleźli do starej, chcieli ją oddać do przytułku, ale stara ich wyrzuciła i jeszcze psami poszczuła.

Mówili: my pani pomożemy, będziemy się opiekować, ale stara nie taka głupia...

Zamilkła, patrząc szklanym, znieruchomiałym wzrokiem gdzieś ponad głowę. Ojciec już dopił kompot i siedział pochyliwszy ciężkie czoło. Mykoła widział jego pochmurną twarz. Z wolna przeniósł spojrzenie na matkę — jej oczy w dalszym ciągu lśniły szklistą nieruchomością, aż znowu z bezzębnej jamy zasepleniły słowa:

— Żeby ich kolka chwyciła! Rozmawiać z nimi to tak, jakby przelewać z pustego w próżne. Stara dobrze zrobiła, że wyrzuciła, bo to tacy dobroczyńcy, że do grobu wpędzą. Wsuną kość w gardło, połkniesz i udławisz się. I tak jej też powiedziałam: To ty zrobiłaś, wywłoko zafajdana. Ty! Żebyś miała więcej siły, to wyrwałabym ci te twoje wstrętne klaki. A ona mi mówi: Chcesz mieszkać w mieście, to nie ma co tu wsi zakładać. Sama czerstwa, aż błyszczy, a mnie wytyka. Ty jeszcze się na świat nie wyklułaś, kiedy ja tu mieszkalam. A ona wyszczerzyła swoje końskie zęby i chychy...

Matka splunęła pod stół, pod wpływem oburzenia jej wymięta twarzyczka aż poczerwieniała. Ojciec złamał zapalną i dłuwał w zębach. W oczach, mimo że sennych, na dnie, gdzieś tam głęboko, gdzie trudno było zajrzeć, migotały złe ogniki.

— Żeby ci gardło mlekiem zalało, mówię, żeby twoje dzieci nigdy go nie skosztowały. Bo jeśli ty, gadzino, przeciw starym buntujesz, to niech ci na starość chleb do gardła nie trafi. Pomyśl tylko, takie ścierwo i ono...

Połknęła szloch i przymknęła oczy.

— Znaczy to — zapytał Mykoła — takie zarządzenie było?

— Było, diabli by je wzięli...

— Napiszę zażalenie — powiedział syn, przesuając spojrzenie z ojca na matkę. — Ale najpierw muszę znaleźć robotę na miesiąc, dwa. Dowiedzą się, że nie pracuję, to nie uwierzą...

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Słysząc było, jak dzwoni cisza, a oni siedzieli w tej ciszy, jakby czekali na coś bardzo potrzebnego i ważnego. Na coś, co ma im przynieść to, czego oczekują, nawet więcej niż to, czego oczekują, to, o czym marzą. Cisza zaczynała dzwonić w uszach, zatapiała ich całkowicie, przeistaczając w tysiącletnie mumie, a nad głową, w słońcu, które padało od okna, błyszczała lampa elektryczna.

Pierwszy poruszył się Mykoła. Wyjął pudełko landrynek, oderwał sklejoną cukierka i wrzucił do ust. Matka drgnęła, ojciec wstał zza stołu.

5.

Jedyne uczucie, jakim żył teraz Kozak, to była nienawiść. Od tego czasu kiedy przestał trzymać krowę, kiedy zmuszony był ciągnąć ją na bazar (krowa opierała się, jakby przeczuwając swój smutny los), od tego czasu, kiedy opór krowy został złamany i wyprowadził ją pod górę, do miasta, a potem poprowadził na Sienny bazar, gdzie był jarmark, od tego czasu w Kozaku osiadła pustka. Kiedy wracał z bazaru, przed oczami mu wirowało, napływała mgła. Czuł, że zaraz coś się z nim stanie, trzaśnie tak, że słysząc będzie wysoki ton struny. On, który nigdy przedtem nie pił, wypił wtedy, zawróciwszy do piwnicy, i szedł czując, że głowa rozrasta mu się wszertz, rozrasta się tak, że zaczyna mu być ciężko nieść ją nad chodnikiem. Nie mieścił się między rzędem drzew po lewej stronie a ścianami budynków po prawej. Czasem wydawało mu

się, że siada na jeden z obrusów jak na huśtawkę, odpycha się nogami: buju, buju! A głowa raptem znajduje się na dole, tam, gdzie nogi, choć nogi stąpają po ziemi, a on idzie równo. Ziemia staje się najpierw pochyla, a potem przewraca się do góry nogami, widzi chmury i niebo głęboko w dole. Była wtedy wczesna wiosna, kiedy to pod nogami z trzaskiem łamały się zamrożone kałuże, a brudna woda wachlarzami wychlapowała spod podeszew. A on czuł się wtedy taki pusty, taki pusty, jakby był wysuszony na wietrze. Trzeba było przyjść do domu, spojrzeć w oczy żonie i opowiedzieć jej o tym targu, o tym, że takich jak on było pełno i o tym, że ceny do niczego, i o tym... Zatrzymał się przecierając oczy: naprzeciw szła gruba kobieta, ciężko sapiąc przez nos. Kobieta z wysiłkiem przebiegała nogami, wylupiate oczy wylażyły jej prawie na czoło. Rozpełzała się na cały chodnik, posuwała się wolno i monotonnie, przestraszył się nawet, że nie da rady jej minąć i postanowił zejść z chodnika na jezdnię, choć po niej bez przerwy jeździły samochody. Nie zdążył jednak tego zrobić, bo kobieta napłynęła na niego całym ciężarem swego ciała, co jak ciasto obciekało wokół niego i przeszło przez Kozaka tak, jakby w ogóle nie istniał. Wtedy się opamiętał. Zrozumiał, że kobieta miała znajomą twarz, która dziwnie łączyła się z dopiero co widzianą kobieciną. Obejrzał się jeszcze, odprowadzając spojrzeniem i kobietę, i taksówkę. Obie zniknęły już w głębi ulicy i wtedy na niego bryznęło, załało, zawładnęło nim, przerzuciło, zabujało, zachwiało, sieknęło dziwne uczucie, które targa nim do teraz. Zrozumiał to, bo nagle zajęła swoje miejsce nienawiść — jedyne uczucie, którym żył teraz Kozak.

Taksówkarz przekopywał wzgórze razem z żoną i córką. Wyszli wszyscy i zaczęli kopać na trzy szpadle. Zawzięcie, niemal ze złością ryli ziemię, spod szpadli wyłaniała się dziewicza gleba i przewracała czarnymi, soczystymi skibkami. Różowe dżdżownice wypełzły na słońce, kurczyły się w jego promieniach. Kury chodziły po grządce i wydziobywały je. Wiał ciepły, suchy wiatr, przynosząc zapach pierwszej trawy, który tu, koło ziemi zwilżał się zapachem pary. Machali łopatami, aż stawy trzeszczały. Darń wykorzystywali do obłożenia działki, a kamienie rzucali w dół. Toczyły się one z pagórka w krzaki bzu i tam zatrzymywały się wśród gałęzi.

Koło domu pojawiła się czarna postać Kozaka. Stał i patrzył w dół, gdzie rodzina taksówkarza przekopywała ziemię. Rozzłościło to taksówkarza, tak rozzłościło, że łopata zatrzeszczała mu w rękach, a ziemia zaczęła przewracać się jeszcze szybciej. Żona i córka też przyspieszyły, starając się nie odstawać od niego. Było w tym coś niezrozumiałego, bo ta wściekłość i rozdrażnienie zjawily się w nim same z siebie. Kopał ziemię i myślał: kiedy to się stało? Stara sprzedawała część domu, tę część, na którą dawno miał oko... Natrafił na kamień i omal nie złamał szpadla. Chwycił łom i gwałtownie uderzył o ziemię...

Kozakowa nieruchoma postać wciąż tkwiła jak zjawą koło budynku i taksówkarz zaczął nawet powątpiewać: czy sąsiad to aby na pewno, czy może przywidzenie? Wierzchem dłoni wytarł pot z czoła, ale postać Kozaka pozostała. Stał jak posąg, bez jakiegokolwiek ruchu, który wskazywałby oznaki życia. Taksówkarz nacisnął na łom, podważając kamień, łom ruszył ziemię, ale kamienia nie wyrwał. W tym momencie tak-

sówkarz zobaczył także starą. Szła w dół równym, wolnym, niemal majestatycznym krokiem, szła, jakby była już wolna od wszelkich trosk. Wiatr poruszał jej szarą chustkę, w ręku chybotwała niegdyś aksamitna torba. Taksówkarz splunął i nacisnął łom z jeszcze większą siłą. Tym razem kamień poddał się i przewrócił wygarniając ziemię. Pod nim błysnął czysty, biały piasek.

— Ziemia trochę nie bardzo...

Spojrzał na swoje kobiety i niespodziewanie dla siebie zobaczył, że one też są zdenerwowane.

7.

Taksówkarz odesłał żonę i córkę, a sam pozostał, żeby obłożyć darniną granicę poletka. Kobiety poszły pod górę, a on z zadowoleniem spostrzegł, że Kozak wreszcie się poruszył. Przeszedł się tu i ówdzie po podwórzu, a potem zawrócił i szybko skrył się za drzwiami. Zjawił się natomiast jego syn. Stał tak samo jak ojciec, i taksówkarzowi po skórze przeszedł dreszcz. Ale to był moment. Przebiegło koło niego kilka czarnych psów i rudych kotów, to skierowało jego myśli na inne tory. Usiadł, wyjął papierosa i zapalił. Przed nim rozpościerał się widok na rzeczkę, za którą wiła się wstążka drogi, zataczając koło mostu, gdzie przykleiła się piwnica, wdzięczną pętlę. Poczuł niezadowolenie, mimo iż dzień tak pięknie się zaczął. Poczuł tęsknotę, chociaż jego plan zaczynał się udawać, a pomysł został przyjęty. Pomyślał: poprzedni też był niezły, a mimo to się sparzył... Ujrzał przed sobą ostrą, wyraźną twarz starej. Siedziała w fotelu o postrzępionych oparciach. Poczuł zapach psiej sierści. Stara patrzyła na niego uważnie, przenikliwie, jakby nawet z pewnym chłodem. Wszyst-

ko odbyło się wówczas niemal tak jak tym razem. Spacer w piżamie (o łóżku polowym wtedy nie myślał, bo było za zimno). Pospacerował nad rzeczką, wydłubał z piasku podkowę i zdecydował, że to na szczęście. Bo pomysł dopadł go w momencie, kiedy wziął podkowę.

Przyniósł ją do domu i przybił na progu.

Stara siedziała naprzeciw niego jakaś obca i nieobecna, koło jej nóg grzały się trzy rude koty, kilka psów wylegiwało się po kątach.

— He, he — powiedział wtedy — zwierzyniec założyście, babciu.

Wskazała mu niski stołeczek naprzeciw siebie. Siadł i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, bo zmuszony był patrzeć do góry, a to stawiało go w pozycji proszącego mimo iż proszącym oczywiście być nie chciał.

— Nie smutno tak samej żyć, he, he?

Stara nie odpowiedziała i taksówkarz zaczął się już denerwować.

— Ja, tego — powiedział — po sąsiedzku. Mieszkamy razem, myślę, wstąpię.

Spojrzał na nią: z dołu do góry, jak żebrak. Stara spokojnie patrzyła spod opuszczonych powiek.

— Może pomocy jakiej trzeba, moglibyśmy się dogadać — poczuł śmiałość. — Jesteśmy ludzie prości. Moglibyśmy was dokarmiać, tego, do śmierci, a wy przy okazji, może, he, he, i przepisałibyście nam tego, pokoik...

Powiedział wszystko, co chciał powiedzieć, a kiedy zerknął na starą, poczuł, że chłód jeszcze bardziej liże mu plecy. Nozdrza starej zatrzepotały jak płatki. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego tak, że aż poruszył się na stołeczku.

— Precz! — spokojnie powiedziała stara.

Rosły pies wyskoczył z kąta i taksówkarz nie dał się długo prosić.

„Nie wszystko naraz — uspokajał się. — Pewnie stara ma pieniądze. Gdyby nie miała, na pewno by tak nie powiedziała...”

Podszedł do swoich drzwi i nagle ze zdziwieniem zauważył, że w tym miejscu, gdzie przybił dzisiaj podkowę, było pusto. Pozostały tylko dziurki po gwoździach. Taksówkarz pochylił się nawet, żeby lepiej się przyjrzeć, zazgrzytał zębami i z wściekłością spojrzał w stronę Kozakowego gospodarstwa...

8.

Mykoła myślał. Niewiele mu do tego było potrzeba: spokój i wolny czas. I jednego, i drugiego miał pod dostatkiem, dlatego oddawał się rozmyślaniom nawet przesadnie często. To, że rodziców obrażano i że winni byli temu taksówkarz i jego żona, nie budziło w nim wątpliwości. Krowę trzymano potajemnie i mogli to ujawnić tylko sąsiedzi. Żeby do tego dojść, rozważał Mykoła, nie trzeba wiele myśleć. Wychodził na podwórze i nieruchomie patrząc w dół na rzeczkę. Ssał cukierka i patrzył. Długo, uparcie, aż do bólu oczu.

„Nie ma co tu dużo myśleć — powtórzył w myślach, ale czuł, że nie dojrzał jeszcze do tego, aby sięgnąć po pióro. — Napisać trzeba” — postukał podeszwą po wydeptanym podwórzu.

Podnosił stopę, wspierał się nią na pięcie i bił podeszwą o klepisko. Cukierek przyjemnie rozpuszczał się między trzonowymi zębami a policzkiem, a on w żaden sposób nie mógł oderwać wzroku od rozległych nadrzecznych krajobrazów.

Matka zatrzymała się za nim i zasepleniła poruszając bezzębnymi dziąslami.

— Ojciec ma dwadzieścia pięć rubli emerytury, a

ich, niech ich szlag trafi, i to w oczy kole. Krowa, to, tamo, nazbierało się do kupy. Kurka jajko zniesie, a oni i o kurę zazdrośni. Słyszałeś, co było tydzień temu? Chodziła Maksymczuczka, zginął jej kogucik...

Mykoła słuchał matczynego gadania, a w duszy dzwoniła mu pustka. Choć oto nagle: coś się tam poruszyło. Poczul już to „coś” i westchnął pełną piersią...

— Weszła do Romanczuczki — sepleniała matka. — Pyta, ta mówi: widziałam, pobiegł tam. Weszła do Katki, a ta pokazała w naszą stronę. Widziałam go, mówię, biegł tutaj... Aż tu patrzę na drugi dzień — już u nich — znacząco mrugnęła w stronę sąsiadów. — Niech ich szlag trafi, grabią, aż ich oboje wydeło. I jeszcze im cudzej kury potrzeba! Więc mówię: widziałam, biegał tutaj. Ona do nich, a on: nie wiemy, nie widzieliśmy.

Mykoła już niemal dokończył w myślach swoje rozważania. Tam w dole przekopywały pagórek żona i córka taksówkarza. Córka nachyliła się wybierając kamienie i Mykoła zobaczył jej żylaste, nieco ciężkawe nogi. Matka poszła do szopy, gdzie chrupkało prosię. Cukierek pod policzkiem rozpuścił się całkowicie i Mykoła wypłuł lepką, słodką ślinę. Patrzył jeszcze w dół, jak żona i córka taksówkarza przekopują pagórek, ale to już niewiele go obchodziło. Bo z głębi duszy napłynęła do głowy gorąca fala. Aż się zachwiał, a potem rzucił się do domu, omal nie rozgniatając po drodze kudłatego kociaka. W pokoju było cicho, pachniało tkaniną i papierem. Siadł za stołem, na którym był już atrament i wydarty ze szkolnego zeszytu arkusz, u-moczył pióro w kałamarzu i zerknął w okno. Było o-słonięte czystą firanką, w górną szybkę zaglądało błękitne, aż młodzieńcze niebo. Mykoła rzucił spojrzenie na papier, na pióro z brązowym nalotem atramentu i nisko pochylił się nad stołem.

„Jestem uczciwym robotnikiem i piszę do was pismo, bo mnie boli, rozumiecie, moje robotnicze sumienie, a to, co się dzieje, powiem wam, łajdactwa, jakich nie jestem godzien cierpieć, bo to wbrew memu, że tak powiem, sumieniu. I niech mnie ukażą, powiem, że żyje za nie zapracowane pieniądze, bo gdzie to pracujący może mieć pięć drogich kilimów albo tyle sukienek, bo ona chodzi w coraz to nowiej. I choć on jest taksówkarzem, to ogrodu bez zezwolenia kopać nie wolno, bo kto to gdzie widział, żeby wszystko bez zezwolenia. Ja, jako pracujący i uczciwy człowiek, łajdactwa ścierpieć nie mogę, bo ogrodu sadić nie ma on prawa, kiedy państwo nie pozwolilo. Proszę więc o życzliwe rozpatrzenie. Mykoła Kozak, robotnik.”

9.

Wiosna niosła z sobą ciepło. Pod jej wpływem ziemia jakby pęczniała, stawiała się wonna i młoda. Jak i to słońce nad nią, i to niebo poprzedzielane ładami chmur, i ta pierwsza trawa, która przebijała swoje jasnozielone igielki, a obok lepkie pąki: krzaki bzu już wystrzeliły w przestrzeń błyszczącymi, drobnymi listkami. I rozświeciliły się zieloną poświatą, tak delikatną, że stara wracając z żebrów, zatrzymała się i zapatrzyła. Bez rozsiewał zielone promienie, migotliwe i niepewne, ziemia też się już rozświeciła, trawa wydzielala zwodniczy zapach, i wszystko ogarnięte było takim drżącym niepokojem, że w babcinej duszy poruszyło się jakieś bardzo dawne i już zapomniane uczucie. Nie mogła go zrozumieć, nie mogła go opanować, bo lepkie listki bzu i trawa, i zapach, i podniecenie całego wiosennego światła zrzuciło na nią ciężkie bryły

wspomnień, i stara aż ręką machnęła, odganiając je od siebie. Gdzieś zaśmiała się dziewczyna (babka wzdrygnęła się zaskoczona), wtórował jej alt chłopca. Starej wydawało się, że jeszcze moment, a wszystko wybuchnie zupełnie innym światłem, że to światło przywróci coś z dawna zapomnianego, ale bliskiego sercu. Aż się napięła, nie będąc w stanie ruszyć się z miejsca, tak bała się tego powrotu. Stare serce mogło nie wytrzymać takiego napięcia, tak dalekiego przywołania odgłosu, takiego dalekiego, że zrozumiała: ani wspomnień, ani powrotu nie będzie! Jej mózg już dogorywał w innych wymiarach, nie zawsze zrozumiałych w tym świecie spraw i zmagañ, a to, że wiosna tak niespodziewanie plusnęła na nią zieloną falą, było tylko złym przypadkiem. Złym, bo go nie rozumiała, bo wiosna poruszała jej jestestwo tak jak i kiedyś dawno, dawno. Spieszyła się, żeby mimo wszystko ominąć te bajkowe krzaki, bo zaczynała już słyszeć mamiące bajkowe dzwoneczki. Wydawało jej się, iż te dzwoneczki to również młode liście bzu, bo takie były czyste i jasne, że dźwięk fortepianu wydałby się w porównaniu z nimi chrypliwy i potworny. Stara wspinała się pod górę. Zapach ziemi otaczał ją ze wszech stron, zewsząd chlapała na nią zieloną zawiesziną. Wszystko to przypomniało dekoracje, źle widziała, i starała się nie poprzewracać ich: niech stoją, skoro wokoło istnieją takie zapachy i kolory. Podchodziła do niej cisza, żywa jak człowiek, ale pozbawiona ciała. Stara szła wśród tej ciszy jak młoda, chociaż zaczynała się już czuć zmęczona tą dziwną przechadzką...

Koło samego domu drgnęła. Bo mimo oporu zielona siła wiosny zwyciężyła także jej starą duszę. Pomimo oporu gdzieś tam, głęboko we wnętrzu, otworzyło się źródło światła. Potajemnie pozwalała mu się sączyć, zalewać stary mózg i stare ciało. Do tego potrzebna

była jednak samotność i kiedy zobaczyła przed sobą twarz Mykoły, zaskoczenie aż nią wstrząsnęło. Być może Mykoła to zauważył, bo uśmiechnął się unosząc kącik ust. Był to dziwny uśmiech: cukierek wypychał mu policzek, oczy patrzyły uważnie i nieco posępnie, a uśmiechał się tylko półgębkiem, tą stroną, po której trzymał cukierek.

— Przestraszyłaś się, babko — powiedział. — A ja chciałem pomóc...

Wyciągnął do niej rękę, białą, wypielegnowaną rękę i stara wpatrzyła się w nią jak w coś od dawna znanego. Ta ręka i ta wiosna, lepkie, zielone listeczki i błękitne niebo, białe ściany, dźwięk dzwonka przy furtce i pokojówka, która biegnie po pokrytej żółtym piaskiem ścieżce, wymachując lśniąca białą kopertą... Stara stanęła na stopniu, aż zakreśliło się jej w głowie. Patrzyły na nią uważnie posępne oczy, w których rozpoznawała to, o czym zapomniała już myśleć.

— Czego chcesz? — zapytała jednostajnym głosem.

— Może torebkę ponieść...

Dała mu torbę i oboje skierowali się do drzwi.

— Chciałem zapytać o jedną rzecz — powiedział Mykoła. — Bardzo mnie to interesuje...

Milczała. Dzisiaj wszystko było takie niespodziewane i niezrozumiałe.

— Mówią, że byliście kiedyś panią... — Mykoła wypłuł nie dosłownie cukierek. — Chyba wstyd jest wiedzieć, że było się kiedyś panią...

Zatrzymała się. Spojrzała krótko i ostro. W jej oczach zapalił się taki ogień, że Mykole aż zapikało w duszy. Zza krzaka warknął pies i Mykoła nagle zobaczył niemal przed samym nosem psią mordę. Uskoczył w bok, ale w tym momencie poczuł, jak w siedzenie niczym rozpalone żelazo wpijają się ostre psie zęby...

Stary Kozak po tym, jak objawiła mu się na ulicy twarz taksówkarza i jego żony, utracił spokój. Palił go ogień, a raczej żar, który zatlił się w tamtym momencie. Nie dawał mu on spokoju w dzień i w nocy, rano i wieczorem. Żona od dawna mówiła o tym głośno, zaczynała swoje seplenienie ze wschodem słońca, a kończyła wtedy, kiedy słońce kryło się za wzgórzem. To też dolewało oliwy do ognia, choć on chciał sam zdobyć pewność. Miało to służyć jako usprawiedliwienie, bo bał się, że może się nie opanować. W końcu porzucił wieś, a jednak to ślepe, palące uczucie wybuchło. Uczucie, jakiemu nie jest się nic w stanie oprzeć i które zalewa jak potop. Przypominało to odległy czas służby w marynarce, tak odległy, że niemal zatarł się za szarą mgłą lat, które upłynęły od tego czasu, i zieloną morską falę, która uderzyła weń, gdy stał na pokładzie. Była to tylko fala, jedno uderzenie, a potem — obłąkańczość kołysania, obłąkańczość wichrów, obłąkańczość krzyku, czerwonego, dzikiego, który wyrywa się z gardła jak fontanna krwi... Kozak zmuszony był opuścić wieś, a teraz tutaj, w tej okolicy, znowu powracało to do niego. Mało mu było samego podejrzenia, mało było nawet tego widzenia na ulicy, kiedy wracał z jarmarku już bez krowy. Musiał wiedzieć. Pragnął samego poznania, czytelnego, pewnego, jasnego jak promienie słoneczne, bo bez tego nie będzie ani tej fali, ani tego obłędu, którego pragnął i do którego w tajemnicy się przygotowywał. Spokojnie odniósł się do pisaniny syna, spokojnie wysłuchiwał całodziennego seplenienia żony i... czekał. Cekał uparcie, natrętnie i niezachwianie. Od pewnego czasu stało się dla niego koniecznością widzieć ich stale, od pewnego czasu odczuwał nawet przyjemność,

kiedy wpatrywał się w ich twarze. Oto oni, cała trójka: taksówkarz, jego żona i córka. Wspinając się pod górę po codziennej pracy na działce, kobiety z rumieńcami na policzkach, taksówkarz — z błyszczącym spojrzeniem... Kozak stał na swoim podwórzu dotąd, aż te twarze stawały się wielkie jak koła wozu, aż zaczynały się obracać i migotać jak rozbłyśki czerwonych, zielonych czy żółtych ogonów materiału. Wtedy gwałtownie odwracał się i znikał za chłodnymi skrzydłami swych drzwi.

11.

Nie przez złość doniósł taksówkarz na Kozakową krowę. Szedł wtedy zwykłym, spacerowym krokiem, czując chłód wczesnej wiosny. Na piżamę założył serdak i już, już miał uchwycić nić myśli, na którą polował przez tydzień. Trzeba było tylko niewielkiego wysiłku, małego nacisku, a myśl wskoczyłaby do głowy i rozjaśniła ją. Zrobił nawet większy krok, podciągnął nogę i... To, co stało się potem, wymieszało w jego głowie wszystkie myśli. Poślizgnął się na krowim placu i chlapnął w niego siedzeniem. Poniósł w związku z tym zdarzeniem niepowetowane straty: zgubił nową myśl, ufajdał piżamę tak, że przez następne trzy dni, kiedy się ona prała, suszyła i prasowała, nie mógł wychodzić na swą ukochaną przechadzkę, musiał siedzieć w domu i usychać z nudy...

Teraz, kiedy znów odzyskał równowagę i powoli szedł przez pagórek patrząc na rzeczkę, która lśniła w dole jak błękitna wstążka stali, przypominał sobie: kiedy wpadł na krowi placek, jaśniało bardzo czyste niebo, takie czyste, że od jego błękitu zaczynały boleć oczy. Nie był to błękit wiosenny, lecz raczej błę-

kit lodu. Łód był jeszcze wtedy na rzeczce, choć po kilku dniach zniosło go, pozostawiając na brzegach ciężkie, niezgrabne, porowate kry, które nie mieściły się w dole jak skrawki nieba. Niespodziewanie zauważył dziwne mimo wszystko zjawisko: im bardziej kry topniały, tym grubsza stawała się warstwa brudu na nich, a kiedy roztopiły się już całkowicie, na ziemi leżał jej skawalony pył...

Taksówkarz czuł, że już mu się rozjaśnia w głowie. Zszedł z pagórka nad rzeczkę, a kiedy zatrzymał się nad wodą, ta błysnęła mu w oczy migotliwym, słonecznym zajaczkim. Woda była czysta i skrząca. Toczyła się kręcąc przezroczyste liny nurtu, pluskała o kamienie i płynęła dalej, wlokąc za sobą złoto ziarenek piachu...

Przypominał sobie swój nowy pomysł: błysnęło w głowie właśnie to, co było zgubione jeszcze wczesnej wiosny. Nie spieszył się jednak. Stał jeszcze nad wodą, popatrzył tu i tam, przeszedł się brzegiem, a potem ruszył do siebie na górę. Dom przybliżał się do niego znajomy i bliski. Już biegł na jego spotkanie, już machał okiennicami jak ptak, który nie mógł wznieść się do góry, migał szybami, a on odczuwał promienną, upojną radość i omal nie biegł mu naprzeciw. Żona czekała już na niego w progu. Zawsze czuła świętą chwilę i nieomylnie reagowała.

— Myślałem, żono — powiedział taksówkarz w marszu jeszcze, ukrywając i radość, i zadyszkę — czy nie powinniśmy kupić do domu lodówki?

12.

Urzędnik dwukrotnie wszedł w błoto, zanim dotarł do tego budynku na wzgórzu. Budynek wydawał mu się zaciszny, i urzędnik zdziwił się, jak w tym raj

mogą się rodzić tak brzydkie namiętności. Przysłano go w celu wyjaśnienia skarg. Z niechęcią oderwał się od asfaltowych ulic i zapuścił między senne domostwa, stojące od miesięcy kałuże, między ciszę ogrodów i mocno zaciągnięte na oknach firanki. Urzędnikowi wydawało się, że zewsząd patrzą tu na niego ukryte oczy, patrzą z ciekawością i podejrzliwością, ale trwało to niedługo. Powiało skądś zapachem wiosennego dymu, cierpkim, znajomym. Poruszyło to w duszy urzędnika jakiś dawny, przyjemny niepokój. Zachwycił się nawet krajobrazem, choć nigdy nie zwracał uwagi na piękno przyrody.

Wybijiała się pierwsza trawa, pokrywając zbocza zielonym meszkiem, błyszcząły młode, jasnozielone listki, wychynęło z ziemi wszelkiego rodzaju ziele, jeszcze nieśmiałe, cherlawe, ale w tej nieśmiałości czuło się już wszechwładność. Urzędnik całe życie spędził w Żytomierzu, w tym zakątku nigdy jeszcze nie był. Pomyślał nawet, że w lecie musi tu być niezwykle pięknie, szkoda tylko, że Kamianka jest taką małą rzeczką. Można by się było opalić, te skały jak soczewka ściągają do siebie ciepło... Był to moment, kiedy urzędnik po raz pierwszy wlaźł w kałużę. Idąc dalej był już ostrożniejszy, nie przeszkodziło mu to jednak wleźć w kałużę jeszcze raz i kiedy po raz drugi otrząpywał z butów błoto, przypominał sobie, po co tu przyszedł. Powaga wypełzła na jego twarz. Zobaczył budynek, który go interesował i poszedł pod górę. Długo trzeba się było wspinać. Urzędnik spocił się i kilka razy musiał przystanąć, żeby złapać oddech. Na górze otarł pot. Spokojnie, ale uważnie przyglądał mu się wysoki dziad. Pod jego wzrokiem urzędnikowi zrobiło się nagle smutno, ale jeszcze raz otarł pot i wyciągnął z kieszeni świstek papieru.

— Kto wy jesteście?

Dziad nie odpowiedział, tylko odwrócił się i zapatrzył gdzieś w bok. Korpulentna kobieta wyszła na werandę z kwartą pszenicy.

— Tju-tju-tju — zaśpiewała słodko.

— Wy nie jesteście przypadkiem, kche, Baraniuk? — urzędnik pospieszył w kierunku kobiety.

Spojrzała na niego z góry i szybko wysypała ziarno na ziemię.

— Ja, kche, jestem z rady miejskiej.

— Wejdźcie — z przesadną gorliwością powiedziała kobieta.

— A gdzie mieszka, kche — urzędnik spojrzał w papier — Krawczenko?

— Po sąsiedzku.

— Jest, kche, w domu?

— Chyba nie. Ale my zaraz... — kobieta chciała biec na sąsiednie podwórze.

— Na razie nie trzeba — urzędnik przestąpił próg i znalazł się w dziwnym królestwie. Pokój zawalony był meblami, ściany pozawieszane kilimami, okna zdobiły tiulowe, a drzwi aksamitne zasłony, pośrodku stał stół nakryty aksamitną serwetą, a nad nim zwieszał się olbrzymi żyrandol.

— Mam do rozpatrzenia, kche, skargę — powiedział gość, rozsiadając się w ciężkim krześle. — Kto to taki ta Krawczenko?

— Staruszka — powiedziała słodko kobieta. — Mieszka sobie po sąsiedzku. Kiedyś to był jej dom, kupiliśmy od niej dwa pokoje. Co chcecie, trzeba przecież gdzieś mieszkać. A potem diabli przynieśli jeszcze tych Kozaków. Co to za ludzie, powiem wam — przeszła na szept — to takie, proszę wybaczyć, ścierwo, że nawet szkoda słów. Mówiliśmy staruszcze: Ludmyło Semeniwna, będziemy się wami opiekować do śmierci, jakoś się tam rozliczymy...

— Z jakich dochodów ona, kche, żyje? — przerwał jej urzędnik.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami kobieta. — Chyba renta, a może coś jeszcze z domu zostało. My jej mówimy, zgódźcie się, Ludmyło Semenówna...

— Stara pani?

— Pani — westchnęła kobieta.

— Kozaki... — urzędnik zerknął w papier. — Ile ich?

— Dwoje starych i synek przyjeżdża. Teraz już od dwóch dni chodzi usmarowany: do roboty się najał. Powiem wam: to takie ładaco...

— Wasz mąż?

— Na taksówce pracuje — powiedziała kobieta.

— Jaką ma pensję?

— Różnie. Jaka tam pensja u szofera?

— Średnio, kche?

— Sto dwadzieścia na nowe pieniądze. Nijak nie można przywyknąć do tych nowych pieniędzy. Tyśiąc dwieście, tysiąc trzysta...

Urzędnik zapisał w notesie cyfrę i jeszcze raz obejrzał pokój.

— Możecie zaprowadzić mnie, kche, do Krawczenko?

Przeszli przez podwórze, a kiedy otwierali drzwi, wyskoczyły na nich jak płomienie dwa ognistorude koty. Stara siedziała na środku pokoju w wielkim, starym fotelu, i kiedy przybysze weszli w drzwi, otworzyła oczy. Z boku zawarczał olbrzymi kundel, którego przybyli początkowo nie dostrzegli w mroku.

— Jestem z rady miejskiej — powiedział urzędnik.

Stara spojrzała na niego i jej przenikliwie chłodny wzrok zaskoczył go.

— Ktoś skargę wysłał — szybko zaterkotała taksówkarzowa. — Wiecie, Ludmyło Semenówna, teraz się z ludźmi nie da żyć bez kłótni. Ja to mówię: my

zawsze chcieliśmy dla was dobra. Bo dobro na drodze nie leży. Ludmyła Semeniwna — zwróciła się do urzędnika — to bardzo porządna kobieta. Nikomu nie czyni szkody, szanujemy ją jako sprawiedliwą, spokojną sąsiadkę.

— Ja nikomu nie czynię zła — spokojnie i nieco wyniośle powiedziała stara. — Pragnę jedynie, aby pozostawiono mnie w spokoju.

Urzędnik siadł na niskim stołeczku.

— Wy, kche, nie obrażacie się — powiedział — jeśli zadam wam kilka pytań?

— Nie — odpowiedziała stara. — Ale chciałabym rozmawiać na osobności.

— Jesteście niesprawiedliwa, Ludmyło Semeniwna — wykrzyknęła żona taksówkarza.

Pies w kącie zawarczał. Żona taksówkarza szybko przytknęła za sobą drzwi, a urzędnik ze zdziwieniem popatrzył na starą.

— To był kiedyś, kche, wasz dom?

— Tak — odpowiedziała stara.

— Z jakich, kche, dochodów żyjecie? Proszę wybaczyć, że zadaję takie nietaktowne pytanie, ale...

— Otrzymuję rentę.

— Ile?

— Sto rubli, na nowe — dziesięć...

— Wystarczy wam to?

— Nie — odpowiedziała stara.

— Nadeszła na was skarga, że kche... jak by tu powiedzieć... prosicie o jałmużnę. A u nas to kategorycznie zabronione, kche...

— Nie proszę o jałmużnę — ucięła kobieta. — Mam pieniądze za sprzedane mieszkanie...

— A tego, kche — urzędnik zerknął na nią — czy nie chcielibyście, jak by tu rzec, mieć stałej opieki?... Nie musielibyście się, kche, o nic martwić.

— Mam jeszcze siłę i chcę żyć tutaj — oschle odpowiedziała stara.

— Jak sobie życzycie, kche, jak sobie życzycie... — urzędnik wstał. — Któż was może zmusić?

Wyszedł na podwórze i odczuł wielką ulgę. Słońce i rozległy krajobraz rozweseliły go.

„Widać i do mnie puka już starość — pomyślał i jego twarz nabrała wyrazu miękkości. — W takim rajku trzeba się rozkoszować przyrodą, oddychać powietrzem i zapomnieć o wszystkim na świecie. Po przejściu na emeryturę z przyjemnością osiedliłbym się gdzieś tutaj. Skompletowałbym z dziesięć wędeczek i chodził rankami nad rzeczkę. Potem jadłbym śniadanie i czytał gazety...”

Obszedł podwórze i zatrzymał się na wprost drzwi Kozaka. Na podwórzu było pusto, zniknęła nawet żona taksówkarza. Urzędnik obejrzał się: cierpki zapach dymu czuć było i tutaj. Czy to od tego dymu, czy też dlatego, że niespodziewanie poczuł wiosnę, zrobiło mu się smutno. Przypomniawszy sobie gabinet, w którym siedział z sześcioma współpracownikami, i papierowe morze, w którym wszyscy oni tonęli, i jeszcze obite czarną skórą drzwi do naczelnika. Przez moment czuł radość z powodu tego, że nie ma go tam teraz. Ale za chwilę powaga znowu legła na jego twarzy i władczo zastukał do drzwi.

— Jestem z rady miejskiej — powiedział człowiekowi, który się przed nim pojawił. — To wy jesteście Mykoła Kozak?

13.

Eksplzja nastąpiła po tych odwiedzinach. Dopiero teraz wszyscy zauważyli, że wszystko wisiało na włosku. Nawet obłudna cisza, która zapełniała każdy kąt

tego podwórza, okazała się zapowiedzią eksplozji. Urzędnik nikomu nic nie powiedział, popytał tylko o to i owo, a potem ostrożnie zszedł w dół, żeby nigdy więcej już tu nie wracać. Kozakowa patrzyła na to odejście przez lufcik, żona taksówkarza wyszła na werandę, nawet stara podeszła do okna i wyjrzała na podwórze. Mykoła siedział za stołem, otwierając i zamykając opróżnione pudełko landrynek. Przyszła do niego nuda, która nawiedzała go zawsze, ilekroć trochę dłużej siedział w jednym miejscu.

— Rzucę, mamó, tę głupią robotę — powiedział.

Matka odwróciła się od okna, nozdrza drżały jej gniewnie.

— No i co dały te twoje pisemka? Oni, niech ich szlag trafi, jak pokazywali pazury, tak będą je pokazywać. Jedno widzisz: wywłoka tyłek wypięła. Oj, popasiesz ty się, popasiesz. Z nimi nie tak trzeba — matka pogroziła palcem.

— Ciężka robota na budowie — powiedział Mykoła. — Trzeba znaleźć coś lżejszego...

— Wołom ogony kręcić — burknął ojciec.

Czuł, że już za dużo jadu się w nim nagromadziło. Syn go już nie interesował, bo wiedział, że za kilka dni ruszy on na swoje odwieczne poszukiwania dużych pieniędzy i łatwego chleba, a za rok znowu zjawi się z pustą walizką. I tak bez końca.

— Byłem teraz w Kustanai — mówił Mykoła — urządziłem się jak trzeba. Dwa posiłki, a robota — nie przemęczy się człowiek: chodzenie z notesem i stawianie ptaszków...

Matka zerknęła na niego tak, jakby nie istniał.

— Żeby ich pokręciło — syczała. — Dobrze chociaż, że na prosiaka nie donieśli. Pewnie nie wiedzą. Bo i bez prosiaka przyszłoby zostać.

Jej głos przeszedł w niewyraźne mamrotanie. Siadła

w kącie: mała i czarna, ze skrzyżowanymi na pier-
siach rękami. Wyglądała jak przestraszona i rozzłosz-
czona mysz. Źrenice oczu pały jak rozżarzone węgiel-
ki, usta odsłaniały bezzębne dziąsła, czerwone i cho-
re, nozdrza drżały. Cała ona wydawała się ucieleśnie-
niem ducha tego domu i ducha tego obejścia. Mykoła
otwierał i zamykał pudełko po landrynkach. Miał spo-
kojną, zamyśloną twarz: duszą był już daleko stąd,
tam, gdzie nie ma potrzeby podejmowania jakiegokol-
wiek decyzji. W wyobraźni przesuwaly się fragmenty
przeszłości, usiane twarzami, z którymi spotykał się w
swoim niespokojnym życiu. Wywazał jak na szal-
kach — trzeba się było wreszcie zdecydować i ruszać.
Ruszać i decydować.

Ojciec trzasnął drzwiami, aż ściany zadrżały. Wy-
szedł na podwórze i głębiej odetchnął powietrzem. Żo-
na taksówkarza zerknęła na niego: wydawało mu się,
że dwuznacznie i zjadliwie. Gniew szarpnął Kozakową
duszą, odwrócił się i wbił wzrok w krajobraz za
rzeczką.

— A krówkę to sprzedaliście? — zaszczebiotała żona
taksówkarza.

Odwrócił się gwałtownie, aż chrupnęło coś w szyi.
Spojrzał na sąsiadkę tak, że zabolaly go oczy, ale jej
to nie przeraziło. Stała na werandzie i uśmiechała się.

— Chcieliście skargę złożyć, no to i złożyliście —
powiedziała. — A jak my złożyliśmy, to krówkę trze-
ba było sprzedać, hi, hi. Sprzedaliście krowę — tak-
sówkarzowa wysoko uniosła brwi. — Bo w mieście
krów trzymać nie należy...

W duszy Kozaka rozkołysała się czarna chmura...

W Kozakowej duszy rozkołysała się czarna chmura, szeroka i bezwzględna, chlusnęła z góry na jego głowę, piersi. Wzrok zmętniał, jak bielmo zasunęła się ciemnobrązowa błona. Świat zmienił się dokoła, bo zniknęło niebo. Zamiast niego była ciemna, nieprzenikniona kipiela. Zniknęła wiosna — wszystko wokół napełniło się przedburzową trwogą. Może rzeczywiście nadchodziła burza, bo na horyzoncie błyskało, ale Kozak nie był już w stanie panować nad sobą. Nie widział ani zieleni, ani delikatnej mgiełki, ani młodych listków — wszystko to także zakryły burzowe chmury. Wiosenna burza nadciągnęła nad okolicę, migotały błyskawice, dudnił młody, wesoły grzmot (toczyły się z góry wozy, cała plejada dudniących wozów, żeby roztrzaskać się w dolinie na drobne kawałki, wozy bez koni i woźnicy), nad głową chwiały się czarne wachlarze chmur, chłodząc rozgrzaną ziemię, ciemniała zieleń, pożądliwie pięły się do góry płatki liści. Po trawie hulał wiatr, kręcił się jak zadżumiony. Kozak nie mógł dziś spać, nie mógł zamknąć bolących oczu, bo powieki napuchły i naciskały na oczy jak ciężarki. Oddychał ciężko — brakowało mu powietrza. Ze wszystkich stron na podwórze ściągały przestraszone burzą rude koty i czarne psy — stara szeroko otworzyła drzwi, aż zapiszczały zawiasy. Kozakowi wydawało się, że jego dusza skomli, skomli jak zranione zwierzę — zwierzę o smutnych oczach biegło po ziemi. Już dziesiąty raz obiegało ono kulę ziemską. Było mu raz gorąco, raz zimno, ale zwierzę biegło, bo jego przeznaczeniem było biec. Stara wpuszczała do siebie koty i psy, karmiła je z ręki i płakała. Nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo po co łyzy ciekły po jej policzkach jak wiosenne deszczowe potoki po zmar-

szczonym obliczu ziemi. Kozak rozdarł sobie kołnierz na szyi, zasapał się, bo burza już, już miała chlusnąć na ziemię potokami wody. Potokami szumiącymi, zającymi, dzikimi, chlupotliwymi — błyskawica uderzyła swym ostrzem w chmurę i podpaliła ją ze wszystkich stron, aż zamigotało, zadrżało. Huk — pioruna dźwięcznie rozpadł się nad okolicą, odbił się o szyby i też zabrzęczały. Chmura jednak się nie zapaliła: była nazbyt mokra i ciężka. Wtedy, jak palce po strunach, uderzyła po rzece ulewa. Kozak pochylił się pod ciepłym, wodnym strumieniem, jego ubranie przemokło na wskroś, ale on już nie panował nad sobą, nie mógł myśleć rozsądnie — teraz, tej nocy kiedy sen nie musnął nawet opuchniętych powiek, musiał wylać tę całą złość, która przeganiała sen i zapaliła w nim czarny ogień. W tym czarnym ogniu jak sucha sosnowa szczapa spłonął zdrowy rozum. Kozak zatańczył. Miesił nogami mokrą, grząską ziemię, rwąc i łamiąc młode pędy...

Stara jakby zapomniała o swoich pupilkach i pupilach. Siedziała nieruchomo w pokoju i wpatrywała się w mrok za oknami nie mniej mrocznym wzrokiem. Miała wrażenie, że już zaraz, za chwilę, dojdzie do czegoś bardzo wielkiego i obwieści to ludziom.

15.

Następnego dnia wszystko było tak jak dotychczas. Kozak nieruchomo sterczał na podwórzu. Gdakały kury, a kogut, który nie wiadomo skąd się wziął, rudy i wojowniczy, podrzucając w dziobie czerwonego robaka, głośno przywoływał ufne i skromne kury. Podchodziły jedna po drugiej, ale on czekał na pstrą czu-

batkę, a kiedy podeszła i ona, kogut przełknął zwodniczego robaka i skoczył czubatce na plecy...

Taksówkarz zobaczył, że jego ogród wydeptano, a młode pędy kartofli powyrywano jeszcze z rana. Na radzie rodzinnej ustalono: zrobili to bez wątpliwości Kozakowie, że to tacy i siacy, że trzeba by się poskarżyć gdzie trzeba, ale jak powiedział sam taksówkarz, kopaliśmy ogród bez pozwolenia! To jeszcze szczęście, powiedziała żona taksówkarza, że urzędnik nie zwrócił na to uwagi. On jest jakiś stuknięty, powiedziała ich córka i taksówkarz z żoną nie zrozumieli, czy dotyczyło to Kozaka czy urzędnika. Córka myślała jednak o Mykole, bo wieczorem, kiedy szła od koleżanki, ten uszczypnął ją i chciał obmacać. Wyrwała się, ale potem długo nie mogła zasnąć: po głowie chodziło jej diabli wiedzą co. Na radzie rodzinnej postanowiono nie wzniecać awantury, ale kiedy będzie okazja... Wszystkie postanowienia tylko wtedy są postanowieniami, kiedy nie dopowiada się ich do końca. Taksówkarz był o tym święcie przekonany, a poza tym jego głowa zajęta była teraz zupełnie czym innym. Myślał bowiem, jak by tu możliwie najefektowniej przewieźć przez całą ulicę lodówkę. Przewieźć tak, żeby wyglądało to jak najbardziej uroczyście. Żeby każdy widział jej białe ciało, żeby on sam stał obok, jedną ręką oparty o lodówkę, a drugą trzymając się skrzyni samochodu. Chyba trzeba ją trzymać lewą ręką, myślał, stać nieco bokiem na rozstawionych nogach i trochę, w miarę naturalnie, unieść brodę. Już widział ten obraz, wspinały przez swój zamysł, i ciepło rozlewało się po jego ciele.

— Sprytny jest, bestia — powiedział, żeby zakończyć temat dotyczący ogrodu — wiedział, że nic mu nie zrobimy, bo ogród nie jest legalny...

— Złóżcie donos na ich świnię — powiedziała córka, wciąż jeszcze myśląc o wczorajszym zajściu. Do teraz oburzenie mieszało się w niej z rozkosznym napięciem. — Bo chrząka na całe podwórze.

Ojciec z matką jednocześnie spojrzeli na córkę. Myśl była bezwzględnie jasna, bezwzględnie realna — to, czego im właśnie brakowało. Ale nikt z nich nie okazał zadowolenia.

— Dogadałem się z Szumanem — powiedział tak-sówkarz. — Będzie można dostać lodówkę bez kolejki...

— Ile na to trzeba? — zapytała żona.

— Ze dwieście. Jak kupować, to kupować.

Córka zapatrzyła się w okno: dzisiaj była niedziela, a jutro znowu będzie musiała pochylać się nad maszyną krawiecką. Pomyślała o jakimś nowym fasonie sukienki (mignął w wyobraźni jak zjawą), pomyślała, że dziś znowu pójdzie do koleżanki i będzie wracać wieczorem. Pomyślała też o tym, że dotąd nikt jeszcze nie wykazał większego zainteresowania jej kobiecymi wdziękami.

16.

Stara niepokoiła się. Głuchy lęk drażył jej osłabione ciało. Siedziała na środku pokoju, roztrzęsiona i bezsilna, nawet nie zwracała uwagi na swoich ulubieńców. Przyśnił jej się dziwny sen, tak dziwny, że w żaden sposób nie mogła określić, czy to dobry sen czy zły. Przyśniło się jej pole, a na nim maleńkie zwierzątko. Zwierzątko miało porośnięte czarną sierścią ciało i wielkie, ludzkie oczy. Przyśniło jej się, że to zwierzątko cały czas biegnie. Biegnie nieskończenie długo i nieustannie. Mknęło przez łąki, wspinało się na pagórki, przeskakiwało wąwozy i zbiegało w do-

liny. Mknęło pokonując kilometr za kilometrem i żeby z nim porozmawiać, trzeba było biec obok.

— Nadchodzi jesień — powiedziało zwierzątko. — A z nią smutek...

— Dlaczego się nie zatrzymasz? — zapytała stara.

— Bo wtedy przestanę żyć — odpowiedziało zwierzątko. — Ma to nastąpić którejs jesieni...

Stara pomyślała, że jesień i śmierć to coś tak równoznacznego a różnego zarazem. Zastanowiła się, czy po tamtej stronie będzie możliwe prowadzenie choćby takiej rozmowy? Wydawało jej się, że ma przed sobą ciemność, w której zgasło światło i w której nigdy więcej nie będzie światła. Wpatrywała się w tę ciemność, jakby pragnęła odkrycia, ale zamiast tego słyszała, jak szeleszczą liście.

— I co ci to daje? — zapytała zwierzątko. — No co? Biegniesz, a potem przewrócisz się i umrzesz.

— Życia nie można odmierzać rozumem — powiedziało zwierzątko. — Życie to coś innego.

— Już od dawna nie żyję wśród tak skomplikowanych pojęć — powiedziała stara.

— Wyjaśnię ci to w bardziej prosty sposób — odpowiedziało zwierzątko. We dwoje mknęli przez oślepiająco białą równinę. — Jest coś dużo ważniejszego niż rozum — przeznaczenie. Moim przeznaczeniem jest biec, więc biegnę. Przeznaczone mi będzie leżeć — będę leżeć. Kamień leży, a człowiek nie zaznaje spoczynku. Musi się ruszać, choćby to był ruch sztucznie stworzony. Człowiek — to namiętności, bez których niknie, przestaje być sobą. Małe czy wielkie — nie ma różnicy...

Stara pokiwała głową. Było jej zimno. Drętwiały ręce i czuła, jak stygnie krew w całym ciele. A wokół płynęła oślepiająco biała, śnieżna równina i spokojnie, monotonnie sączyło się pozbawione promieni świat-

ło. Wydawało jej się, że jest to już tamta strona — po prostu taka równina, pełna pozbawionego promieni światła, po której spacerują białe cienie dawnych ludzi.

— Śmierć to ciemność czy światło? — zapytała.

— Jak sobie zażyczysz — powiedziało zwierzątko. — Chcesz światło, to jest światło, a chcesz ciemność, to jest ciemność...

— Nie rozumiem twoich słów — powiedziała stara. — Mój rozum tego nie obejmuje. Ale wiem jedno: człowiek człowieka musi kochać...

Patrzyła przez okno, patrzyła niemal nieruchomym wzrokiem, patrzyła długo i ciężko. Na dnie jej oczu jeszcze rozbłyskiwały żywe iskry, wśród których grzało się jej na pół roztające „ja”. Patrzyła tak, jakby czekała, że te okna się otworzą i spłynie na nią błogosławione złoto słońca. Tego słońca, które oświetlało kiedyś jej młode ciało, tego słońca, które też już zstąpiło z nieboskłonu i zatrzymało się w oknie tylko dlatego, żeby przywrócić jej kilka białych jak mleko chwil. Oczy rozwarły się szeroko. Ze zdumieniem poznawała ulicę obsadzoną stuletnimi lipami, matkę w białym ubraniu, która uśmiechając się szła jej na spotkanie; kamienne ogrodzenie, na szczycie którego nasypane było potłuczone szkło, ojca, który wsparty o łaskę, rozmawiał ze swym przyjacielem... Dane jej było to ujrzenie. Czuła, że rozmięka jej dusza, rozmięka ciało i otwiera się wśród tego słońca. Iskry w szeroko rozwartych oczach nikły jedna po drugiej, topniały, aż zgasła niespodziewanie jaskrawo rozbłysnąwszy ostatnia. Wtedy poczuła trzask i zobaczyła, że okno szybko znika z pola widzenia zmywane malinową, akwarelową farbą...

HARMASZYCHA

Energiczny fotograf uniósł rzadką brew i powiedział „Uwaga!” Mania znieruchomiała zezując jednak na swego młodego męża, który pochylił się nad stołem i podpisywał właśnie dokument zawarcia ślubu. Uśmiechnęła się zwycięsko i tak jej triumf został uwidoczniiony na błonie fotograficznej. Pomknęli pobiedą i Maria słuchała, jak opony taksówki rozpryskują rozkosznie kałuże na ich ulicy. Nie czuła ani jesieni, ani zmroku, szczelnie okrywających szarością przestrzeń, nie słyszała kropli, które podzwaniały o przednią szybę. Szofer kłął z cicha, ale perspektywa poczęstunku łagodziła jego złość i bohatersko mknął samochodem z kałuży w kałużę.

— Zrobiłaś złoty interes — szepnęła Harmaszycha córce, kiedy obudziły się po weselu i myły naczynia. — Mężczyzna jest potrzebny w domu jak woda. Zawsze ci mówiłam: szukaj sobie męża, bo kobieta bez męża to tak jak dzień bez nocy... E-e-ech! — wzdychała stara, umieszczając swój wielki zadek na taborecie. — Jestem już stara. Nieboszczyk Szurka odszedł do Boga, niech mu ziemia lekką będzie.

— A może i ciebie wydamy za mąż? — wyszczerzyła zęby Maria.

Harmaszycha śmiała się z zadowoleniem kołysząc wielkim ciałem.

— Przecież to już nie wypada.

Stary Harmasz całe życie marzył, by pracować w fabryce kielbas. Z przyjemnością wbijał topór między świńskie łopatki, a potem delektował się świeżym mięsem. Ilekroć mówił o fabryce kielbas, na jego wielkiej czerwonej twarzy podrygiwały białe brwi. I dopiero pod koniec życia ziściło się jego marzenie. Stary objadł się kielbasami i zmarł bogobojnie przy akompaniamencie szczodrego łkania swojej rozkosznej połowicy.

— Stefanie, przyniósłbyś wody — Harmaszycha wyjrzała z kuchni.

Stefan już zrzucał robocze buty, starając się nie pobrudzić rąk. Zaleciało ostrym, męskim potem i Harmaszycha przeszła zięcia zaczepnym spojrzeniem. Stefan ponownie zasnurował buty i wyszedł trzasnawszy drzwiami.

— Ot i pomoc jest — z zadowoleniem mówiła Harmaszycha. — Mężczyzn trzeba krótko trzymać, Maniu. To takie plemię, że jak pofolgujesz... — wysoko uniosła brwi i brodawka na policzku zadrżała. — Nie weźmie pod uwagę, że jesteś wątła, chora kobieta. Bestie!

Maria wzruszyła muskularnymi ramionami.

— To ty jesteś wątła kobieta?

— Nie, o tobie mówię. — Harmaszycha wzięła palcami mielone mięso na pierogi i włożyła do ust. — Namęczyłam się z tobą. Wciąż chorowałaś: to brzuszek, to pęcherz moczowy. Dobry mocz — to zdrowie, córeczko. Ale nic, wyprowadziłam na ludzi — z miłością patrzyła na córkę. — Widzisz, na jaką łanię mi wyrosłaś.

Stefan brzęknął rączkami wiader. Wszedł do mieszkania i pozostawił na podłodze mokre ślady butów.

— Wycierałbyś nogi — odezwała się Harmaszycha

— i na razie nie zdejmuj butów. Drew nie ma, a wyskoczy mróz, to uświergniemy.

— Może najpierw dacie zjeść kolację? — burknął Stefan.

— Właśnie się dogotowuje — odezwała się Mania miękko spoglądając na męża. — Idź, Stiopa...

Stefan łypnął na teściową i znowu trzasnął drzwiami.

— A ten też naznaczony — Harmaszycha wygodniej umościła się na stołku. — Widziałas, jak łypnął. A ty do niego musisz raz z uśmiechem, raz ostro. Nie dopuść na noc, niech poskamle — zaśmiała się z zadowoleniem.

— To ty tak z ojcem postępowałaś?

— A co, nie pamiętasz? Dobry człowiek był z Szurki. Złoty człowiek. Pożeniliśmy się, i ja go od razu: Szurka — to, Szurka — tamto. A Szurka ani be, ani me. Złapałam za wałek. A on mnie — bęc. Potem już w zgodzie żyliśmy...

Za oknem szumiał deszcz i Harmaszycha tęsknie popatrzyła na szybki. Sącył się już przez nie granatowy mrok, ale było jeszcze widno. Zmoknięte drzewa zrzucały ostatnie liście.

Wszedł Stefan. Pachniało od niego wilgocią i drebem. Chmurny siadł za stołem, Maria nalała mu barszczu. Świekra przytuliła się plecami do ciepłego pieca i oglądała zięcia spod opuszczonych powiek. Brodawka na policzku znieruchomiała i spokojnie czerniała w niebieskawym zmierzchu.

— Zaświeciłabyś światło — powiedział Stefan do żony.

— Zdąży się — brodawka Harmaszychy znowu zadrdzała. — Jeżeli za dnia światło będziemy palić, to takiego barszczu nie będziesz jadł.

Stefan w milczeniu pochylił się nad miską. Harna-

szycha zdrzemnęła się słodko kołysząc na stołku. Było dobrze: snuł się niebieskawy zmrok, piec przyjemnie wygrzewał plecy, a za oknem szalała niepogoda.

— Trzeba by drugie okno wstawić — otworzyła oczy Harmaszycha. — Jak pojesz, Stefanku, to pójdz na strych. Leżą tam z brzegu. Tylko pochylaj się nisko, bo strych u nas nie bardzo przestronny.

Stefan nabierał łyżką barszcz, a na policzkach niepokojnie poruszały się ostre kości policzkowe.

„Patrzcie, jaka to chudzina — myślała Harmaszycha, wciąż oglądając zięcia. — Przyszedł na ciepły chlebuś...”

Po zjedzeniu kolacji Stefan zadymił papierosem. Harmaszychę aż język zaświerzbiał, ale się powstrzymała.

„Mężczyzna musi palić — leniwie telepało jej się po głowie. — Bo co to za mężczyzna, który nie pali? Mój Szurka, szczęść, Boże, jak zapakuje do ust papierosisko, jak zasmrodzi, to tylko z chałupy uciekać!”

Harmaszychę korciło, żeby powiedzieć córce o tym paleniu, ale Stefan wciąż jeszcze sterczał za stołem. Poczula lekkie rozdrażnienie. A piec przyjemnie grzał jej krągłe plecy. Kot skoczył na podolek i zamruczał. Głaskała go wielkimi, pokrytymi już starczymi piegami, rękoma i myślała o swoim Szurce, z którym przeżyła długie i spokojne życie, wychowując dwoje dzieci. Młodsza córka zginęła w czasie wojny — wybuchła koło niej bomba, nie zdążyła jeszcze wyjść za mąż (Harmaszycha głośno westchnęła). Za to starsza wyszła teraz po raz drugi. Pierwszy jej mąż był milczący i pracowity. Wspominała go ciepło — zresztą, wszystkich wspominała ciepło. Powiesili go faszyci na środku miejskiego placu, z przyczepioną na piersi tabliczką: „Partyzant”.

„Siła nieczysta nie pominęła i ciebie, Kagaliucze —

myślała o ich przedwojennym, ulicznym wrogu; który wydał zięcia. — Ty też gnijesz w ziemi. Wszyscy my tam pójdziemy...”

— Poszedłbyś zdjąć te ramy — nie wytrzymała.

Stefan spojrział na nią tępym wzrokiem: myślał o swoim. Zgasił papierosa w talerzu, z którego jadł i podniósł się.

— Czy nie ma w domu popielniczki, że gasisz swoje śmierzdzucho w talerzu? — oburzyła się Harmaszycha.

— A nie ma — Stefan założył kufajkę.

„Rzeczywiście — zdziwiła się Hermaszycha. — Popielniczka Szurki rozbiła się. Piękna to była popielniczka: zielona, pod dębowe liście, a na brzeżku — trzy żółte żółędzie”.

Stefan wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— A trzasnęłaby cię siła nieczysta — odezwała się stara. — Tylko gdzie on się tak ciepło ubrał? Uważaj, żeby ci gdzieś nie drapnął.

Mania też się zaniepokoiła, przypadła do szyby.

— No i co?

— Poszedł na ulicę.

— Widzisz, jaki — Harmaszycha ciężko westchnęła. — Narowisty mężulek ci się trafił, narowisty. Ale nic, przyjdzie! A ty mu nie popuszczaj, bo raz popuścisz, to na głowę siądzie.

— Nie popuszczę — Mania poszła myć talerze.

Zapaliły światło i starej zrobiło się żal, że rozproszył się taki przytulny zmrok. Okno pociemniało zupełnie, widać było tylko, jak po szybach ściekają zmiłowate potoczki. Krople łączyły się w strużki i spływały, spływały... Wywoływało to dobrą, specyficzną ciszę, w której mieściły się i wspomnienia, i nastrój późnej jesieni. Ciepło od pieca rozpieszczało, kot mruczał słodko grzejąc jej kolana, a za oknami ciągnęły się pełne

nieskończonego deszczu szarawe przestrzenie. Ostatnie liście spadały z gałęzi, przylepiając się do pni albo do wilgotnej ziemi. W takie wieczory każdy siedział w domu, bo nie sposób było wytknąć nos za drzwi. Tylko co rano ulicą szli odziani w ciemnoniebieskie płaszcze robotnicy. Wracali wieczorem zmęczeni i przemoknięci, wracali do swoich ciepłych siedzib, gdzie toczyło się ich życie. Wszystko było jednakowe, od rana do wieczora. Rzeczka stawiała się szara i niespokojna, kaczki wychodziły na brzeg, chowały głowy pod skrzydła i też wsłuchiwały się w deszcz, który spływał po piórach.

Do momentu powrotu Stefana Mania kilka razy wyskakiwała na podwórze i wracając strącała na podłogę krople deszczu.

— Nie denerwuj się — mamrotała sennie Harmaszycha. — Przyjdzie, nigdzie się nie podzieje...

Stefan stanął w progu po uszy oblepiony błotem i spojrzał na kobiety mętnym wzrokiem.

— Ach ty, nieszczęście moje — krzyknęła Mania. — Patrz, zdążył się już nażłopać! Zamiast przynieść dodatkowy grosz, nabęckał swój brzuch.

— Milczeć! — warknął Stefan. — Ja tu jestem gospodarzem.

— No, tu przeholowałeś — Harmaszycha słodko przy-mrużyła oczy. — Nie jesteś gospodarzem, tylko zieciem. Żywimy cię, pieścimy...

— Rozbierz — podstawił ramiona Stefan.

— A zdechłabym prędzej, niżbym takiego hyla miała rozbierać — gardłowała Mania, wzięwszy się pod boki. — Idź tam, skąd się przywlokłeś...

Harmaszycha uważnie obserwowała wszystko przy-mruższy oczy.

Stefan zatrzymał się na środku pokoju, jego oczy

napłynęły krwią. Gwałtownie ruszył w stronę żony. Mania cofnęła się.

Harmaszycha podskoczyła ze swego stołka jak na sprężynach, jej twarz stała się poważna i rzeczowa. Brodawka jakby się zmniejszyła i cała ona, wielka i zwalista, skurczyła się w zbity kłębek.

— Maniu, wałek! — krzyknęła.

Maria skoczyła do kuchni i podała matce wałek.

— Zachodź od tyłu i przewracaj!

Stefan odwrócił się niezgrabnie, ale Mania już zawisła na jego plecach i podbiła nogą kolano. Grzmotnął na podłogę rozrzuciwszy ręce. Harmaszycha już siedziała na plecach zięcia. Stefan poruszył ramionami, ale ciężar przykleił go do podłogi.

— Maniu, spodnie!

Mania spuściła mężowi spodnie i ten zaczął się wic jak zarzynany. Ciężar gniótł go jednak coraz bardziej i bardziej. Zapłakał wielkimi, grubymi łzami.

— A, masz! — tłukła go po miękkim Harmaszycha. — Żebyś szanował żonę — raz, żebyś znał swoje miejsce — dwa, żebyś się domu trzymał — trzy, żebyś szanował starych ludzi — cztery, żebyś nie zamierzał się pięściami — pięć...

Mania trzymała męża za nogi.

— Wystarczy, mamó! Zabijesz go!

— Nie zabiję — miękko zaśpiewała Harmaszycha. — Od tego jeszcze nikt nie umarł. A ślad zostanie... To, żebyś troszczył się o rodzinę — dziesięć, a to...

Stefan zebrał całą swoją siłę i z nieludzkim wysiłkiem szarpnął się w bok. Harmaszycha sturlała się na podłogę, a Mania odleciała pod ścianę. Stefan poderwał się podciągając spodnie.

— Trzymaj! — zawołała Harmaszycha. — Ucieknie!

Stefan trzasnął rękami w drzwi i wyskoczył zataczając się na deszcz.

— Oj, Bożeńku, Bożeńku, co my narobiłyśmy! — zapłakała Mania. — Przecież on już nie wróci...

Harmaszycha była już spokojna. Wytarła ręce o spódnicę i rozsiadła się na stołku. Kot znowu skoczył jej na podolek. Zaczęła go głaskać pochłapanymi starczymi piegami rękoma.

— Przyjdzie — powiedziała dobrodusznie.

OJCIEC DOBRODZIEJ

Ojciec dobrodziej jeszcze i teraz wychodził do furtki i wspierając się o niewysokie ogrodzenie, patrzył na drogę. Po tej drodze jeździli i chodzili wieśniacy z podmiejskiej wsi. Dzieci i kobiety grzecznie podchodziły do niego, całowały starczą rękę. Ale to zdarzało się bardzo, bardzo rzadko. Teraz, kiedy na ziemię spadły deszcze, kiedy droga przeobraziła się w lepkie bagnisko, pop zamykał się w swoim pokoju, odczuwał samotność i smutek. Kartkował *Pismo Święte*, ale wszystko było tam aż nadto znane. Odkładał książkę i siadał koło ciepłej ściany, gdzie można było spokojnie podrzemać. I wtedy przychodziła do niego przeszłość, taka dawna i już niemal nierealna. Kołysały się wesołe dzwony, tłumy wiernych waliły się jaskrawym barwnym tłumem. Tak mijał dzień, a następnego ranka ojciec dobrodziej zakładał na sutannę szary, podgumowany płaszcz i z wysiłkiem wzuwał ciężkie buty, twarde postanowienie rozgrzewało jego piersi, i wychodził na deszcz. Krople bębniły o krawędzie kapelusza, słała się atmosfera chłodnego przygnębienia. Musiał przejść przez kładkę na rzeczce, dalej przez wikliny pod górkę, a potem śliską, gliniastą ścieżką. Cerkiew zarosła akacjami, ale on jeszcze z daleka widział jej niewielki zielony dach. I w piersiach pojawił się ten szczególnie zapal, który zaczął go nawiedzać

od niedawna. Ojciec dobrodziej ślizgał się po glinie, wspierał na lasce, a deszcz rozbijał się o jego płaszcz i kapelusz. Było mu już ciężko wstawać z łóżka wcześnie rano, ale wstawał i szedł, choć ślota oślepiała oczy, a pod nogami chlupało rozkiszłe bagno.

Stróż całował go w rękę, a on błogosławił go, myśląc jednak o swoim. Stróż widział, że ojciec dobrodziej jest zafrasowany i nie narzucał się. Szedł do swego budyneczku, gdzie jeszcze o tej porze spała jego korpułentna połowica, a na podłodze kotłowało się trzech umorusanych chłopców.

— Wstałabyś — burczał. — Ojciec dobrodziej właśnie z miasta przyszedł.

— Bo głupi ten twój ojciec dobrodziej — poziewywała żona.

— Psst! — jego twarz stawała się zacięta.

Żona milkła, bo wiedziała, że takie spojrzenie nie wróży nic dobrego.

Ojciec dobrodziej przemierzał pustą cerkiew, wyciągał kieszonkowy zegarek i patrzył na ozdobne wskazówki za ciemnym szkłem.

„Zupełnie przestali chodzić do cerkwi” — mamrotał zapalając świeczki koło ołtarza.

— Nikogo z ludzi nie było? — pytał stróża.

— Nie było, ojcie dobrodziej. Czy to teraz są ludzie? Jeszcze kiedy słońce, to przywlecze się do cerkwi, a w deszcz nawet batem nie zapędzisz. To, wybac, Panie, ściervo — nie ludzie.

Znali się od dawna, wiedzieli, że w pewnych wypadkach trzeba mówić. Wyblakłe oczy duchownego już zapalały się mrocznym światłem tamtego świata i stróż zaczynał bać się deszczu i chybotliwych cieni w cerkwi, i tego światła. Jego prostacka, chłopska twarz nieruchomiała w półmroku, nie mógł oderwać wzroku od energicznej postaci duchownego. A ten pod-

chodził do ołtarza i padał z marszu na kolana, unosił do góry zarośniętą siwymi kosmykami twarz i zaczynał się modlić, opętańczo, wściekle. Jego oczy przekształcały się w dwa czarne ogniska i stróżowi wydawało się, że gdyby się w nie dostało, uległoby się spopieleniu. Ale cierpliwie czekał, kiedy ojciec dobrodziej skończy modły, bo tak między nimi było przyjęte. A ojciec dobrodziej bił pokłony i mamrotał suche modlitwy, od których potrzaskiwały drewniane ściany świątyni i drżał płomień świec. A kiedy podnosił do góry ręce z zaciśniętymi starczymi pięściami, stróż żegnał się ukradkiem znakiem krzyża. Wtedy rozlegał się czysty, o metalicznych nutkach głos:

— Jestem ostatnim wierzącym na tej ziemi...

„Mimo wszystko nasz ojciec dobrodziej jest chyba trochę nienormalny” — myślał stróż.

Deszcz wpelzał także do jego duszy, wywołując w niej głęboką, cichą nostalgię. W takich chwilach stróż miał ochotę się napić. Poszedłby chętnie w gości do starej Tekli, gdyby poczucie obowiązku nie trzymało go tutaj.

Pop uspokajał się przez pół godziny. Na czole lśniły mu krople potu, oczy tonęły w szarym zmęczeniu.

— Załatałeś dach koło dzwonnicy? — pytał.

— Załatałem — kłamał stróż.

— Koło dzwonu przegniła belka, widziałeś?

— Widziałem.

— Trzeba zawołać cieślę i zmienić.

„Spróbuj zmienić — myślał stróż. — Jakby to była taka prosta sprawa.”

— Mówilem już staroście cerkiewnemu.

— Dlaczego on nie przyszedł na służbę?

— Nie zawsze można — stróż przestępował z nogi na nogę.

— Dlaczego? — surowo zapytał duchowny.

— Mieszka za gliniankami — już po raz setny powtarzał stróż. — Można się tam łatwo utopić w taką okropną pogodę.

— Ale to nie musi być przeszkodą...

— Dla jednego musi, a dla innego nie. Teraz ludzie są tacy.

Oczy duchownego znowu rozzarzyły się światłem tamtego świata. Deszcze oddziaływały i na niego, wywołując w głębi jestestwa tępą melancholię, z którą nie zawsze miał siłę sobie poradzić.

— Sprzątałeś dzisiaj świątynię?

— Sprzątałem.

— Dobrze. Idź.

Stróż drapał się po głowie porośniętej popielatymi włosami. Chciał zaproponować ojcu dobrodziejowi, żeby nie chodził w taką pogodę, bo to już lata nie te i wszystko może się przydarzyć, ale nie miał odwagi. Odwracał się niezgrabnie przestępując z nogi na nogę i duchowny patrzył na jego szerokie, obciążone kortową * marynarką plecy.

„Coś stało się i tam, na górze — myślał — jeżeli ludzie tak nagle się zmienili.”

Przecież setki lat trzymała się na tej ziemi wiara, a teraz poruszone zostało coś u podstawy podstaw. Wychodził na deszcz i stał długo patrząc na przyprószone mgłą mżawki chałupy. Ogarniało go poczucie marności, które dołączało do melancholii, i duchowny czuł się beznadziejnie stary...

Znowu człapał gliniastą ścieżką, grzęznąc ciężkimi butami w błocie. Chciał już dobrnąć do swego domu, rozpaść piec i przytulić do niego zmęczone plecy. Przychodził do swego pokoju i długo siedział w mroku,

* kort (*ang.* cord — sznur) — ciężka tkanina o złożonym splocie używana na ubrania i płaszcze (*przyp. tłum.*).

czując, jak ziębną i drętwieją ręce. Wtedy dreptał do szopy, brał naręcze drzew i niósł przez bajorowate podwórze. Deszcz bił po palcach, a suche drewno zachłannie chłonoło wilgoć. Duchowny rzucał drewno, i polana z turkotem rozsypywała się po podłodze. Rozpalał piec i dotąd, dopóki huczał ogień, strzelając jaskrawymi iskrami, rozmyślał długo i tępo. O swoim życiu, o deszczu, o samotności. Nowy atak czerni zniewalał jego duszę i mózg. I w tym mroku, wśród deszczu i ciemności ożywały cienie. Poruszała się jego broda, poruszały włosy na głowie, nos, usta, a nawet zmarszczki na czole. Tylko spojrzenie pozostało nieruchome. Myśli początkowo wylatywały z mózgu pozostawiając po sobie pustkę. Wydawało się, że wszystko znika: pokój, deszcz i świat. Dopiero kiedy dopalały się drwa, duchowny zaczynał odżywać. Podnosił się, brał z szafki butelkę wódki, kielbasę szynkową pokrojoną w plasterki i siadał do stołu. Nalewał kieliszek i pił. Długo przeżuwał kielbasę, a mętny wzrok błędził w półmroku panującym w pokoju. Wyciągał nad stołem szczupłą, zadbaną rękę, światło padało na nią i oświeślało sine, starcze paznokcie. Duchowny mieszał wódkę, ponownie nalewał kieliszek i podnosił do ust. Ciecz rozchłapywała się na serwetę, ale on nie zwracał na to uwagi. Świat mętniał dokoła, chwiało się i rozmiękał. Kiedy butelka była już pusta, popodnosił się i walił się na kolana. W jeden z takich wieczorów przyszła mu do głowy decyzja...

Obudził się wcześniej rano i długo myślał o tym, co się stało. Podkradła się już znajoma samotność. Była w czymś podobna do deszczu, który i teraz szumiał za drzwiami. Ranek przypominał chorego. Pop z obrzydzeniem spojrzał na brudny stół, ale nie posprzątał. Uczesał się i przywarł brodą do zachlapanej szyby. Mokra droga lśniła stalowo, a nad rzeczką kłębiła się

wilgotna, ciężka mgła. Wyłaniały się z niej drzewa o zastygłych, szarych gałęziach, rzeczka dymiła opatulając oparami ciemnożółte kładki. W pokoju też było wilgotno — nie rozpałił pieca — i chłód strzykał mu w kolanach. Długo patrzył na ciemną postać, która obchodziła kałuże, podrygując jak kot to na jednej, to na drugiej nodze i jego spojrzenie znowu napełniło się czernią. Jeszcze bardziej utwierdził się w swojej decyzji. Pospiesznie zapiął podgumowany płaszcz i wyszedł na deszcz. Ciężko było stawiać nogi, do podeszew przyklejała się ziemia, ale on czuł w sobie siłę. Siła płynęła z serca, napełniała mózg. Palce ścisnęły rączkę laski. Zatrzymał się na kładce, obrzucił spojrzeniem szereg zaspanych budynków. Zrobiło mu się wesoło, bo znowu wspomniął o swej decyzji. Był to bardzo udany pomysł, dziwił się, że wcześniej nie przyszedł mu do głowy. Omal się nie zezłościł, kiedy zobaczył na drugim brzegu człowieka. Człowiek był opatulony płaszczem i nisko pochylał się nad niewielkim stolikiem.

„Malarz — omal nie zaklął pop. — Przyniosła go siła nieczysta!”

Zaczął się wspinać pod górę, ciężko wspierając na lasce, a nostalgia szła w ślad za nim, czepiając się ramion i zginając je do dołu. Ale zawziętość była silniejsza.

Stróż jak zawsze czekał na niego koło drzwi.

— Maksymie — pop wesoło popatrzył na swego najwierniejszego sługę. Było to zaskoczenie dla stróża. A do tego wczoraj nie wytrzymał i zajrzał do Tekli — teraz bolała go głowa i drżały kolana. — Byli ludzie?

— Jeszcze nie — ich rozmowa wchodziła na zwykłe tory, i stróż zaczął się uspokajać.

— I dobrze, że nie — pop znowu go zaskoczył.

— Teraz tacy ludzie... — zaczął swoje stróż.

— Wejdiesz na dzwonnice — pop uważnie spoj-
rzał na stróża i ten poczuł, jak zakłuło go w boku.
Oczy duchownego już napływały czernią, która go
tak lękała i wabiła. — Wejdiesz na dzwonnice i
uderzysz na nabożeństwo poranne.

— Ale przecież — stróż zawahał się — przewodni-
czący rady gromadzkiej zabronił dzwonić...

Oczy popa rozszerzyły się jeszcze bardziej: stróż
czuł, jak kurczy się jego dusza, a strach zaczyna łasko-
tać pięty.

— Wejdiesz na dzwonnice — wolno powtórzył pop
— i uderzysz na uroczyste nabożeństwo poranne.

Stróż podrapał się wszystkimi pięcioma palcami po
popielatej głowie i powlókł się do drabiny.

Nad cichą wsią potoczyły się dźwięki, pełne i moc-
ne, od których zdążono już odwyknąć. Stróż nagle
zrozumiał ojca dobrodzieja, raczej wyczuł jego nastrój
i przejął się. Dzwonił tak jak wiele lat temu, kiedy
był jeszcze młodym chłopakiem, którego przygarnęła
cerkiew i który z całej siły usiłował odwdzińczyć się
za to niespodziewane ciepło, jakiego mu udzielono.
Dzwon przełamywał zadeszczoną przestrzeń, przełamy-
wał jesienną monotonię. Żółte dźwięki toczyły się po-
między żółtymi liśćmi, między chałupami i żółtymi
chlewami. I ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem,
przerywając robotę, babcie zaczynały się żegnać zna-
kiem krzyża, a ich starcze mózgi w żaden sposób nie
mogły zrozumieć tego wydarzenia. Ponury chłop, któ-
ry wybierał gnój spod krowy, wsparł się na widły
i łypnął w stronę cerkwi: „Powściekali się czy co?”
Kilka babć zbierało się już pospiesznie. Nie miały siły
myśleć, w duszach ożyły stare instynkty, wyssane z
mlekiem matki, i teraz krzątały się, szukając kufajki
lub chustki.

— A gdzie to się wybieracie, mamó? — pytały synowe i synowie.

— Co to, nie słyszycie — uwijały się babcie. — Święta cerkiew wzywa.

— Chyba zgłupiałyście, żeby w taką pogodę iść do tej cerkwi?

Ale babcie nie słuchały, trzaskały drzwiami i wyskakiwały na deszcz. Kilka dziadów uniosło zmęczone głowy. Ale za oknami chlupotała ulewa i wydało im się, że i ten dzwon, i ten deszcz to tylko sen, znajomy, ale za bardzo głęboki, żeby się obudzić.

„Zabroniłem im mieć ludziom w głowach” — pomyślał przewodniczący rady gromadzkiej.

Nie poszedł dziś do pracy, bo i tak nie byłoby żadnej roboty w taki deszcz i postanowił się wyspać. A sen podsycony deszczem był silniejszy od obowiązku służbowego i przewodniczący znowu zasnął. Śniły mu się miedziane wozy, które głośno turkotały po brukowanej miedzią ulicy.

„Potem to zbadam” — uspokoił sam siebie.

Stróż przestał dzwonić, bo wiatr raptownie sieknął deszczową falą i to go otrzeźwiło. Zszedł na dół. Ojciec dobrodziej klęczał i nieprzerwanie bił pokłony. Miał przygarbione plecy i stróżowi zrobiło się go nagle żal.

— Jestem ostatni wierzący na tej ziemi — powiedział duchowny i jego słowa odbiły się echem w głuchej pustce.

„Nie — ze smutkiem myślał stróż, czując, że się rozczuła. — Ja też jestem z tobą.” — W oczach zaszkliły mu się łzy.

— Dobrze dzwoniłeś.

— Gdzie tam dobrze. — Stróż machnął ręką.

— Ludzie idą? — zapytał ojciec dobrodziej, patrząc na niego uważnie.

Stróż podłubał czubkiem buta w podłódze, sięgnął brązową dłonią do włosów, ale opuścił rękę.

— Idą — powiedział niepewnie.

— Dużo?

— Katrię widziałem, Mokrynę, no i Wiwdię...

Duchowny patrzył na stróża uważnym wzrokiem. Zaczęła w nim narastać czerń, od której zimno robiło się na duszy.

— Dobrze — powiedział duchowny. — Dobrze.

Odwrócił się i powoli podreptał w kąt, gdzie od dawna wisiały znajome obrazy. Popatrzył w oczy Syna Bożego — duże, ciemne, oliwkowe. Zawsze odnajdywał w nim wyraz siły tamtego świata — ale nieraz z przerażeniem odczuł, że zewsząd, z dołu, z góry, z lewej i z prawej strony, nasuwała się na niego straszna, wilgotna jak deszczowe powietrze, lepka i bezkresna jak jesień, pustka. Powoli opuścił się na kolana i uniósł głowę do góry. A z oczu buchnął czarny ogień. W tym ogniu spopielał się i mrok źle oświetlonego pomieszczenia, i ściany z namalowanymi postaciami dawnych bojów, i cały ten przepełniony nieskończonym spadaniem niebieskawych kropelek świat.

— Jestem ostatni wierzący na tym świecie...

ECHA PRZESZŁOŚCI

Jadzia Kalicka lubi chwile głębokiego zatopienia się w samej sobie, szczególnie teraz, w sierpniowe wieczory, kiedy chłód lekko usztywnia ciało, a na górze, która zaczyna się od razu za podwórzem, cykają wieczorne świerszcze. Cykają ze smutną udręką, w której ona czuje znajomy chłód przeszłości. Zaczynają się wspomnienia, ale Kalicka nie oddaje się im bez reszty. Tak tylko: muska wypalone uczucia, nie wgłębiając się w nie zanadto, żeby nie zahaczyć o ból i nieruchomieje w wiklinowym fotelu stojącym na podwórzu. Podpływa cisza, w której oprócz świerszczy i chłodu jest jeszcze plusk — za ogrodzeniem toczy swoje fale niewielka Kamianka, toczy przez cały ten czas, jaki żyje Kalicka i toczyć będzie jeszcze wiele lat, które już będą poza Kalicką. Ale nie chce się o tym myśleć. W zapadającym zmroku, pod wielkim kasztanem z jego wystanym zaciszem, jej postać ciemnieje jak bryła kamienia. Kamień zaczyna się za plecami, bo góra nawisa nad podwórzem równą, granitową skałą. Kalicka zlewa się z tą skałą, staje się częścią cienia, bieleją tylko twarz i ręce, ciemna zasłona ubrania kryje nie zainteresowane już namiętnościami życia ciało, a w skroniach, pod piersiami z lewej strony i w nadgarstkach stukają młoteczki: trak-tak-tak! Jest już zupełnie starą kobietą i przeżywa teraz miękko radość spo-

koju, triumf istnienia, triumf dzisiejszego sierpniowego wieczoru i jeszcze cykanie świerszczy i plusk Kamianki. Biała ścieżka do poczerniałej furtki, biała droga do Czudniowskiego mostu, a nad nią ciężkawy cień wysuszonej przez okres lata Łysej Góry, z której zsuwa się piasek i przesypuje w powietrzu (od strony prostopadłej ściany) czas. Piaskowy zegar też był wieczny i Jadzia Kalicka oddycha jego stałym szelestem, czuje go jako przepływ krwi w ciele. Dlatego błaga Boga, aby nikt nie stanął na przeszkodzie jej radości, nie pozbawił błogosławionej rozkoszy.

Rano obudziła się z jasną głową i uczuciem pierwotnej rzeźkości, którą zawsze wywoływało w niej słońce. Specjalnie wybrała sobie pokój od wschodu, żeby widzieć pierwsze słońce. A słońce hojne i litościwe wdzierало się do pokoju poprzez tiulowe firanki, rozpraszało mrok i senność, po czym zaczynało swawolić wzbijając kurz — w potokach promieni płaśły gęste złotawe pyłki. To też był zegar. Wydawało się, że ktoś bardzo silny przestawił go tu z góry i Kalicka z żalem obserwowała, jak bezszelestnie opada złotawy piasek poranka. Przez ten piasek widać było przeciwległe ściany domostwa. Na jednej z nich od podłogi do sufitu piętrzyły się stosy szerniałych pod wpływem czasu książek. Jej biblioteka nie była już tak uporządkowana jak kiedyś, bo rzadziej też dotykała grzbietów książek i kartkowała pachnące żółtym próchnem strony, z których kiedyś tak przyjemnie toczyły się strumienie syczących słów. Słowa dokonywały cudu: tworzyły na pół realne, a czasem i całkiem fantastyczne obrazy, dotykały duszy wywołując głębokie wzruszenie. Teraz ciężko już było czytać, bo litery stały się drobniejsze i topiły się w mleku, a od okularów bolały oczy. Mimo to bez książek nie wyobrażała sobie życia. Książki były jej żywymi przyjaciółmi, z którymi niełatwo się było

rozstać, bo od książek kładły się słoneczne smugi, w których drgał osypując się bezgłośnie złotawy piasek czasu.

Dzień miał być zwyczajny. Najbliższy kąt zajmował wielki fikus, a wokół okien stały ukochane doniczki: kalia o wielkich, białych, pachnących kwiatach — ich aromat sączył się teraz, wypełniając pokój ciepłą rozkoszą, rozpinająca liście miesięczna róża (miała zakwitnąć za miesiąc). Fuksja rozpostarła wstążkopodobne kiście, a koleus o różnokolorowych liściach zabawnie piał się do góry... Kalicka wstała z łóżka i podeszła do okna, przez które wlewały się żółte, ciepłe promienie. Niebo było pogodne. Tylko daleko, na widnokręgu tańczyły duże, pulchne, niezgrabne chmury... Najpierw się rozplakała. Przystanęła u wyjścia z ogrodu i zamarła, czując, jak dławi ją w gardle. Wpatrywała się przed siebie, a oczy jej mrugały z niedowierzenia. Po ścieżce, od furtki szedł siwy człowiek. Był ubrany w porządny garnitur i miał twarz, która zdumiała ją, a zarazem przestraszyła. Kalicka opuściła ręce, usta rozchyliły się, układając w zablakany uśmiech, a oczy zalśniły jak promienie. Zrobiła krok do przodu i nie powstrzymała się od okrzyku:

— Janusz!

Szedł jej na spotkanie z szeroko rozwartymi do objąć ramionami i uśmiechał się całą twarzą. Przez moment miała wrażenie, że wszystko jest jedynie przywidzeniem, ogłuszającym, strasznym zachwianiem świadomości (opuściły ją siły, zewsząd jak rozjuszony tłum na bezbronną ofiarę rzuciły się promienie i poraziły mózg, zbijając go w splątany węzeł). Mężczyzna wciąż jeszcze szedł na spotkanie, wciąż jeszcze się śmiał. Skrzypiał piasek pod nogami, skrzypiała trawa, sok padał na piasek, który zielenił się zieloną krwią. Kalicka też szła na spotkanie, wciąż jeszcze nie wierząc

własnym oczom. Wydawało jej się, że jest potargana, więc poprawiła uczesanie, dotykając włosów drżącymi palcami. W marszu doprowadziła się do porządku, mimo iż zielona mgła nasunęła się na oczy i wszystko wokół zawirowało.

— Stachu, Stachu! — krzyknęła wysokim głosem.

Na progu zjawił się wnuk, ze zdziwieniem patrząc na babkę i na mężczyznę, który wciąż jeszcze szedł na spotkanie z twarzą zalaną uśmiechem.

— Janusz! — wyszeptała Kalicka. Nie mogła powiedzieć nic sensownego, bo strach dusił jej piersi, a siła opadała szybko gdzieś w dół, gdzie rozlewało się zielone morze: mieszanka piasku, zdeptanej trawy i martwych świerszczy...

Stach stał na werandzie i patrzył na tę scenę. Wydawało mu się, że z babką coś się stało, a może coś się stało z nim samym, bo pod kolanami poczuł drżenie. Kalicka stała w miejscu i chwiała się, czepiając się rękami powietrza. Stach rzucił się do niej i kiedy podtrzymywał staruszkę, ujrzał nagle, że z drugiej strony podtrzymują ją ręce nieznajomego. I dopiero w tym momencie Stach zauważył, że nieznajomy do bólu podobny jest do niego...

Janusz Kalicki miał wyjątkowe szczęście do życia. Kiedy skończył dwadzieścia dwa lata, rewolucja rozpraszała ustalony układ. Wszystkie te odwiedziny u znajomych, zebrania, dyskusje czy po prostu rozmowy, wyjazdy na Teterów do Czackiego, pikniki i zaloty, mimo iż mając dziewiętnaście lat, zdążył się już ożenić, a w wieku dwudziestu dwóch lat miał już dwie córki — wszystko to niespodziewanie stało się nieprawdopodobne i odeszło w głąb. Jego rodzina była silna, Janusz usiłował odnaleźć ten szczególny rytm, kiedy to pogodzić można miłość do żony z niewielkimi zalotami w sąsiednich miastach. Kasia Malecka była

nie mniej wspaniała niż jego Jadzia, a Natalia Udowicka wpadła mu w oko jeszcze w czasach dzieciństwa. Nie pozwalał sobie jednak na więcej niż życzliwy ukłon, dwuznaczny uśmiech, grę oczami — Janusz znał życie i umiał rozsądnie z niego korzystać. Istnieją jednak te przekłete „ale”, kto wie, co czeka człowieka w przyszłości: właściciela podmiejskiego majątku i kilku kamienic. — On sam wolał mieszkać w dwóch niewielkich domach nad Kamianką — miał się o co martwić.

— Nie spodziewam się niczego dobrego po tej zawierusze — powiedział Jadzi.

— Co mamy robić? — Jadzia, nawet w tym momencie piękna, nigdy nie rozumiała życia. Miała cudowne oczy i skromnie przyczesane, wspaniałe włosy. Jak zawsze siedziała w krześle ze złożoną na kolanach powieścią Sienkiewicza (książki, Janusz był o tym szczerze przekonany, nie dają nigdy właściwego poglądu na świat; w świecie siłę stanowi jedynie praktyczna energia, a zwłaszcza węch). Kazał zaprząć konie i pomknął do folwarku, gdzie pozostał stary ojciec. Węch nie dał mu podjechać pod pałac jak dotychczas, z hukiem, z całą fanfaronadą, do jakiej był zdolny. Pozostawił konie w lesie, a sam głuchymi ścieżkami przedostał się do majątku. To, co zobaczył, nie zaskoczyło go, a jedynie przekonało o dobrej orientacji. Zamiast wspaniałego ojcowskiego domostwa leżała kupa ruin, a po porośniętej ptasim rdestem polanie spacerował obskubany kogut. Los ojca był przesądzony, bo stary nigdy nie pozostawiłby majątku, i to legło kamieniem na duszy. Koni w lesie nie znalazł — poszedł piechotą. Las był ponury jak i cała jesień, szumiały drzewa, gnając nad sobą fale strasznego przeczucia. Pachniało opadłymi liśćmi i bagnem, buty z płaskiem miesiły rzadkie błoto, a zmrok szykował jeszcze niejeden poczę-

stunek strachu. Myślał, że byłoby to symboliczne spotkanie: on bez broni i najeżony, skierowany na niego rząd karabinów. Rozpierała go złość, niepokoił smutek i niepewność. Był to porządek, jaki wydawał się logiczny, w tym porządku on też zajmował swoje miejsce, i wszystkie granice tego porządku miały tę gwarancję wieczności, jaką ma zdrowe, nie naruszone chorobą ciało w wolnej, słonecznej chwili. Nie miał wrogów, może tylko pojedyncze sprzeczki z Kostem Udowickim, który nie lubił jego spojrzeń w stronę siostry, albo ze starym Krukowskim, z którym miał sąsiedzkie nieporozumienia. Rozmyślając w samotności był zadowolony:

„Jestem autentycznym pacyfistą, bo nie miałem z nikim kłótni ani bójek. Nie mam wrogów i sam nie jestem nikomu wrogiem. Moim zadaniem jest zabezpieczyć rodzinę, kochać dwie córeczki i żonę. — To, że od czasu do czasu pozwalam sobie na spojrzenie w bok (Boże mój, komu to zaszkodziło), nie miało znaczenia”.

Ale teraz, tu, w lesie, po odwiedzeniu ruin ojcowskiego domu zrobiło mu się straszno. Pod wpływem tego szumu, który otaczał ze wszystkich stron, pod wpływem smrodu, rozkładu, pod wpływem opadłych liści, ich zgniłego zapachu martwoty, plaskania błota, które zdawało się nie do przebycia. Bo nagle stało się dziecinnie zrozumiałe, że każdy listek może strzelić w oczy, bo ty jesteś jego wrogiem, kiedy depczesz go butem; każde drzewo zwali się na głowę, bo budowałeś z niego dom i paliłeś nim w piecu, każda trawka przebije serce, bo łamałeś ją nie myśląc, że ona właśnie dopiero wykluła się z ziemi, by żyć; każdy komar wyje ci w oczy, bo nie rozumiałeś swego popędu, kiedy zobaczywszy go, wyciągałeś palce, by go zgnieść. To było prawo, i tu, pośród jesieni, oko w oko z lasem, w którym nie było już harmonii, gdzieś obok ciała ojca, któ-

re powoli rozkładało się w ziemi, Janusz poczuł nieprzewyciężone mdłości. Topiło się w nim wszystko, co było dotychczas, topiła się nawet wrodzona miękkość serca i niechęć do wyrządzania komukolwiek krzywdy, na zawsze roztopiał się pacyfizm. Kiedy wyszedł z lasu i wytarł podeszwy o trawę, wiedział już, że rewolucja zahaczyła także i o niego. Miał zostać jej ofiarą, ale nie chciał tego. Był żywy i silny, a poza tym odczuwał potrzebę i siłę do obrony.

Stach chorował na nieuleczalną chorobę: poszukiwanie przodków. Długie wypytywania babci nie zaspokajały go, wręcz przeciwnie: jeszcze bardziej jątrzyły. Na polskim cmentarzu, znajdującym się w końcowej części ulicy Rudyńskiej, nie było grobów, które rozwiązywałyby tajemnicę. Nie było grobów, chociaż cały ród Kalickich wywodził się właśnie z Żytomierza, i właśnie w Żytomierzu kończyła się jego odnoga czy pół odnogi. Cmentarz miał nawet cały zakątek, gdzie leżeli Kaliccy. W okresie duchowej słabości Stach przychodził tutaj w tę napiętą, nieruchomą ciszę. Przodkowie matki, właśnie Kaliccy, byli mu bardziej znani, ojciec do pewnego czasu był plamą, jeszcze ciemniejszą niż plama matki. Milczące usposobienie babki, milczenie w miejsce odpowiedzi na wypytywania, a potem, kiedy Stach podrośł, na poczekaniu wymyślone historie przeplatające się z długotrwałymi, starczymi dygresjami, w które Stach nie chciał i nie mógł uwierzyć. Co z tego, że matka zaginęła gdzieś na wojennych szlakach (kiedy zaczęła się wojna, miał pięć lat i z pewnością by ją pamiętał). Czasem oglądał starą polską mapę, a potem także tę nową: babcia uchwyciła się teorii, że dziadek może żyć, ale pozostał w Polsce. Co z tego, że babcia mówiła, iż niby cały ród dziadka

pochodził z Polski, jeśli on widział na cmentarzu mogiły jego przodków? Co z tego, że o ojcu nic się nie mówiło, ale grobu jego nie było? Wszystko może być, wszystko może się zdarzyć... Nad rodem ciążyła tajemnica. Tajemnica paliła serce. Wszystko to było jeszcze podsycane powieściami z babcinej biblioteki: arystokratyczne rozmowy, polska idea, polskie bohaterstwo i patriotyzm. A on sam prawie nie rozumiał po polsku. Połykał za to książki — stronę za stroną kreśląc sobie przed oczyma stubarwne obrazy: szlachetne pochodzenie, choć w gruncie rzeczy śmieszne jest nazywać się dziś hrabią czy baronem; szlacheckie salony, choć w głębi duszy miał ukształtowaną przez lata nauki w szkole pogardę dla panów; szacunek do kościoła katolickiego i jego przedstawicieli, choć jednocześnie nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Boga nie ma; chorobliwe pragnienie odszyfrowania własnej genealogii, mimo iż wiedział, że to wszystko, co wywoływało wzburzenie jego przodków, nie wywoła przypuszczalnie podobnej reakcji u niego. A jeszcze głębiej, w najtajniejszych zakątkach duszy, wiedział, że obca jest mu nawet polskość i że poszukiwania były dla niego raczej obroną niż przekonaniem. Trzymał się jednak tego mocno, jak trzymać się zwykło wyhołubionego przez siebie marzenia.

Kiedy minęło uniesienie, Jadzia Kalicka mogła dokładnie przyjrzeć się mężowi. Wzruszenie przy spotkaniu starło tę maskę czasu, która już legła na twarzy Janusza: zjawił się przed nią niemal taki sam jak kiedyś. Ta sama postać, ta sama twarz, nawet uczesanie, mimo iż siwizna rzucała się w oczy. To był Janusz i Jadzia rozpoznałyby go nawet w zgrzybiałym starcu. Kiedy minęło uniesienie, widziała już innego

Janusza. Nawet w nie istniejących gestach: inaczej siadał, inaczej jadł, inaczej trzymał głowę w czasie rozmowy, inaczej się śmiał. Maską czasu dawała się we znaki, zdarzały się nawet momenty, że cały Janusz znikał zupełnie z oczu, pozostawiając na krześle starego, obcego człowieka. Wtedy chciało jej się płakać, może by zresztą i zapłakała, gdyby nie czuła obcości, która raz potęgowała się, raz słabła.

Siedzieli w ogrodzie. Jadzia w wiklinowym fotelu, Janusz na ławeczce.

— Tak więc żyję — dokończył opowieść Janusz. — Widziałem się z Anielą. Żebyś ty widziała mój zachwyty, kiedy przyszła do mnie. Żyję sam. Czyż mogłem myśleć o małżeństwie? — gest w stronę Jadzi. — A tu Anieli z mężem. Nie mieli gdzie mieszkać, więc zamieszkali u mnie. Po wojnie lepiej się ułożyło, mam niewielką fabryczkę, wszystkiego pod dostatkiem, choć nie jest już tak cudownie...

„Przypomina to spowiedź — myślała Jadzia obserwując męża. — No cóż, wszystkie wspomnienia brzmią przyzwoicie. A jednak — ta wiadomość zalewała jej serce ciepłem — nie ożenił się. Czekał na mnie...”

Kiwała głową w takt opowieści i myślała, myślała. O nim, o córkach, o sobie i o wnuku, który przysparzał jej tak wiele kłopotów, o swoim ogrodzie i pokoju, o porannym słońcu, myślała też o wieczorach z piaskowymi zegarami. Jak można było w takiej chwili nie myśleć — przed nią siedział człowiek, który zabrał serce! Czy kocha go teraz?... Myślała o Kamiance, która toczy czyste fale i o białej drodze do Czudniowskiego mostu, po której szycowała się już ruszać w ostatnią drogę. Od niedawna nie mogła długo chodzić, bolały ją nogi. Myślała: czy tak przemija życie? To jest to życie? Od początku do końca minęło tak mało czasu, a jej zawadiacki Janusz jest już dziad-

kiem, a ona, Jadzia, niedawna piękność, jest już babcią, i nikt nie doszuka się w jej twarzy śladów dawnej urody. Uroda nie wróci, jak nie wróci bezchmurny czas niebiańskiej młodości. Starym pozostaje wzdychać, i oni tak też wzdychają, bo nie mają już energii do działania. Może tylko na tyle, żeby pielęgnować kwiaty w doniczkach i ogrodzie, troszczyć się o dom i wnuka, siedzieć tu, na wprost Janusza, niezwykłego, niespodziewanego zjawiska, który tak wszystko skomplikował swoim przyjazdem...

Poszli na przechadzkę po ogrodzie, bo zdenerwowanie okazało się zbyt silne i zbyt ciężko było usiedzieć na jednym miejscu. Ogród był niewielki, gęsto obsadzony kwiatami, a wśród nich wilo się kilka ścieżek. Poszli gęsiego, jedno za drugim, na przodzie Jadzią, za nią Janusz, a na końcu Stach. Odwracała głowę, żeby nazwać ten czy inny kwiat. Wydawało jej się, że kwiaty nie zmieniły się od tego czasu, kiedy się rozstali.

— Defians — powiedziała, pokazując na niskie krzaczki z jasnymi, jaskrawoszkarlątnymi kwiatami. — Pamiętam, dostałam ten kwiat od Udowickich, kiedy byliśmy u nich po raz ostatni z wizytą — westchnęła.

Janusz nie pamiętał. Przedtem też było pełno kwiatów, bo Jadzia je lubiła. Pieczę nad nimi sprawował letni ogrodnik, który utrzymywał całe obejście we wzorowym porządku. Teraz gdzieś pomiędzy kwiatami przebijały się chwasty, a ścieżka już nie była wysypana. Nie wiadomo dlaczego przypomniało mu się opowiadanie Strindberga: mężczyzna pisał w dzieciństwie wiersze, przez całe życie wydawało mu się, że były to genialne wiersze i postanowił je odnaleźć. Odnalazł. Ale kiedy przeczytał najpiękniejszy... Lepiej było nie czytać! Janusz przestraszył się tej myśli i dokładniej przyjrzał się nieruchomej sylwetce żony, nie-

spodziewanie ogarnął go żal, który zatamował oddech. Musiał rozpiąć kołnierzyk.

— Zdejmij marynarkę, duszno jest — Jadzia zauważyła jego ruch. — Stachu, zanieś marynarkę dziadka.

Stach skrzywił się. Nie chciał opuszczać towarzystwa, bo tu, w tych na pół zrozumiałych rozmowach, w których zaczęły pojawiać się nie znane nazwiska, a nawet całe obrazy, jego ciekawość znalazła dla siebie pożywkę. Dziad zdjął marynarkę, pozostając w koszuli i krawacie. Stach niechętnie wziął ubranie i szybko pobiegł do domu. Jadzia stała na wprost Janusza, wysokiego i pogodnego, i nagle zapragnęła rozplakać się, jak dziewczynka przywrzeć do niego piersiami, jak wtedy, gdy wydawało jej się, że zerka w stronę pięknych dziewcząt, i zaszlochać, zaszlochać. Ich spojrzenia spotkały się — oczy obojga były już dawno wygasłe, ale w tym momencie (ileż to można dać za taką chwilę!) wszystko nagle powróciło. I ten daleki czas, kiedy Janusz udał się do polskiej formacji stacjonującej pod Winnicą, i czas ich miłości, kiedy to młody Kallicki nie dawał jej przejść, nagabując swoim oddaniem, twarzą i zalecankami (miała wtedy szesnaście, a on osiemnaście lat) — wszystko rozjarzyło się suchym ogniem. A kiedy urodziła się Zosia? A potem Aniela? Dwie laleczki, które tak pociesznie się bawiły... Jadzia postąpiła krok w kierunku Janusza, a on ją zrozumiał. Objął i przytulił do siebie, niziutką, o miękkim ciele i twarzy, która już niemal nie przypominała złotej pory uniesień i ślepej miłości. Żal nie opuszczał duszy Janusza, a kiedy Jadzia rozplakała się, drżąc w jego objęciach, poczuł, że mimo wszystko przez te wszystkie długie lata brakowało mu jej ciepła, ba, nawet naiwności.

— Jadziuniu — powiedział ciepło. — Teraz nas już

nikt nie rozłączy. Pójdziemy i rozpoczniemy nowe życie.

— Nic mi już nie pozostało — powiedziała Jadzia. — Bierzesz mnie gołą...

— Jakie to ma znaczenie? — uciął Janusz. — W dzisiejszych czasach musimy się przyzwyczajać, że wszystko to utraciło już znaczenie. Pozostało co innego: człowiek! I w tym na razie największy ratunek. Wszystko inne przeminie...

— Oj, przeminie, Januszu — pokiwała głową Jadzia. — Oj, przeminie...

W ubiegłym roku Stach Kalicki pozwolił sobie na dokonanie czegoś, co do dziś wywołuje u niego rumieniec wstydu: pozwolił sobie na niegodziwość szperania w babcinych papierach bez jej zgody. Wynik tych poszukiwań był dla niego szokujący: ojcem Stacha był Iwan Karpowicz Kowalczyk. Mógł żyć jeszcze, po rozstaniu z matką wyjechał do Kamieńca Podolskiego. Pisał jeszcze do matki listy, które ona pozostawiała bez odpowiedzi, ale ich nie niszczyła. W liście z 1936 roku podawał swój adres i prosił o zgodę płacenia na Stacha pieniędzy. Z czasem listy przestały przychodzić, a potem przepadły wszelkie ślady po matce. Z tego wszystkiego Stach wyciągnął kilka wniosków: po pierwsze, ojciec może żyć jeszcze; po drugie w Kamieńcu Podolskim miał krewnych; po trzecie, ojciec był (to wstrząsnęło nim do głębi)... pijakiem. O matce wiedział pewne rzeczy, należało rozsypać jeszcze jeden węzeł i można się już było zadowolić. Jego mózg pracował gorączkowo, aż wreszcie stworzył szczegółowy plan podróży do Kamieńca Podolskiego. Wyprosił u babci pozwolenie na wyjazd do Kijowa w celu zwiedzenia muzeów oraz miejsc historycznych (stara

uznała to za rozsądne i z uznaniem poparła, a ponieważ Stach był studentem i pieniędzy miał bardzo niewiele, dała mu na wydatki). Druga część zadania była bardzo skomplikowana, bo babcia uparcie chciała go odprowadzić na przystanek autobusowy. Trzeba było delikatnego nacisku, żeby babcia została w domu. Na dworzec kolejowy przyszedł godzinę przed odjazdem pociągu i długo przemierzał poczekalnię, nerwowo spacerując między ławkami, na których pokotem leżeli i siedzieli pasażerowie.

Była to pierwsza tak wielka wyprawa z Żytomierza, i całą drogę do Kamieńca Stach przestał koło okna. Na widnokręgu przesuwwały się pola, migały lasy, wsie, miasta, ludzie, rzeki — wszystko uderzało do głowy, tworząc w niej niesamowity chaos: zachwyt, zdenerwowanie, entuzjizm.

Coś takiego zdarza się raz w życiu, bo raz w życiu wyjeżdża się po raz pierwszy z domu. Wszystkie następne podróże odsłonią swą prozę — niewygody, przykrości związane z hotelami, biletami, nudne rozmowy, karty, czyli wszystkie te usiłowania pokonania czasu, rozbicia, przezwyciężenia i uwolnienia się od niego. Dzisiaj było wszystko inaczej, wszystko po świątecznemu, cudowne. Stach stał koło okna i patrzył, patrzył bez końca, pożądliwie wchłaniał krajobrazy, na których po raz pierwszy koczowała jego świadomość. Triumf ruchu, szybkiej zmiany wrażeń przygniatał i uskrzydlał Stacha. Zapomniał nawet, dlaczego jedzie. Przed nim rozpościerała się ziemia jego rodzinnego kraju, i w którymś momencie uczucie to stało się wszechogarniające. Tak, to był jego kraj rodzinny, bo i pola, i lasy, i rzeki, i dolinki, i ludzie — wszystko to układało się w coś jednolitego, znanego od dawna, bliskiego. Pośród tych krajobrazów pulsowało szczególne słońce, pozwolił sobie nawet na stwierdzenie: ukraiń-

skie słońce. Żytomierz pozostał w tyle. Nie żał go było zostawiać: spokojne ulice i zielen, wzgórze i dom pod skałą, babcine kwiaty i sama babcia, cichopłynny Tererów — jego młodość... Nie było mu żal, bo dusza dojrzała do tego bogactwa, które przyjmował teraz.

W Kamieńcu Podolskim Stachowi od razu udało się dostać pokój w hotelu. Czym prędzej pobiegł do biura ewidencji ludności zaczerpnąć informacji na temat Iwana Karpowicza Kowalczuka. Trzeba było czekać półtorej godziny, więc poszedł w dół ulicy, do mostu. To, co zobaczył, zmusiło go do okrzyku. Rzeka wpływała w głęboką szczelinę pomiędzy dwoma wznoszącymi się prostopadle brzegami. Ludzie i budynki w dole wydawały się zabawkami, a wokół tego królowało średniowiecze. Jak zamroczony przeszedł Stach przez most i znalazł się pomiędzy starodawnymi murami, wieżami, wrotami, które wywarły na nim niezwykle silne wrażenie. Obejrzał były dom akademicki seminarium katolickiego — mury seminarium były poobłupywane, jeden z kontraforsów nie miał już zupełnie sztukatury. Długo oglądał barokowy Kościół Dominikanów z utraconym szczytem, obszedł dokoła Kościół Katedralny. Tureckie kształty: Baszta Wodna, obłupane ściany, zabudowania forteczne; budynek Halil-paszy, forteca-więzienie, armeńska studnia, Kościół Trynitański i wreszcie niezwykle widok kamienieckopodolskiej fortecy z mostem, murami fortecznymi i wieżami: Komendancka, Różana z jej ceglana kopułą przypominającą grobowiec, Czarna, Kołpak, Wieża Karmeluka — takiej uczty nie zaznała jeszcze jego dusza. Stach czuł, że traci oddech. Siadł na trawie za fortecą i długo patrzył w dół, gdzie toczyła wśród skał swe wody bajkowa Smotrycz. Miał wrażenie, że cała ta podróż była tylko snem. Czuł, jak drżą mu ręce. W Żytomierzu były jedna lub dwie stare budowle, tutaj — set-

ki. Historia opromieniała jego duszę niespokojnym ogniem zdumienia, bo tu, wśród tych częściowych ruin, mimo wszystko chodzili ludzie, którzy na tyle przywykli do tych ruin, że mogli bez obawy odłupać cegłę z muru. Przyjeżdżali tu ludzie, którzy chłodno wszystko fotografowali czy gorzej jeszcze — wydrapywali swoje nikomu niepotrzebne imiona. On już wiedział, że nigdy nie będzie fotografował starodawnych budowli, nigdy nie będzie chłodnookim turystą i nigdy nie będzie wandalem, który niszczy wszystko, co może zniszczyć. Chciał być przyjacielem tego, co odeszło w niepamięć, łagodnym przyjacielem murów, które wolały pozostać zdane na niszczącą siłę czasu, dobrym przyjacielem wież, które samotnie pięły się w górę: kiedyś potężne i nieprzystępne, dziś — każde chłopaczysko może się wdrapać na wieżę i strzelać stąd do gołębi. Historia lubi ironizować i może największą ironią jest to, że uprzątnąwszy ludzi, pozostawia ich budynki, ulice i fortece...

Nie bardzo wierzył w to, że odnajdzie ojca — minęło już niemal dwadzieścia lat, była wojna — w tej wyprawie było więcej zrywu niż rozsądku, a oprócz tego było pragnienie obejrzenia miejsca, gdzie przeżyła swoje gałąź jego rodu. Poszedł na milicję, a kiedy wysuszona dama podała mu w okienku kartkę, z tępym zdziwieniem patrzył na dokładnie wypisany adres. Nie uświadamiał sobie jeszcze do końca wagi wydarzenia i jak we mgle wyszedł na zewnątrz. Świat stał się nagle obcy i mętny, drżały kolana i mdłości podchodziły do gardła. Ojciec był żywy, on w ogóle był. Uniósł głowę i nieprzytomnie obejrzał budynki. Łzy napływały do oczu, nie był w stanie ruszyć z miejsca. Stał i mrugał oczami. Trzeba było coś konkretnego postanowić albo chociaż dać upust łzom. Ale dokoła chodzili ludzie, niektórzy nawet ciekawie spoglądali w jego

stronę. Opanował się i ruszył. Szedł chodnikiem jak na drewnianych nogach, dopóki się trochę nie uspokoił.

Budynek był piętrowy z poobdrapywanymi ścianami i poprzekrzywianymi drzwiami. Stach zatrzymał się oczekując, aż serce nieco się uspokoi. Potem przyszło zdecydowanie. Zdecydowanie i złość. Do diabła, wyłuszczy zaraz temu człowiekowi wszystko, co leży mu na duszy. Rzuci mu w oczy gorzką wymówkę i popatrzy, czy sumienie pozwoli mu spojrzeć prosto w twarz... Zatrzymał się przy obdrapanych drzwiach i nacisnął dzwonek. Nie działał i Stach pchnął drzwi. Okazały się otwarte, bo gwałtownie uchyliły się do środka.

— Kto? — zapytał z głębi schrypnięty głos.

Stach nie odpowiedział. Nudności pochłoneły go bez reszty, w głowie wirowały koła, świat pociemniał i zamarł. Stach zdążył jeszcze wykonać krok do przodu i ciężko zwałił się w czarną, bezdenną przepaść.

Cykały świerszcze. Głośno i bez pośpiechu roztrącały ciszę i dodawały do niej coś szczególnego i charakterystycznego, znanego z dawnych czasów. Janusz poszedł na niewielki spacer nad rzeczkę. Żona odmówiła pójścia z nim tłumacząc się chorymi nogami, zresztą chciał być sam. Zmian w dolinie Kamianki było mało: te same rozsypane na stromych brzegach rzeczki budynki, głuche zarośla rezedy, widok na Zamkową Górę z budynkiem starego magistratu, dalej zarysy Wozzyńskiego Cerkwi i kościoła na Trypiłskiej. Janusz wdychał gęste powietrze wieczoru, przez moment owaładnęło nim kruche uczucie. Przemogło zmęczenie i starość i wszystkie te długie lata, które ciągnęły się od czasu, kiedy pożegnał się z Jadzią i ruszył do Winnicy.

„Boże mój — myślał Janusz — jak głęboko mogą tkwić w człowieku wspomnienia!”

Szedł ścieżką, która płynęła wzdłuż ulicy i chłonał duszą białe chatki, malwy, aromatyczny zapach kartoflanych pędów, wzgórze, skały. To było wzniosłe: odczuwanie wieczoru, ziemi, na której został poczęty — zupełnie takie same wieczory na tej samej ziemi były i wówczas, kiedy spieszył do Jadzi. Ukradkiem zamykała za sobą furtkę i szli razem. Boże mój, ten chłód, kiedy nie czuje się ziemi pod nogami, ledwie dotykając łokcia kochanej i bełkocząc słowa, których sam człowiek nie słucha, a potem wieczór, bezgraniczna głębia oczu, młodość przy akompaniamencie cykania świerszczy...

Janusz wspiał się na górę i usiadł na trawie. Nabił tytoniem fajkę, zapalił. Poczuł od dawna znany smak (do fajki przyzwyczał się jeszcze w czasie wojny, kiedy miesił błoto w oddziale partyzanckim). Widać było oświetlony elektrycznością Żytomierz; dawne więzienie polityczne ginęło niemal wśród nowych, pudełkowatych budowli, a Wozzyżeńska Cerkiew jak straszny pajak pięła się ku gwiazdom. Od ziemi ciągnęło wyschniętą trawą, w dole wiła się rzeczka, i Janusz zapragnął pójść wzdłuż niej do browaru czy nawet aż do polskiego cmentarza. Chciał sprawdzić, czy wszystko jest takie, jak było? A Rudnia — ta wieś, którą obchodził, przedzierając się przez las od ojcowskiego majątku? Po ojcu nie pozostała już nawet mogiła. W czasie tych pełnych niepokoju lat, które minęły, całkiem zapomniawszy i o nim, i o wszystkim, co wówczas się stało. A czy można zagwarantować, że nie zapomniawszy Jadzi? Czy może te uniesienia, które przecież były, nie są zdradą? Nie ożenił się jednak, bo coś go wstrzymywało. Teraz w czasie tego wieczoru szczerości na ziemi przodków zastanowił się, czy postępował prawidłowo,

nie doprowadzając tych uniesień do końca. Bo nie byłoby tego wieczoru, nawet więcej — nie byłoby tej czystości, którą on czuje i którą czuje każdy człowiek godny tego, by się tak zwać.

Podniósł się wolno, z chrzęstem prostując kolana, schował do kieszeni fajkę i dopiero teraz poczuł zmęczenie. Wkrótce zszedł na dół, otworzył furtkę i znalazł się na podwórzu. W oknach paliły się światła. Zatrzymał się przy wejściu i nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. W ogrodzie w cieniu kasztana stał Stach i uważnie mu się przyglądał. Januszowi ścisnęło się serce.

„Musi wszystkich nas nienawidzić — przemknęła mu nagle myśl — przecież wyrósł jak sierota.”

Udał, że nie zauważył wnuka i z pozorowanym spokojem wszedł na pokoje.

Gdy tylko Janusz poszedł na przechadzkę, Jadzia Kallicka bezsilnie opadła na wiklinowy fotel. Po chwili uniesienia jego nieobecność była dla niej pożądana: potrzeba było choćby maleńkiego okrucha czasu, żeby odetchnąć. Na twarzy odbił się cień bladości — za dużo było dla niej tych namiętności i wzruszeń. Chciała oprzytomnieć. Kąciki ust zacisnęły się w szczelną fałdę, opuściła głowę na piersi i zapłakała. Potem patrzyła na ogród, w którym chwiały się kwiaty, całe królestwo wyhołubionych szlachciców i szlachcianek, którzy mieli swój bardzo wyniosły świat, swoje stosunki i, jak jej się wydawało, rozmowy.

— Babciu — przerwał jej ciszę pełen niepokoju głos Stacha.

— Co chcesz? — wytarła się chusteczką.

— Dlaczego dziad tam był?

Stach przeszywał ją uważnym spojrzeniem i stara poczuła, że nie może nie odpowiedzieć na to pytanie.

— Nigdy nie opowiadałaś mi o nim...

— Tak się złożyło — powiedziała podnosząc się z fotela. — Tak, Staszku, złożyło się. Bo kto może odgadnąć, co go w życiu czeka?...

— On uciekł?

Uważnie spojrzała na niego: nie po raz pierwszy zauważyła w nim niezrozumiałą twardość.

„Nie było tego ani u Kalickich, ani u Welihorskich... — pomyślała. — Jest w nim chłopski upór.”

— Tak było trzeba — powiedziała. — Życie dokonuje czasem wyboru za nas.

— Pojedziesz z nim?

Opuściła głowę. Pytanie było postawione za bardzo konkretnie, nie było jeszcze o tym mowy.

— A miałbyś coś przeciw?

— Nie wiem.

— On ci się nie podoba? — Jadzia uważnie spojrzała wnukowi w oczy.

Stach wytrzymał to spojrzenie. Mocno zacisnął pięści opuszczonych rąk i zacisnął zęby.

— Nie chciałbym cię obrazić — powiedział — ale nie mam już dziesięciu lat. On musiałby połączyć się z tobą wcześniej...

— Musiałeś mnie sam odnaleźć!

Ojciec przemierzył brudny, zaniedbany pokój i zatrzymał się koło okna. Domowy bałagan sprawiał niemiłe wrażenie. Zapach spleśniałego chleba i wódki zatruwał mózg.

— Nie lubię scen. — Twarz ojca była nie ogolona. Stach przyglądał mu się z zaciekawieniem. Ten człowieczyna, pękaty, o prostackiej twarzy... to jego ojciec!

— Zaraz powiesz: tak się złożyło! — wciąż jeszcze złościł się Stach. — Przypadkowo nie znalazłeś czasu,

żeby napisać list. Wsiąść do pociągu, wysłać telegram... A może syn to zabawka? A może on nigdy nie przypomni o świństwie, jakie mu zrobiono?

— Gdzie matka? — posępnie zapytał ojciec.

— Ciebie właśnie chciałem zapytać, gdzie ona jest! — gardłował Stach. — Stara nie opowiedziała mi nic: ani o niej, ani o tobie. Opowiadała historie, w które nie uwierzy nawet dziecko...

— Co się stało z matką? — z niemym zdumieniem zapytał ojciec. — Wiedziałem: to jej szlachecki honor, cha, cha, i ją też gdzieś poniosło?... Ale nie gniewaj się. Ja jestem winny, świnia nad świniami. — Podeszedł do szafki, wyciągnął butelkę i dwa kieliszki. — Choć, wypijemy za spotkanie.

Zgarnął ze stołu na podłogę nie dojedzone resztki chleba i kielbasy i postawił butelkę. Nalał z bulgotem do kieliszków. Stach nie pił jeszcze nigdy, ale tym razem nie odmówił.

— Wybacz, ale nie mam zakąski. Takiego masz ojca. Dużo mi nie trzeba — kieliszek, dwa i jestem gotowy, a potem — niech nawet potop będzie...

Wypili i ojciec bliżej przysunął się do Stacha. Jego oczy błyszczały chorobliwie i na moment Stachowi zrobiło się go żal.

— Jestem już alkoholikiem, synku. Ileż to razy — uderzył się w piersi — przysięgałem sobie... Dlaczego nazywasz się Stach? Ja nazwałem cię Sławkiem... Aha, ten szlachecki ród... On też siedzi mi tutaj. — Ojciec znowu nalał w kieliszek. — Twoja mama była nauczycielką, a ja kim? Nie uczyłem się i pracować mi się nie bardzo chciało. Przyszedłem tam do was, a tu... pa-a-ni! Niech Bóg wybaczy, piekło było. Stara dogryzała młodej, młoda mnie, a mnie już wtedy, he, he... — wypił, wysuwając pokrytą szczecina szycję — ciągnęło do kielicha. Napilem się i postanowiłem: rozpę-

dzę w diabły... — Znowu wypił, tym razem nie zachęcając już Stacha, który poczuł, jak śliski strach przebiegł po skórze. — Przyszedłem, rozumiesz, a tam.. japoński wazon. Słyszałeś? Japoński! Zdeptałem... Stach w krzyk, uderzyłem ją... Matka wyskoczyła — i mnie laską... Wesoła scena, syneczku, a ja nie taki... Mówię: dawaj mi syna, bo go kocham — zbliżył do Stacha lśniąca wargi, mętne oczy i zniszczoną alkoholem twarz, cmoknął ustami powietrze i przymrużył oczy. — Mówisz, że jej już nie ma? Panie, świeć nad jej duszą, niech jej ziemia lekka będzie, nie mam urazy... A ciebie, sukinsynu, kocham...

— Dlaczego się nie leczysz? — szeptem niemal zapytał Stach.

— A po co? Nie chce mi się. Wszystko jedno... Nie chcesz zostać? Tacy jak ty sami pomagają rodzicom. Przysłałbyś kiedyś setkę, ha? Czy ty też z panów... Z panów?

Wstał chwiejąc się na nogach i chciał ruszyć do Stacha, ale zaczepił się o krzesło i padł na stół. Zaśmiał się po pijacku wodząc głową, a kiedy znowu usiadł, jakby przetrzeźwiał.

— Pytasz, dlaczego cię nie odnalazłem? A może nie chciałem cię odnaleźć... żebyś nie wiedział, jaka ze mnie, za przeproszeniem, świnia... Ty też jesteś taki jak tamci? Ja ich, cha, cha, chciałem nauczyć. Japoński wazon... A to, że mnie odnalazłeś, to dobrze. Wiem przynajmniej, że jest syn...

Stach cofał się, wolno zbliżając się do drzwi. Pragnął wyrwać się z tego pokoju i biec, dopóki serce nie trzaśnie w piersi, poczuć świeże powietrze, znaleźć się znowu w zaciszu nadkamiańskich skał i wtedy dopiero myśleć. Bo w głowie nagromadziło się tyle, że mózg kruszył się, jakby był z piasku, bolała głowa, bolało serce. Nadzieja posiadania ojca, jego twardego roz-

sądku i ręki, który pomógłby choć trochę odnaleźć się wśród dziwnego, piętrzącego się chaosu świata i życia, pękła i rozpadła się. Przypuszczalnie na zawsze, bo poczuł, że sam, tylko sam, może pokonać to wszystko, co budzi wątpliwości. Uderzył plecami o drzwi.

— Uciekaj! — ojciec wyrzucił brązowy palec. — Uciekaj, gadzino, bo wy wszyscy...

Nie dosłuchał do końca. Jak pijany zataczał się, schodząc po schodach, jak pijany wyszedł na dwór. Wokoło niczym białe skrzydła powiewała na wietrze bielizna. Wydawało się, że długie sznurki ciągnęły się tu od widnokregu i nie ma przejścia pomiędzy tą niespodziewaną inwazją białego płótna. Łopotały żagle i lśniły w promieniach słońca, statkiem była ziemia, która płynęła w wieczny rejs po wszechświecie, a te niewielkie skupiska mózgów, które oświeślały ją swym rozumem, ze wszech miar usiłowały odczytać kierunek. „Ona się kręci — powiedział Galileusz. — Nic, tylko się kręci. Bo jest okrągła, choćby nie wiem jak pragnęło się, żeby nie miała końca...”

Dokoła mnie jest kłamstwo, myślał Stach, i żeby je rozwikłać, trzeba wiele siły. Niedomówienia, wymyszone historie, w które wierzył i przy pomocy których wyjaśniał kolegom swoje sieroctwo. Po wojnie chłopak potrzebował ojca, który walczył — dla honoru i co tu dużo mówić, dla pozycji w gronie kolegów. Dopiero pod koniec szkoły zaczęło mu się przejaśniać w głowie, a może to było jedynie otumanienie? Otumanienie spowodowane długimi powieściami z babcinej biblioteki, spowodowane marzeniem przewyciężenia samotności? Miał potrzebę uwznioślenia myśli, uwznioślenia uczuć i ducha, miał potrzebę marzeń, bo otaczający go świat zalewał go falami nasyconych kolorów. Co jak co, ale

w kolory ziemia jest bogata. Stopniowo zaczęło mu się wydawać, że świat jest przepełniony barwami, cały świat, poprzecinany malowniczymi wzgórzami i usiany kwiatami. Bo kochał i wzgórza, i babcine królestwo kwiatów. Ale dokoła było tyle kłamstwa... Kłamstwo o dziadku, kłamstwo o matce, kłamstwo o ojcu, a nawet o ciotce — ciotka Aniela wyszła za mąż w czasie wojny za nie znanego Polaka i pojechała z nim do Polski (w opowieściach babci zaginęła na wojennych szlakach). Nie wiem, myślał Stach, jaki zbieg okoliczności postawił mnie w takiej sytuacji?... Wypada mi teraz wkroczyć na nie przetarty szlak, zaczynać wszystko od początku i im mniej będzie za plecami magnesów, które przyciągają, zmuszając do oglądania się za siebie, tym bardziej będzie się można czuć wolnym. Była to straszna myśl, pod wpływem której wszystko w środku wzdragało się, ale myśl ta coraz częściej i częściej przychodziła do głowy. Niech babcia jedzie, myślał, czując drżenie z powodu swej niewdzięczności i egoizmu, chcę zacząć wszystko od początku. Wszystkô sam i własnoręcznie. To przyniesie harmonię, której brakuje mojej duszy, to przeprowadzi mnie nad przepaścią wielkiej urazy i da możliwość zapomnienia jej bezpowrotnie.

Leżeli w całkowitych ciemnościach, które mogą być tylko tutaj, w głębi kamiańskiej rozpadliny, i każde myślało o swoim — Janusz przeżywał jeszcze swój spacer nad rzeczką, a Jadzia wsłuchiwała się w głuchy mrok i odpędzała od siebie słowa wnuka.

— Nie gniewasz się, że nie pościeliłam razem? — odezwała się niespodziewanie nawet dla siebie samej.

— Nie — powiedział po chwili. — Nie mamy już siedemnastu lat.

— Mieliśmy i po siedemnaście... Jak odnalazła się Aniela?

— Już po wojnie. Przyszło mi trochę powalczyć...

— Byłeś wojowniczy — uśmiechnęła się. — Całe życie byłeś wojowniczy.

— W tę czy w inną stronę...

— Nigdy nie należy żałować. Zawsze robiłeś tak, jak podpowiadało sumienie.

— Przez cały czas trafiałem w jakiś wir...

— Dobrze, że przeżyłeś.

— Nadchodzi czas, że już nie będzie wyboru. Po prostu nadejdzie pora.

— Nigdy nie byłeś pesymistą — powiedziała.

— Byłem — jego głos się załamał. — Przez te lata...

— Nie ma już co mówić o tych latach. Przez te lata wydarzyło się więcej, niż trzeba. Cały czas miałam nadzieję, że Zosia wróci...

— Pojedziesz ze mną?

— Dlaczego pytasz? Czy może jest gdzieś zapisane, że mąż i żona muszą żyć oddzielnie?

— Nie — powiedział. — Znowu odzywają się tamte lata... Czasem mam wrażenie, że wszystko było jak taniec. Mną kręciło, sam się kręciłem i wokół mnie się kręciło...

W tym momencie Jadzię ogarnęła tęsknota. To była gorzka tęsknota. Za tym, co przeżyła i tym, co mogła przeżyć, a co przeminęło, za życiem i miłością, za szczęściem i równomiernym spełnieniem, którym musiałoby odznaczać się życie. Jadzia miała prawo do łez, i łzy toczyły się w noc. Czy miały one wzejść w gęstym bezmiarze jako kwiaty? Kwiaty, które ona tak lubiła? Na czystej ziemi, w głąb nieprzeniknionego mroku, zwilżonego sokiem nocy, czy wyrosną jej żale w coś słodkiego? To, co kilka tysięcy lat temu nazwano

szczęściem? Czy to był sentymentalny nastrój, czy ból, ale jej ręce zaczęły błdzić po własnym ciele. I nie znalazły miękkiej łagodności linii, prężności piersi i łona. Nie znalazły, bo same nie były już tymi białymi rękami, które tak szczerze odsłaniały tajemnicę poczęcia i wzrastania... Była tylko stara kobieta i stare poczucie nie dokochanej młodości.

„Niech wszystkie te dzieci, które się narodzą, odkochają swoje — myślała, trzymając się powolnej nuty swego żalu — bo dopiero w tym tkwi prawdziwe poczucie spełnienia. Prawdziwego spełnienia.”

Jadzia miała prawo być sentymentalna, bo przeżyła wiele lat bez sentymentalizmu. Wiele długich, samotnych lat, a wtedy, gdy się one zaczęły, miała wszystkiego dwadzieścia lat.

„Nie może osądzać tego ktoś — szeptała do siebie — kto w taką właśnie noc, mając tak wiele lat, nagle poczuje, że wzywa go miłość. Będzie to blady odbłask, ale niech wybaczą mu młodzi, którzy nie mają żadnej potrzeby zastanawiać się nad takimi sprawami.”

— Porozmawiaj ze Stachem — powiedział Janusz, czując, że nadchodzi senność. — Sądzę, że on także pojedzie.

— Nie wiem — Jadzia otarła łzy. — Był bardzo trudnym dzieckiem... Bardzo trudnym...

— Śpij dobrze.

Zrobiło jej się żal. Czego? Takiego szybkiego zakończenia rozmowy? Że nie wyczuł jej nastroju? Może chciała coś powiedzieć? Wypowiadać się za cały ten czas? Nie wiedziała.

— Śpij dobrze — powiedziała.

PRÓG RODZINNEGO DOMU

Wspomnienia potrafią czasami bardzo silnie nami zawładnąć, nigdy też nie ma ich końca, to jedynie same okruchy, przypadkowo wychwycone z życia drobiazgi, w których funkcjonowało „ja”, fragmenty, stopniowo układające się w jakąś całość — istotę człowieka, istotę naszego „ja”, bo żyjemy wśród rzeczy i zachowujemy w sobie ich sens. Rzeczy odciskają na naszych duszach piętno, które my potem długo chronimy, aby w odpowiedniej chwili przejrzeć je, a może uporządkować...

Dawno nie byłem w rodzinnym domu. Pożegnalny wieczór w szkole pozostawił w mojej duszy szczególne uczucie, i dziś nie mogę się nie odwrócić, kiedy słyszę za sobą hałaśliwą, wesołą gromadkę dziesięcioklasistów. W każdym z nich tkwi jeszcze ziarno nie uświadomionego, szaleńczego zapалу, które może rzucić człowieka nazbyt daleko.

„Ja byłem daleko” — pomyślałem patrząc na szarą plamę okna. Tam, za szybami jest niebo, gwiazdy, rozproszone ogniki, które migocą w przestrzeni wiecznym błaskiem. Tam jest kosmos, posiekany smugami światła, wiatrem słonecznym, powykręcany w dziwaczne formy przez pola magnetyczne, rozświetlony jaskrawymi błyskami. Nigdy mnie tam nie ciągnęło, ale ilekroć usiłowałem sobie wyobrazić ten okropny

bezmiar, zawsze pojawiał się strach, bo nie była go w stanie ogarnąć ani moja wyobraźnia, ani wiedza.

Rok w lasach Polesia jako robotnik przy urządzeniach wiertniczych, trzy lata w wojsku — daleko na Oceanie Lodowatym, rok pracy jako brygadzysta stróżów nocnych. Jedyiny młody wśród starych — to było śmieszne, ale za to dawało mi czas, czas na książki. A potem — nocne przejażdżki na rowerze po pustych ulicach, kiedy tak głośno słyszeć szmer sunących po asfalcie opon, a głowa ma pełną swobodę myślenia... Nie ma w tym żadnej historii, to jedynie moja noc, moja rozmowa, która powinna się dzisiaj skończyć, rozmowa z samym sobą, bo już zdążyłem zobaczyć ludzi, zobaczyć świat na tyle, żeby zgubić ten zapach, jaki zawsze błyszczał w oczach dziecięcioklasistów. Bo dziecięcioklasista stopniowo umiera w naszych jestestwach, oddzielamy się od niego, każdy z nas staje się innym, odrębnym człowiekiem... Stopniowo mija pierwsze wrażenie ze spotkania w dzieciństwie, stopniowo zaczyna spotykać się ze sobą późniejszym, aż wreszcie znowu spotyka się oko w oko ze sobą dzisiejszym... Później, kiedy spotkałem się z Moskalczukiem i ten poprosił, żeby napisać mu, co czytałem, aby i on mógł to samo przeczytać, napisałem stronę i odłożyłem pióro. Bo powielić siebie jest niemożliwością, bo tak naprawdę żyje się tylko raz.

Po okresie kiedy pracowałem jako brygadzysta, nastąpił rok pracy w branży „jarzyny-owoce”, kiedy to jeździłem na motorowerze z niewielkim blaszanym koszem. Potem wstąpiłem do szkoły muzycznej, skąd mnie jednak wyrzucono za nieuczęszczanie na zajęcia...

Za ścianą dał się słyszeć szelest, matka nie spała. Chodziła po pokoju. Wsłuchiwałem się w odgłos jej drobniutkich kroków, odbijały się echem po domu. Lubiłem ją, moją matkę, drobną kobiecinkę z twarzą

usianą zmarszczkami. Potrafiła uważnie zaglądać w duszę i robiła to tak, że nigdy się nie obrażałem.

Matka przeszła korytarzem i brzęknęła kubeczkiem na wodę.

— Ma — powiedziałem.

— Nie śpisz? — uchyliła drzwi i weszła do pokoju. Siadła na krześle, przed moimi oczami zarysował się ciemniejący w mroku cień jej postaci.

— Jak długo nie było mnie w domu? A przecież tu nic się nie zmieniło.

Oparłem się plecami o dywanik na ścianie i przyciągnąłem kolana do piersi.

— Możliwe — powiedziała matka. — Nosi cię po bożym świecie i nawet listu nie napiszesz...

„Nigdy nie myślimy o naszych rodzicach — przemknęło mi przez głowę — jakoś nigdy nie myślimy o rodzicach.”

— Babcia umarła o świcie — kontynuowała matka. — Umarła cicho i spokojnie. Wstałam, żeby wypuścić kury, a ona mnie zawołała. Podeszłam do niej. „Chciałabym — powiedziała — żeby przyszedł do mnie syn. Bez względu na to, czy jest, czy go nie ma — powinien przyjść.” Przestraszyłam się i zaczęłam ją strofować, ale ona na to ani słowa...

Matka zamilkła i opuściła ręce na kolana.

— I umarła?

— Nie — mówiła zmęczonym głosem matka. — Powiedziała jeszcze: „Wiesz, my się tam na pewno spotkamy.”

Zapłakała i widziałem, jak drżą jej wąskie ramiona. Zeskoczyłem z łóżka.

— Ma — powiedziałem podchodząc do niej. — Przecież tego już nie wrócisz...

— Tak — zgodziła się matka wycierając łzy. — Ja

też często myślę o twoim ojcu. Być może już wkrótce pójde z nim...

— Nie mów tak — krzyknąłem przestraszony nagle błyskiem jej oczu, jej smutną twarzą i tą duszną letnią nocą.

Ująłem w swoje ręce jej chłodne, małe dłonie i zacząłem na nie chuchać.

— Nie mów tak, mamó — powiedziałem cicho. — Nawet nie wiesz, jak jesteś mi potrzebna...

— Ciężko jest być niepotrzebną, synu — zakołysała się w cichym smutku. — Ty też jesteś dobry. Wiesz, ile czasu nie było cię w domu? Sześć lat.

Wzdrygnąłem się. Tak, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Tak szybko to przeleciało — powiedziałem niepewnie.

— Gdzie pracowałeś?

— Wszędzie — powiedziałem zmiészany. — Już sześć lat minęło, mój Boże!

Nie mogłem jej opowiedzieć o brygadziście stróżów nocnych, o branży „jarzyny-owoce”, o kiepskim motorowerze, którym w sumie mało jeździłem, bo głównie go naprawiałem, o dorywczych pracach w Karelii, kiedy wałęsałem się po leśnych wyrębach, o ludziach, których znałem, o dziewczętach, z którymi się całowałem. Nie mogłem o tym wszystkim opowiedzieć, bo w stosunkach z rodzicami zawsze jesteśmy ostrożni i zawsze dobieramy słowa, nie możemy im opowiedzieć tak, jak opowiada się koledze, nie zwracając na nic uwagi. Musimy być po prostu takimi, jakimi oni chcieliby nas widzieć. A przecież nie wszystko, co mi się przydarzyło, było przyjemne, nie wszystko dobre i ja sam nie zawsze byłem w porządku. Tu nie zamaskujesz się cynicznym uśmiechem, nie oszukasz manierą „szczerzej spowiedzi”, każda matka jest czujna, wciąż sprawdza swe

dzieci, wciąż powtarza sobie: „to on, mój syn...” Spuściłem głowę i zamilkłem. Wiele podróżowałem, spotykałem wielu ludzi, na mojej drodze zetknąłem się ze sprawami bardziej i mniej skomplikowanymi, zdarzały się różne historie, poznałem także różnorodność ludzkich słów. Ile ich jest na tym całym bożym świecie, ileż ludzkich ścieżek zazębiało się z moim szlakiem, a ile jeszcze się zazębi... Niczym wydaje mi się to wszystko, co wyczytałem i zobaczyłem, kiedy porównam to z tym, co istnieje naprawdę czy nawet z tym, co zostało napisane. W nas samych jest mało oryginalności, wszyscy zaczynamy i kończymy niemalże tak samo.

Spojrzałem na matkę. W ciemności jej oczy wydawały się okrągłymi, wielkimi zapadlinami.

— I trzeba ci było wyjeżdżać? — zapytała.

— Nie wiem — naciągnąłem kołdrę pod samą szyję. — Niemal wszędzie ludzie są jednakowi. Ale wszyscy myślą, że tak nie jest.

— Nie przypuszczałam, że mój syn będzie takim obieżyświatem — powiedziała matka. — Ja spędziłam w tym mieście całe swoje życie.

Pochyliła głowę, a ja wspomniałem ciotkę Wustię z niewielkiego miasteczka. Już od wielu lat mieszkała sama ze swoim wielkim, nieukojonym bólem. Ten ból nazywał się „dzieci”, ten ból to całe pokolenie rówieśników jej dzieci, które oderwały się od rodzinnego gniazda i rozsypały się po świecie, próbowały różnych profesji, żeby wreszcie obrać tę jedną, nie zawsze najlepszą. Ilu to ludzi rozpoczyna swoją drogę życiową od progu rodzinnego domu, ilu powraca, a ilu gubi się w nieprzebytej przestrzeni, jaką jest nasza ziemia...

Wspomniałem ciotkę Wustię i to, że stała na werandzie; kiedy mnie odprowadzała: starsza kobieta z dużą chłopską twarzą, z tęsknym spojrzeniem. Wielkie dło-

nie ze skrzyżowanymi palcami spoczywały na brzuchu. Od ulicy odgradzał ją pochyłony parkan, a ja co chwilę odwracałem się i machałem ręką, bo ona na moment się zapomniała i zaczęła uważać mnie za swojego syna.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak dobrze mi w domu — powiedziałem westchnąwszy. — A twoje wino! Dawno też nie jadłem tak dobrej kolacji jak dzisiaj.

— Chcesz — powiedziała matka unosząc głowę — pójdziemy jutro na cmentarz? Trzeba uporządkować groby babci, mojej matki i ojca. Weźmiemy łopatę...

— Pójdziemy — powiedziałem cicho. — Na pewno.

— No, śpij — powiedziała matka i uśmiechnęła się.

Poszła do swojego pokoju, biała i malutka, a ja patrzyłem, jak bezszelestnie i spokojnie tonie w ciemności jej drobna postać. W znajomy sposób zaskrzyphiały drzwi, uchylając się w ciemną otchłań korytarza i nagle do bólu zapragnąłem, żeby stąd nie wychodziła...

Poranek przypominał dobry sen. Siwe opary spowijały rzeczkę, która wiła się pokrętną szarą wstążką między wysokimi pagórkami, zarośniętymi ciemnozielonymi, nasyconymi zapachem rosy krzakami. Na pagórkach niczym cętki porozrzucane były jednopiętrowe budynki z czerwonymi i zielonymi blaszanymi dachami. Kolory miały barwy przygaszone, o tonacji pastelowej, która zawsze wywoływała we mnie spokojną, głęboką radość. Trawa szarzała pod ciężarem nieskończonej ilości wielkich kropli wilgoci.

Wyszliśmy za bramę, matka sprawdziła, czy zamek jest dobrze zamknięty.

— Przedwczoraj zginęła pstrokata — opowiadała beznamiętnym głosem. — Obeszłam wszystkich sąsia-

dów i jak myślisz, gdzie ona była? Wysiadywała kurczęta pod wielkim kamieniem.

Kiwnęła głową w bok, wskazując na szarego kamiennego olbrzyma, który pochyło sterczał wśród zieleni.

Chodziliśmy tą drogą zbyt często i w pamięci pozostał mi zapach zmoczonego rosą przydrożnego pyłu i alkoholowego kwaśnego odoru chmielowych wytłoków. Sprzedawali je w browarze i ludzie schodzili się z różnych krańców miasta. Szły i szły pobrzękując wiadrami kobiety w ciemnych chustkach z przedwcześnie postarzałymi twarzami. Ich dzieci nie miały dzieciństwa — ich dzieci w czasie wojny miały tylko chłodne, wykopane w ziemi nory, gdzie pachniało wilgocią i przegniłymi ziemniakami. Wytłokami karmiono świnię, było to wygodne, i ludzie, którzy dotąd o tym nie wiedzieli, też szli do browaru. Matka kupiła kiedyś prosię — to było jedyne prosię, jakie kiedykolwiek mieliśmy, ale nie żyło zbyt długo, nie pomogły nawet wytłoki — zdechło którejś nocy w czasie burzy i leżało patrząc nieruchomo na świat szklanymi, smutnymi, nic nie rozumiejącymi oczami.

Szliśmy drogą, która szarzała wśród zielonej mura-
wy. Cienko poświstywała sikorka, leniwie oglądając świat błyszczącymi, czarnymi oczkami.

Matka miała pochylone ramiona. Jej lekko pożółkła twarz, obramowana czarną chustką, usiana była zmarszczkami. Unikała mojego pytającego wzroku, ale i tak wszystko zrozumiałem: starość, potrzeba harmonii tak jak u innych ludzi. Kobieta powinna mieć męża i dzieci, dzieci powinny mieć rodziców, człowiek powinien mieć miejsce, do którego zawsze może wrócić. Bez tego łamię się bardzo istotne ogniwa życia...

Zatrzymaliśmy się na wierzchołku pagórka i spojrzeliśmy w dół. Niebieściła się maleńka wstążeczka ka-

mienistej rzeczki, na horyzoncie ciemniał las. Jego ściana miała jakby amfiteatralne ułożenie; jedna smuga nad drugą zachodzące na siebie — ciemnozielony masyw przesłaniający horyzont. Mała chmurka lśniła na tle nieba białym, czystym aksamitem. Na wzgórzach ciemniały dachy, jakby powkładane na jaskrawobiałe ściany domów z miękkimi plamami ciemniejących okien. To był kraj moich dziadów, którzy dawno już spokojnie i zwyczajnie odeszli tam, gdzie wszyscy odchodzą... Matka patrzyła na cmentarz, powyżej którego wesoło skrzyła się biała kapliczka.

Na cmentarzu panowała głęboka cisza. Powoli weszliśmy w zarosłe trawą alejki. Pachniało woskiem, świeżą ziemią i kamieniem mogilnym. Słońce skryło się za jednolitą ścianę zieleni, i w cieniu pobłyskiwały sinolabradorowe pomniki. Czytałem napisy, oglądałem podmyte rdzawymi potokami fotografie, na których uśmiechały się i smuciły nie istniejące już ludzkie twarze. Białe, marmurowe anioły wyciągnęły swe gładko toczone rączki, a pochylona kobieca postać kryła marmurową twarz w rękach uniesionych do góry gestem pełnym smutku. Błyszczały wyschnięte wianki ze strużyn, sztuczne kwiaty wystawiały swoje puste kielichy, pachniało chmielem, który oplatał drzewa i zwiślał z gałęzi żółtymi girlandami.

— Gdzieś tutaj — powiedziała matka, rozglądając się uważnie. — Dobrze pamiętam, gdzie grób babci, ale tam pójdziemy później. Tutaj jest mogiła mojej matki. — Jeszcze raz rozejrzała się niepewnie, skreśliła z alei i weszła pomiędzy ciasno ustawione nagrobki.

Siwy dziadek kuśtykał aleją, jego oczy patrzyły przed siebie bezsilnie i nieruchomo. Zatrzymał się obok wielkiego granitowego krzyża i siadł na spróchniałej drewnianej ławeczce.

— Zaczekaj — powiedziała matka. — Przecież dobrze pamiętam, że to tu. Zatrzymała się. Była smutna i jakby nieco zmieszana. I nagle gwałtownie ruszyła w głąb, pomiędzy groby. Widziałem, jak przedzierała się przez chaszcze, chustka zsunęła jej się z głowy, włosy rozsypały się w nieładzie. Poszedłem za nią, a kiedy się już zbliżyłem, ujrzałem szeroko rozwarte oczy i wykrzywione przerażeniem usta.

— Nie mogę trafić — wyszeptała — a przecież dobrze pamiętam, że to było tutaj...

Znowu zawróciła ku alejce i ponownie poszła w tym samym kierunku. Coś niezrozumiałego pojawiło się na jej twarzy — rozpacz i zmieszanie. Zatrzymała się koło klonu i oparła o jego pień. Odgarnęła zmęczonym ruchem włosy i spojrzała na mnie ze strachem.

— Przecież dobrze pamiętam, że to tutaj...

Obok rozrośniętego krzaka bzu ciemniał ledwie widoczny mogilny kopczyk. Wyciągnąłem łopatę i odrąbałem kilka gałęzi. Matka wolno podeszła do grobu i osunęła się na kolana.

— Mamo — powiedziała, usiłując powstrzymać płacz. Wielkie łzy spływały po jej pomarszczonej, drobnej twarzy. Ręce wpiły się w ciepłą, pachnącą ziemię.

— To ona — wyszeptała matka. — O, jest barwinek, sadziłam go w zeszłym roku. I te wazoniki...

Wsunąłem łopatę w ziemię. Zapachniała ubiegłorocznymi liśćmi, sokiem roślinnym i cierpkawą, zduszoną wonią przegniłej ziemi.

Siwy dziadek wstał z ławki, osunął się na kolana i zaczął szeptać wyschniętymi ustami modlitwę.

— Widzisz — mówiła uszczęśliwiona matka. W jej oczach wciąż jeszcze lśniły łzy. — Mało brakowało, że bym nie trafiła. Kiedy umrę — jej oczy znów się zaszkliły, zadrżały usta — przychodź do mnie, słyszysz, synku...

— Ma... — powiedziałem miękko.

Nie odpowiedziała. Odwróciła twarz w tę stronę, gdzie w głębokiej dolinie zamykała horyzont czysta, błękitna smuga lasu.

Siwy dziadek ciężko podniósł się z kolan. Wziął z ławki laskę i pokuśtykał do wyjścia. W jego oczach zastygło zmęczenie.

Matka patrzyła tam, gdzie w bladej mgiele tonęły znajome z dzieciństwa wzgórza, obsypane kolorowymi pudełeczkami domów. Na jednym z nich, w pobliżu niewielkiej rzeczki, stał także i nasz dom, który niczym nie różnił się od innych, może tym tylko, że był nieco mniejszy. W tym domu rozpoczęło się moje życie, jego próg przekraczałem, kiedy wyruszałem obejrzeć świat z bliska. A potem wróciłem. Bo ziemia jest okrągła. Bo rozpoczynawszy swój szlak z jednego końca, zawsze, niezmiennie powracamy tam, gdzie jest nasz punkt wyjścia, tyle tylko że z innej strony. Jeżeli pójdziemy na wschód, to wracamy z zachodu.

SPIS TREŚCI

Powroty	5
Dziesięć kilometrów milczenia	18
Chmiel	26
Droga od ojca	64
Wieczór świętej jesieni	70
Lwy	92
Dom	98
Harmaszycha	135
Ojciec dobrodziej	143
Echa przeszłości	152
Próg rodzinnego domu	177

Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1989

Wydanie I. Nakład 1 730+270 egz.

Ark. wyd. 7,9. Ark. druk. 8,75.

Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 82×104 cm.

Oddano do składania w styczniu 1988 r.

Podpisano do druku w grudniu 1988 r.

Druk ukończono w maju 1989 r.

**Druk: Białostockie Zakłady Graficzne,
Białystok, al. 1000-lecia PP 2. Zam. 464/88 A-7**

Cena zł 700,—

Walery Szewczuk to jedna z indywidualności pisarskich średniego pokolenia prozaików ukraińskich. Z wykształcenia jest historykiem. W twórczości swej sięga jednak przede wszystkim po tematykę współczesną. Czym żyje współczesny człowiek? W czym odnajduje sens swego istnienia? Oto problemy, które nurtują pisarza potrafiącego z prawdziwym mistrzostwem, ciepło i przenikliwie kreślić charaktery swych bohaterów, odkrywać ich różnorodny i bogaty świat wewnętrzny. Utwory Walerego Szewczuka cechuje miękki liryzm oraz plastyczność obrazu kreślonego przy użyciu pastelowych barw.

6 VII 89

3/7